

AMANDA QUICK

*Amberley*

AMANDA  
QUICK

*Lozeka*  
tajemnic



AMANDA QUICK

AMANDA QUICK

# AMANDA QUICK

## *Rzeka tajemnic*

Przekład

Anna Palmowska

*Susan Elizabeth Philips,*

*wspaniałej pisarce i cudownej kobiecie w imię przyjaźni*

### ***Prolog***

*Ostatnie lata panowania królowej Wiktorii* Nie ośmieliła się zapalić lampy z obawy, że jakiś przechodzień zauważy światło. Policja mogłaby go później odnaleźć i przesłuchać.

Na ulicy mgła gęstniała coraz bardziej, ale przez okno wpadało jeszcze dość księżycowego światła, by rozjaśnić mrok, panujący w ma

łym saloniku. Nie żeby potrzebowała zimnej, srebrnej poświaty.

Dobrze znała przytulne mieszkanie nad sklepem. Ta niewielka przestrzeń była jej domem przez prawie dwa lata.

Przykucnęła przy ciężkiej skrzyni stojącej w kącie i próbowała włożyć klucz do zamka. Zadanie okazało się trudne, ponieważ bardzo trzęsły się jej ręce. Zmusiła się do kilku głębokich oddechów w

próżnej nadziei, że uspokoi mocno bijące serce. Po trzech niezręcznych próbach udało się jej otworzyć kufer. Skrzypienie zawiasów zabrzmiało w martwej ciszy niczym krzyk.

Sięgnęła do środka. Wyjęła dwa oprawione w skórę woluminy. Wstała i przeszła przez pokój, by schować je do małej walizki. W sklepie na dole były dziesiątki książek. Niektóre mogłyby sprzedać za naprawdę dobre pieniądze. Jednak te dwie były najcenniejsze.

Nie mogła zabrać ze sobą zbyt wielu książek, gdyż były za ciężkie. Zresztą gdyby nawet zdołała unieść kilka więcej, byłoby to nierozsądne. Jeśli z półek zniknie zbyt wiele cennych woluminów, wzbudzi to podejrzenia.

7

Z podobnych powodów zapakowała tylko niezbędne ubrania.

Policję na pewno zainteresowałby fakt, że domniemana samobójczyni zabrała ze sobą większość swojej garderoby.

Zamknęła wypchaną walizkę. Dzięki Bogu, że nie sprzedała tych dwóch tomów. W ciągu ostatnich lat były chwile, gdy bardzo potrzebowała pieniędzy, ale nie potrafiła rozstać się z książkami, które jej ojciec uważał za największy skarb. Jedynie one jej zostały. Nie tylko po ojcu, ale także po matce, zmarłej cztery lata wcześniej.

Ojciec nigdy nie doszedł do siebie po stracie ukochanej żony.

Wkrótce potem zbankrutował. Nikt się nie zdziwił, gdy popełnił

samobójstwo. Wierzyciele zabrali wygodny dom i większość sprzętów. Na szczęście uznali obszerny i cenny księgozbiór za bezwartościowy.

Znalazła się wtedy w okropnej sytuacji - mogła wieść smętne życie damy do towarzystwa albo guwernantki. Dzięki książkom udało jej się tego uniknąć. Zrobiła jednak rzecz w opinii wyższych sfer niewybaczalną. Zajęła się handlem.

Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestała istnieć dla ludzi z towarzystwa. Nie robiło jej to wielkiej różnicy, rzadko stykała się z kimkolwiek z arystokracji. Rodzina Barclayów zazwyczaj nie obracała się w wyższych sferach.

Znajomość książek i wiedza, jaką przekazał jej ojciec, pozwoliły otworzyć antykwariat, który po kilku miesiącach zaczął przynosić niewielki dochód. Po dwóch latach udało się jej ugruntować pozycję skromnej, ale cenionej antykwariuszki.

Jej nowe życie, proste stroje, księgi rachunkowe i rozległa korespondencja handlowa zupełnie nie przypominały wygodnego świata, w którym dorastała. Odkryła jednak, że prowadzenie antykwariatu sprawia jej satysfakcję. Zarządzanie własnymi finansami miało dobre strony. Jako właścicielka sklepu uwolniła się też od wielu krępujących reguł, które konwenanse nakładały na samotne, dobrze urodzone damy. Nie da się ukryć, że jej pozycja była teraz wyraźnie niższa. Jednak dzięki temu mogła

kształtować swój los w sposób dotąd dla niej nieosiągalny.

## 8

Niestety, niecałą godzinę temu wszystkie jej marzenia o samodzielnym życiu legły w gruzach. Znalazła się w środku koszmaru.

Nie miała wyboru. Musiała uciekać pod osłoną nocy, zabierając tylko parę osobistych drobiazgów, pieniądze z dziennego utargu i dwie najcenniejsze książki.

Wiedziała, że musi zniknąć. A w dodatku zrobić to w taki sposób, aby nikt jej nie szukał. Kilka dni wcześniej przeczytała w gazecie notatkę, która podsunęła jej świetny pomysł.

„Po raz drugi w ciągu zaledwie tygodnia towarzystwo oplakuje stratę. Niestety, rzeka pochłonęła kolejną ofiarę.

Jak wieść niesie, pani Victoria Hastings uległa częstym u niej atakom przygnębienia i rzuciła się z mostu w zimny, bezlitosny nurt Tamizy. Ciało jeszcze nie odnaleziono. Policja przypuszcza, że zostało poniesione do morza albo zatrzymało się na jakiejś podwodnej przeszkodzie. Mąż zaginionej, pan Elwin Hastings, podobno pogrążył się w rozpacz.

Czytelnicy zapewne pamiętają, że niecały tydzień temu panna Fiona Risby, narzeczona pana Anthony'ego Stalbridge'a również rzuciła się do rzeki. Jej ciało jednak zostało odnalezione...”

Dwie damy z towarzystwa popełniły samobójstwo w tym samym tygodniu. Każdego roku zrozpaczone kobiety o dużo niższej pozycji również wybierają takie rozwiązanie. Nikogo nie zdziwi, jeśli skromna właścicielka antykwariatu postąpi podobnie.

Drżącą ręką napisała pożegnalny list, starając się znaleźć właściwe, przekonujące słowa.

„Jestem w rozpacz. Nie mogę żyć ze świadomością tego, co zrobiłam dzisiejszej nocy. Nie zniosę przyszłości, w której czeka mnie upokarzający publiczny proces i pętla szubienicy. Lepiej już powierzyć swe ciało rzece”.

Podpisała się i położyła list na małym stoliku, przy którym jadała posiłki. Przycisnęła kartkę popiersiem Szekspira. Lepiej mieć 9

pewność, że nie spadnie na podłogę, gdzie mogłaby ujść uwagi policji.

Włożyła płaszcz i po raz ostatni rozejrzała się po saloniku.

Było jej tu dobrze. Czasem doskwierała jej samotność, zwłaszcza wieczorami, ale w końcu do niej przywykła. Zastanawiała się nawet, czy nie wziąć sobie psa do towarzystwa.

Odwróciła się i podniosła ciężką walizkę. Zawahała się. Spojrzała na dwa nakrycia głowy na wieszaku. Letni kapturek i przybrany piórami kapelusz z szerokim rondem, który wkładała na spacer.

Przyszło jej do głowy, że to byłaby bardzo przekonująca poszlaka, gdyby kapelusz unosił się na wodzie w pobliżu mostu, może nawet zaczepił się na wystającej skale czy dryfującym konarze. Chwyciła kapelusz i włożyła go na głowę.

Zerknęła na kotarę, oddzielającą sypialnię. Na myśl o tym, co znajduje się po drugiej stronie, przeszył ją dreszcz.

Ściskając walizkę, pospiesznie zeszła na dół do kuchennych drzwi. Otworzyła je i wyszła na ciemną ulicę. Nie musiała się martwić zamykaniem drzwi na klucz. Zamek wyłamano godzinę temu, gdy napastnik siłą wdarł się do środka.

Szła ostrożnie ulicą.

Jeśli dopisze jej szczęście, dopiero za kilka dni ktoś zacznie się zastanawiać, dlaczego Antykwariat Barclaya pozostaje od jakiegoś czasu zamknięty. Jednak prędzej czy później ktoś, najpewniej właściciel, poważnie się zaniepokoi. Przez jakiś czas pan Jenkins będzie stukał do drzwi. W końcu się rozżłości. W wielkim pęku kluczy, który nosi ze sobą, odnajdzie właściwy i otworzy antykwariat, domagając się pieniędzy za wynajem.

I wtedy odkryje ciało w pokoju na piętrze. Wkrótce potem policja zacznie poszukiwać kobiety, która zamordowała lorda Gavina, jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych dżentelmenów w towarzystwie.

**10**

*1*

*Czternaście miesięcy później*

Tajemnicza wdowa znów zniknęła.

Anthony Stalbridge powoli spacerował mrocznym holem, wypatrując smugi światła pod drzwiami. Wszystkie pokoje wydawały się puste, wiedział jednak, że kobieta musi być w pobliżu. Kilka minut temu zauważył, jak znikła w nieoświetlonym przejściu dla służby.

Odczekał chwilę, zanim ruszył jej śladem po wąskich schodach.

Dotarł do piętra, na którym mieściły się prywatne apartamenty, ale pani Bryce nigdzie nie było.

Z sali balowej dobiegały stłumione dźwięki walca i rozmów rozochoczonego szampanem towarzystwa. Parter rezydencji Hastingsów, pełen elegancko odzianych gości, tonął w świetle. Tutaj panowały cisza i półmrok, rozjaśniony jedynie płomykami kinkietów.

Dom był duży, ale mieszkali w nim tylko Elwin Hastings i jego młodziutka, bogata, niedawno poślubiona żona. Służba spała w suterenie. To oznaczało, że większość pokoi na piętrze stoi pusta.

Podczas balów goście często umawiali się na schadzki w pustych sypialniach. Czy pani Bryce

przyszła tu, by spotkać się z mężczyzną? Z niewyjaśnionego powodu wolał się nie zastanawiać nad taką ewentualnością. Ta kobieta nie była dla niego nikim bliskim. W ciągu ostatniego tygodnia na różnych imprezach towarzyskich kilka razy zatańczyli ze sobą i prowadzili uprzejmą konwersację. Na tym 11

kończyła się ich znajomość. Jednak intuicja ostrzegła go, że bierze udział w niebezpiecznym pojedynku. Nie zamierzał go przegrać.

Od pierwszego spotkania Louisa Bryce robiła wszystko, by go do siebie zniechęcić. Należało się tego spodziewać, biorąc pod uwagę dawny skandal związany z jego osobą. Zaintrygowało go jednak, że zachowywała się tak wobec każdego napotkanego mężczyzny.

Anthony, jako człowiek bywały w świecie, wiedział, że niektóre kobiety nie gustują w mężczyznach. Ale gdy tańczyli ze sobą i trzymał ją w ramionach, czuł, że pociąga ją tak samo jak ona jego. Walc był doskonałym sprawdzianem. Jednak z drugiej strony, przyczyna mogła być prozaiczna. Po prostu jej pożałował.

Nie przypuszczała, że okulary w złotych oprawkach, niemodne suknie i uprzejma, nudna konwersacja go zaintrygują. Wystudiowana sztywna poza była oszustwem. Musiał jednak przyznać, że najwyraźniej reszta towarzystwa dała się na nie nabrać. Jej nazwiska nie łączono z żadnym mężczyzną. Upewnił się *co* do tego, oczywiście dyskretnie. O ile wiedział, Louisa Bryce nie miała z nikim romansu.

Ta dama stanowiła nie lada zagadkę. A najbardziej zastanawiało jej dyskretne zainteresowanie gospodarzem dzisiejszego balu, Elwinem Hastingsem i grupą dżentelmenów zaangażowanych w jego nowe przedsięwzięcie inwestycyjne.

Na końcu holu otworzyły się drzwi. Schował się w niewielkiej wnęce i czekał na rozwój wypadków.

Z pokoju wyszła Louisa Bryce. W półmroku nie widział wyraźnie jej twarzy, rozpoznał jednak skromną brązową suknię z niemodną tiurniurą, a także zarys dumnie uniesionego podbródka i kształtną linię ramion.

W każdej chwili ktoś mógł się tu pojawić. Mimo tego, a może właśnie pod wpływem zagrożenia poczuł, że gorące pożądanie napina mu łądzwie. Przyglądał się, jak w mroku idzie ku niemu, i przypominał sobie, co czuł, gdy niedawno trzymał ją w ramionach podczas tańca. Jak zwykle ze wszystkich sił starała się sprawiać wra

żenie oschłej i nudnej. Wymuszona konwersacja nie zdołała jednak ukryć inteligencji i wyzwania, czającego się w bursztynowych **12**

oczach. Nie udało jej się zatrzeć wrażenia, jakie jej kształtna kibić pozostawiła pod jego dłonią. Zastanawiał się, czy Louisa zdaje sobie sprawę, że im bardziej starała się go zniechęcić, tym większą miał

ochotę odkryć jej tajemnice.

Nieświadoma jego obecności przeszła pospiesznie holem w kierunku schodów dla służby. Światło kinkietu na chwilę załśni

ło w oprawce jej okularów. Zastanawiał się, czy zagrozić jej drogę i zażądać wyjaśnień, czy może dalej ją śledzić. Nagle ze szczytu schodów rozległ się donośny, szorstki głos:

- Kto się tam kręci?

Mężczyzna nie pytał, tylko żądał odpowiedzi. To nie był grzeczny, pełen szacunku ton służącego.

Quinby. Jeden z dwóch strażników, którzy ostatnio wszędzie towarzyszyli Hastingsowi.

Anthony chwycił Louise, gdy go mijiała.

Odwróciła się ku niemu, w zdumieniu otwierając usta do krzyku. Otworzyła szeroko oczy. Przykrył jej usta dłonią.

- Cicho - szepnął jej do ucha. - Proszę mi zaufać.

Przyciągnął ją bliżej i zamknął usta pocałunkiem.

Opierała się przez kilka sekund. Pogłębił pocałunek, domagając się, by go odwzajemniła. Nagle przestała się bronić. W krótkiej, pełnej napięcia chwili przeszło go coś porażającego niczym błyskawica. Wiedział, że ona również tego doświadczyła. Wyczuł jej pełną zaskoczenia reakcję. I był pewien, że nie miała ona nic wspólnego ze zbliżającym się strażnikiem.

W holu rozległy się ciężkie kroki Quinby'ego. Anthony zaklął

pod nosem. Chciał dalej całować Louise, zaciągnąć ją do najbliższej sypialni, położyć na łóżku, zdjąć jej okulary i skromną suknię...

- Co tu robicie? - zapytał strażnik.

Stalbridge uniósł głowę. Nie musiał udawać niechęci i irytacji.

Louisa cofnęła się o krok i zmarszczyła brwi, jakby ją również rozdrażniło pojawienie się intruza. Zauważył, że oddychała pospiesznie, a jej oczy wydawały się lekko zamglone.

- Moja droga, zdaje się, że mamy towarzystwo - powiedział

spokojnie Anthony.

## 13

Quinby zbliżył się do nich. Był wysoki i szeroki w ramionach.

Miał na sobie ciemny płaszcz. W kieszeni tkwił jakiś ciężki przedmiot. Mężczyzna nosił duży,

kosztowny złoty pierścień z onyksem.

Louisa odwróciła się do strażnika. Anthony czuł, że jest wytracona z równowagi. Ukryła zdenerwowanie i z irytacją głośno otworzyła wachlarz.

- Zdaje się, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni - odezwała się lodowatym tonem, który zmroziłby palenisko. Mimo że była niższa, udało się jej spojrzeć na mężczyznę z góry. - Kim pan jest i dlaczego ośmiela się nas niepokoić?

- Bez obrazy, psze pani - odparł Quinby, wpatrując się przenikliwie w Anthony'ego. - Gościom nie wolno wchodzić na piętro.

Odprawdzą państwa na dół.

- Nie potrzebujemy eskorty - powiedział spokojnie Stalbridge.

- Znamy drogę.

- Oczywiście - dodała Louisa.

Uniosła rąbek sukni i zrobiła krok, by wyminąć strażnika. Mężczyzna chwycił ją za łokieć.

Westchnęła głośno, zszokowana.

- Jak pan śmie? - parsknęła.

- Przepraszam, ale zanim pani odejdzie, muszę spytać, co pani tutaj robiła - powiedział.

Obrzuciła go piorunującym spojrzeniem.

- Proszę natychmiast zabrać rękę albo dopilnuję, by pan Hastings dowiedział się o tym incydencie - odparła.

- I tak się dowie. - Groźba najwyraźniej nie zrobiła na Quinbym wrażenia. - Moja w tym głowa, by mówić mu, gdy dzieją się takie rzeczy.

- Takie rzeczy? - rzuciła Louisa. - Co pan insynuuje?

Anthony spojrzał na strażnika.

- Zabierz rękę z ramienia tej damy - rzucił.

Quinby zmrużył oczy. Stalbridge pomyślał, że tamten nie lubi słuchać rozkazów.

**14**

- I to już - dodał cicho.



Strażnik uwolnił Louise.

- Chcę odpowiedzi na moje pytanie - wycedził, nie spuszczać z niego wzroku. - Po co tu przyszliście?

Anthony uświadomił sobie, że pytanie skierowano do niego.

Quinby przestał się interesować Louisa.

Z poufałością kochanka ujął Louise za łokieć.

- Wydaje mi się, że odpowiedź jest oczywista. Ta dama i ja szukaliśmy tu odosobnienia.

Czuł, że dziewczyna nie jest zachwycona sugestią, zawartą w wyjaśnieniu, ale najwyraźniej rozumiała, że nie ma innego wyj

ścia, jak tylko podtrzymać jego wersję. Trzeba przyznać, że nie drgnęła jej nawet powieka.

- Najwyraźniej będziemy musieli udać się gdzie indziej - powiedziała.

- Na to wygląda - zgodził się Anthony.

Zacisnął dłoń na jej łokciu. Odwrócili się i ruszyli w stronę głównej klatki schodowej.

Quinby zaprotestował.

- Nie wiem, po co się tu...

- Właśnie - rzucił Stalbridge przez ramię. - Nie ma pan pojęcia, co moja droga przyjaciółka i ja tutaj robiliśmy. I niech tak zostanie.

- Zatrudniono mnie, żebym miał oko na to, co się tu dzieje

- oświadczył strażnik, idąc za nimi holem.

- Rozumiem - odparł Anthony. - Ale ta dama i ja nie mieliśmy pojęcia, że piętro jest niedostępne dla gości. Nie widzieliśmy żadnych tablic informacyjnych.

- Pan Hastings i ludzie na jego poziomie nie wywieszają tabliczek w takich eleganckich domach jak ten - wycedził Quinby.

- Więc nie może pan mieć do nas pretensji, że zapuściliśmy się aż tutaj, gdy zapragnęliśmy odpocząć nieco od ciżby na dole

- oznajmił uprzejmie Stalbridge.

- Chwileczkę - zawołał strażnik.

Anthony go zignorował.

**15**

- Zdaje się, że mój powóz zapewni nam odosobnienie, którego szukamy - powiedział do Louisy na tyle głośno, by tamten go usłyszał.

Rzuciła mu niepewne spojrzenie, ale na szczęście się nie odezwała.

Zeszli schodami. Quinby zatrzymał się u ich szczytu. Anthony czuł wzrok strażnika, przewiercający go na wylot.

- Będziemy musieli wyjść - powiedział cicho do Louisy. - Gdybyśmy zostali, wzbudziłoby to jego podejrzenia.

- Przyszłam tu z lady Ashton - szepnęła niepewnie. - Nie mogę tak po prostu zniknąć. Będzie się niepokoić.

- Któryś z lokajów przekaże jej liścik, w którym wyjaśni pani, iż wyszła ze mną.

Zesztywniała.

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego? Wieczór taki piękny, a my mamy do omówienia wiele spraw. Nieprawdaż?

- Nie wiem, o czym pan mówi. Doceniam pańską pomoc w holu, jednak nie była potrzebna. Dałabym sobie radę z tym człowiekiem. A teraz naprawdę nalegam...

- Obawiam się, że to ja muszę nalegać. Widzi pani, wzbudziła pani moją ciekawość. Nie spocznę, dopóki nie uzyskam odpowiedzi na pewne pytania.

Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie. Uśmiechnął się do niej z determinacją. Zacisnęła usta, ale przestała protestować. Pewnie planowała ucieczkę. Niewątpliwie wybierze moment, gdy wróci do sali balowej i obecność gości uniemożliwi mu jakąkolwiek gwałtowną reakcję.

- Pani Bryce, musi pani porzucić pomysł, by mnie opuścić. Tak czy inaczej pozwoli pani, bym towarzyszył jej dzisiaj w drodze do domu.

- Nie wsiądę z panem do jego powozu. Nie zmusi mnie pan.

- Nawet mi przez myśl nie przeszło, by użyć przemocy. Zwłaszcza że wystarczą spokojne argumenty.

- Ajakież to argumenty?

**16**

- Może zaczęę od spostrzeżenia, że pani i ja najwyraźniej interesujemy się prywatnymi sprawami naszego gospodarza.

Usłyszał, jak ze zdumienia gwałtownie nabrała powietrza.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła.

- Kilka minut temu wyszła pani z sypialni Hastingsa.

- To tylko domysły - rzuciła.

- To fakty. Wiem, że to była sypialnia Hastingsa, bo wczoraj zdobyłem rozkład pomieszczeń w jego domu.

- Dobry Boże! - Zrozumienie i coś, co wydawało się bezbrzeżną ulgą rozjaśniły jej twarz. - Czy pan jest włamywaczem?

Pomyślał, że przyzwoita, dobrze ułożona dama byłaby przerażona. Louisa Bryce nie wydawała się zdeprimowana faktem, że przebywa w towarzystwie przestępcy. Wyglądała na zaintrygowaną.

Może nawet lepiej pasowałoby określenie „zachwycona”? Nie mylił

się. Była niezwykłą kobietą.

- Chyba nie spodziewa się pani, że potwierdzę te podejrzenia - odparł. - Zanim się obejrzę, wezwie pani policję i każe mnie aresztować.

Ku jego zdumieniu roześmiała się. Spodobał mu się jej śmiech.

- Och, nie - zapewniła i pomachała wachlarzem. - Nie obchodzi mnie, że zarabia pan na życie, okradając Elwina Hastingsa i jemu podobnych. Muszę przyznać, że to by wiele wyjaśniało.

Ich rozmowa zmierzała w dziwnym kierunku.

- Co pani ma na myśli? - spytał.

- Przyznaję, że nieustannie podsycam pan moją ciekawość, odkąd poznałam pana na balu u Hammondów - rzuciła.

- Mam się obawiać czy czuć mile połączony?

Nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko z satysfakcją, niczym kot zwinięty przy kominku.

- Od początku byłam przekonana, że w panu jest coś bardzo tajemniczego - powiedziała.

- Skąd pani to przyszło do głowy?

- Poprosił pan, by mi go przedstawiono, i zatańczył ze mną.

- Szybko otworzyła i zamknęła wachlarz, jakby dla podkreślenia słuszności swojego zdania.

17

- A cóż w tym dziwnego?

- Żaden dżentelmen nie pragnął dotąd zawrzeć ze mną znajomości, a cóż dopiero tańczyć. Gdy na przyjęciu u Wellsworthów znów poprosił mnie pan do tańca, natychmiast doszłam do wniosku, że pan coś knuje.

- Ach tak.

- Oczywiście przyjął, że wykorzystuje pan znajomość ze mną, by ukryć zainteresowanie jakąś inną damą. - Zawahała się.

- Zapewne zamężną.

- Jak widzę, poświęciła pani dużo czasu mojej osobie.

Pewnie tyle samo, ile ja straciłem na myślenie o niej, dodał

w duchu. Spodobała mu się ta zbieżność.

- Wydał się pan zagadką - odparła. - Naturalnie chciałam ją rozwikłać. Ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że pan jest złodziejem.

Muszę przyznać, że to naprawdę niespodziewany obrót wypadków.

Zanim zdążył odpowiedzieć, znaleźli się w głównym holu. Pojawił się przy nich lokaj w staromodnej srebrno-niebieskiej liberii i upudrowanej peruce.

- Przynies płaszcz pani Bryce - powiedział Anthony. - Wezwij mój powóz, a potem przekaż lady Ashton, że ta dama wyszła ze mną.

- Oczywiście, proszę pana. - Lokaj oddalił się pospiesznie.

Louisa nie protestowała. Stalbridge odniósł wrażenie, że tak samo jak on nie może się doczekać, by stąd wyjść. Świadomość, że opuszcza bal w towarzystwie włamywacza, niespecjalnie ją zaniepokoiła. Dziwiło go to.

Lokaj przyniósł skromny płaszcz, w tym samym odcieniu brązu co suknia. Anthony okrył nim ramiona Louisy. Ten drobny, szarmancki gest na pewno zostanie zauważony i zapamiętany. Jeśli Hastings zacznie wypytywać służbę, lokaj ucziwie odpowie, że pani Bryce i pan Stalbridge wydawali się być w bardzo zażyłych stosunkach.

U stóp schodów pojawił się powóz. Anthony pomógł wsiąść Louisie i czym prędzej podążył za nią, żeby nie zmieniła zdania.

Usiadł naprzeciw niej i zatrzasnął drzwi. W ciemnym, przytulnym wnętrzu powozu czuł wyraźnie jej delikatny zapach. Zapach **18**

kobiety i kwiatowej wody toaletowej. Podnieciło go to. Z trudem się zmusił, by się skupić na innych sprawach.

- A zatem, pani Bryce - rzucił. - Na czym stanęliśmy?

- Zdaje się, że miał pan mi opowiedzieć o swojej niezwykłej profesji. - Sięgnęła do mufki i wyjęła notes i ołówek. - Czy mógłby pan podkręcić lampy? Chcę robić notatki.

**2**

Zapadła cisza.

Louisa uniosła wzrok. Anthony patrzył na nią skonsternowany.

Uśmiechnęła się do niego uspokajająco. Taką miała nadzieję.

- Niech się pan nie martwi - powiedziała, otwierając mały, oprawiony w skórę notes, który wszędzie ze sobą nosiła. - Nie zamierzam wykraść panu tajemnic zawodowych.

- Bynajmniej nie zamierzam ich pani ujawniać - odparł sucho.

- Pani Bryce, proszę schować notes.

Przeszedł ją lekki dreszcz. Taki sam jak ten, który poczuła parę dni temu na balu u Hammondów, gdy lady Ashton przedstawiła jej Anthony'ego Stalbridge'a. Jego nazwisko zabrzmiało jak ostrzeżenie. Louisa tłumaczyła sobie, że zaproszenie do tańca przez mężczyznę, którego narzeczona utopiła się w rzece półtora roku temu, to przypadek, a nie złowieszcze zrządzenie losu. Wyższe sfery stanowiły dosyć ograniczony krąg. Tym niemniej, gdy dzisiejszego wieczoru Louisa zobaczyła go w korytarzu przy drzwiach sypialni Hastingsa, omal nie wpadła w panikę. Jego obecność przestraszyła ją o wiele bardziej niż pojawienie się strażnika.

Była przekonana, że poradziłaby sobie z Quinbym. Towarzystwo uważało ją za nudną kuzynkę z prowincji, którą lady Ashton z grzeczności uczyniła swoją damą do towarzystwa. Obie starannie przygotowywały tę historyjkę i robiły wszystko, żeby w nią uwie-rzyono. Strażnik nie żywiłby żadnych podejrzeń.

**19**

Nieoczekiwane pojawienie się w holu Anthony'ego wstrząsnę

ło Louisą do głębi. Nie mogła się już łudzić, że to przypadek.

Od ich pierwszego spotkania instynktownie czuła, że aura zblazowanego znudzenia, którą roztaczał wokół siebie Stalbridge, to tylko poza. Dlatego w jego towarzystwie zawsze starała się zachować

ostrożność. Zapewne z tego samego powodu tak ją fascynował.

Gdy się okazało, że Anthony jest złodziejem, Louisa wpadła na wspaniały pomysł. Przynajmniej taki się na początku wydawał. Teraz zaczynała mieć wątpliwości. Być może przed paroma minutami wcale nie nawiedziła jej cudowna inspiracja, tylko skrajne szaleństwo.

Zauważyła, że Stalbridge przygląda się jej z rozbawieniem i odrobiną irytacji. Na jego twarzy malowała się determinacja.

- Skoro pan nalega - odparła grzecznie, starając się nie okazać rozczarowania. - Żadnych notatek.

Z ociąganiem schowała notes i ołówek.

Nie podkręcił lamp, tak jak prosiła, więc jego twarz pozostała ukryta w cieniu. W ciągu ostatniego tygodnia Louisa kilka razy z nim zatańczyła, miała więc okazję przyjrzeć się jego twarzy. Gdy podczas walca dotykała palcami jego ramienia, czuła wyraźnie siłę, drżącą w mięśniach okrytych kosztownym, dobrze skrojonym surdudem.

Za każdym razem miała wrażenie, że tańczy z elegancko ubranym wilkiem o nienagannych manierach. To uczucie było jednocześnie niepokojące i ekscytujące. Pocałunek, którego doświadczyła kilka minut temu, wstrząsnął nią do głębi. Pomyślała, że nigdy nie zapomni tego przepełniającego drżeniem uścisku.

Anthony wydawał się człowiekiem spokojnym, opanowanym, o stalowej woli. Louise bardzo to pociągało, a jednocześnie wzbudzało jej respekt. Słyszała, że zanim wrócił do Anglii cztery lata temu, spędził wiele czasu, podróżując po odległych krajach. Przeczuciwała, że doświadczenia, które wtedy zebrał, nauczyły go dostrzegać w ludziach więcej niż tylko pozory.

Stalbridge'owie byli powszechnie uważani za ekscentryków. Na ogół ignorowali wyższe sfery. Rodzina szczyliła się jednak wspaniałymi przodkami, a w ostatnich latach stała się bardzo bogata.

## 20

Jak wyjaśniła lady Ashton, te względy sprawiały, że wyższe sfery nie mogły sobie pozwolić na ignorowanie Stalbridge'ów. Anthony i członkowie jego rodziny byli regularnie zapraszani na wszelkie imprezy towarzyskie, choć rzadko przyjmowali zaproszenia.

Każda pani domu, której udało się gościć u siebie Stalbridge'a, uważała to za wielki towarzyski sukces. Stawała się też obiektem podziwu. Młoda żona Hastingsa niewątpliwie była bardzo dumna, że zdołała skłonić Anthony'ego do przyścia na pierwszy bal, który wydała po ślubie.

Upewniwszy się, że notes i ołówek zniknęły, mężczyzna rozsiadł

się wygodnie i przyjrzał dziewczynie spod przymkniętych powiek.

- Co pani robiła w sypialni Hastingsa? - spytał.

Rozmowa nie przebiegała tak, jak to sobie Louisa wyobrażała.

Zamierzała przejąć inicjatywę, tymczasem to on przystąpił do ataku. Zaczęła niemal przesłuchiwać. Nie pozostało jej nic innego jak tylko nadrabiać miną.

- Otworzyłam tamte drzwi przez przypadek - rzuciła.

- Nie wierzę w ani jedno słowo tej żalosznej historyjki. I wątpię, by człowiek, który nas zatrzymał, w nią uwierzył.

- Dla tej okropnej kreatury miałam przygotowaną doskonałą, rozsądną wymówkę - odparowała bez namysłu. - Gdyby pan się nie wtrącił, powiedziałabym, że szukałam jakiegoś pokoju, w którym mogłabym naprawić rozdarcie sukni.

- Nie sądzę, by to usprawiedliwienie wydało mu się wiarygodne. - Anthony wyprostował nogi i skrzyżował ręce na piersi.

- A przy okazji, ta, jaką pani określiła, okropna kreatura nazywa się Quinby. To wynajęty strażnik. Hastings ostatnio zatrudnił dwóch ludzi na tym stanowisku. Obaj noszą pistolety.

Zabrakło jej tchu.

- Wielkie nieba! Chce pan powiedzieć, że ten człowiek był uzbrojony?

- Miał pistolet w kieszeni płaszcza. Przypuszczam, że nosi też ze sobą nóż. Z mojego doświadczenia wynika, że mężczyźni, którzy wychowywali się na ulicy, całkiem sprawnie posługują się tą bronią.

**21**

- Rozumiem. - Louisa wstchnęła i się zamyśliła. - Czy to do świadczenie zdobył pan podczas swoich licznych podróży?

- Madame, widzę, że zbadła pani moją przeszłość. Czuję się zaszczycony, że zwróciłem pani uwagę. Zarumieniła się.

- Cóż, powiedziałam już, że pańskie dziwne zainteresowanie moją osobą wzbudziło z kolei moją ciekawość.

- Pani Bryce, nie wydaje mi się, by w moim zainteresowaniu pani osobą było coś dziwnego. Niech mi pani wierzy, że uważam ją za naprawdę fascynującą kobietę. A odpowiadając na pani pytanie, istotnie spędziłem trochę czasu w miejscach, gdzie mężczyźni z zasady noszą przy sobie broń i wiele się tam nauczyłem. - Przerwał dla większego efektu. - Rozpoznaję takich ludzi w mgnieniu oka.

Nie wiedziała, jak ma rozumieć uwagę, że uważają za fascynującą kobietę, więc postanowiła ją zignorować.

- Przynajmniej coś się wyjaśniło odnośnie do pana Quinby'ego

- stwierdziła rzeczowo. - Zastanawiałam się, dlaczego uważał, że ma prawo potraktować nas tak obcesowo. Rozumiem, że nie jest zwykłym służącym.

- Nie - zgodził się. - Lekcja pierwsza, pani Bryce: następnym razem, gdy zobaczy pani mężczyznę w płaszczu z dziwnie wypchaną kieszenią, niech pani uważa.

- Z pewnością to zapamiętam. Dziękuję za wskazówkę.

- Do diabła! Tracę czas, próbując panią przestraszyć, prawda?

- Panie Stalbridge, zapewniam pana, że można mnie przestraszyć. Przede wszystkim jednak liczą się dla mnie fakty. Naturalnie im więcej się wie o przestępcach, tym lepiej można się przed nimi zabezpieczyć. Ponieważ pan najwyraźniej jest ekspertem, będę mu bardzo wdzięczna za wszelkie informacje, których zechce mi pan udzielić.

- Muszę pomyśleć o jakimś wynagrodzeniu za moje nauki.

- Doskonały pomysł - powiedziała Louisa z ożywieniem. -

Chętnie panu zapłacę za instruktaż. Bardzo mi się przyda.

Spojrzał w ciemność za oknem, jakby szukał tam inspiracji.

- Dostałem za swoje. Powinienem mieć dość rozsądku, by nie zapuszczać się na ten teren.

## 22

- Słucham?

- To nieistotne, pani Bryce. Mówiłem do siebie.

Zabębniła palcami o siedzenie. Szok wywołany świadomością, że człowiek, który ją zatrzymał, był uzbrojony, już minął. Pojawiły się ciekawość i podekscytowanie. Dlaczego Elwin Hastings wynajął dwóch strażników? To bardzo intrygujące pytanie. Po nim szybko pojawiło się kolejne.

Spojrzała na Anthony'ego.

- Skąd pan wiedział, że Hastings wynajął strażników i że są uzbrojeni?

Stalbridge oderwał wzrok od okna.

- Powiedzmy, że z uwagą śledzę wszystkie sprawy Hastingsa.



- To oczywiście. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Musimy iść dalej.

Anthony wydawał się rozbawiony.

- Nie usłyszę żadnego podziękowania za to, że panią uratowałem?

Uśmiechnęła się.

- Pozwólmy sobie na odrobinę szczerości. To był dla pana idealny moment, żeby ujawnić swoją obecność, prawda?

- To znaczy?

- Ja miałam doskonałą wymówkę. Oboje jednak wiemy, że panu znacznie trudniej byłoby wytłumaczyć swoją obecność na korytarzu.

Mam właściwie wrażenie, że to pan powinien mi podziękować.

Odchyliła się na oparcie, zadowolona, że tym krótkim wywodem udało się jej odwrócić sytuację na swoją korzyść.

- Proszę mi przypomnieć, bym później okazał pani wdzięczność - powiedział. - A wracając do tematu, znam tylko dwa powody, dla których ktoś podczas balu wymyka się na górę do sypialni.

Pierwszy i najbardziej oczywisty to schadzka. Proszę powiedzieć, czy poszła się pani spotkać z Hastingsem?

Zdumiona, przez kilka sekund patrzyła na niego z oburzeniem.

Potem się wzdrygnęła.

- Nie. Nigdy w życiu nie nawiązałam romansu z tak nikczemnym mężczyzną.

**23**

Anthony znieruchomiał.

- Co pani o nim wie?

- Między innymi to, że niedawno się ożenił, ale znieważa swoją żonę, patronując pewnemu cieszącemu się złą sławą domowi schadzek.

- Do diabła, jak udało się pani to ustalić? - spytał, naprawdę zaintrygowany.

Omam się nie roześmiała.

- Nieodmiennie rozśmiesza mnie zdumienie mężczyzn, gdy odkrywają, że kobiety nie są tak naiwne, jak im się wydawało. Potrafimy pytać i wyciągać wnioski z odpowiedzi tak samo jak mężczyźni.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę. Skoro nie podobają się pani zasady moralne Hastingsa, to dlaczego przyjęła pani zaproszenie na dzisiejszy bal?

Zawahała się. Nie mogła mu zaufać. Obsesowe pytania zaniepokoiły ją. Chyba nie powinna korzystać z jego pomocy.

- Lady Ashton chciała przyjść na bal - odparła gładko. - Poprosiła mnie, bym jej towarzyszyła.

Anthony zastanowił się chwilę i pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie brzmi to zbyt przekonująco.

Ten chłodny wyrzut obudził w niej gniew.

- Niestety, jest to jedyna wersja, jaką pan usłyszysz - parsknęła.

- Jeśli nie poszła pani na górę, by spotkać się z Hastingsem, to wnioskuję, że weszła pani do jego sypialni, żeby stamtąd coś zabrać.

Zmartwiała.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym odpowiadać na pańskie pytania, skoro pan nie raczył odpowiedzieć na żadne z moich.

- Proszę mi wybaczyć. Czasem ciekawość sprawia, że popadam w obsesję i zapominam o wszystkim innym.

- Cóż za zbieg okoliczności. Ja też.

- Czego pani szukała w sypialni Hastingsa? - spytał cicho.

Zaschło jej w ustach. Wyjście z balu w towarzystwie Stalbridge'a stanowczo nie było najlepszym pomysłem. Teraz stało się to dla niej zupełnie jasne.

**24**

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - odparła.

- Obojgu nam oszczędzi pani czasu i energii, odpowiadając na pytanie.

Uniosła podbródek.

- Chyba nie oczekuje pan, że będę się zwierzać z moich prywatnych spraw. Prawie się nie znamy.

- Po dzisiejszym wieczorze towarzystwo będzie miało inne zdanie - odparł.

Te słowa przejęły ją lękiem. Miał rację. W towarzystwie plotki rozchodziły się błyskawicznie. O ile można było spokojnie zało

żyć, że los pani Bryce nikogo nie obchodził, o tyle w przypadku Anthony'ego Stalbridge'a sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

Bogaci, dobrze urodzeni, nieżonaci dżentelmeni zawsze stanowili obiekt zainteresowania. Poza tym nadal otaczała go aura skandalu, wywołanego samobójstwem narzeczonej. Louisa pomyślała, że jutro towarzystwo na pewno będzie miało o czym rozmawiać.

- Plotki szybko ucichną - rzuciła. - Prędzej czy później zatańczy pan z jakąś inną damą i wszyscy znów o mnie zapomną.

- Zdaje się, że pani chce mnie jak najszybciej odprawić. Jestem zdruzgotany.

- Nie jestem głupią, nastoletnią panienką. Oboje wiemy, że nie interesuje się pan mną dla moich pięknych oczu. Przez ostatni tydzień wykorzystywał mnie pan w jakimś sobie tylko wiadomym celu.

- Naprawdę tak pani myśli?

- Oczywiście. - Bezwzględnie zdławiła iskierkę nadziei, tłącą się w jej sercu. - Niech pan mnie nie obraża, posądzając o brak inteligencji. Nie ma innego powodu, dla którego mogłabym zwrócić pana uwagę. Przyznaję, że zastanawiałam się, o co panu chodzi, ale dzisiejszego wieczoru chyba zyskałam odpowiedź na moje pytanie.

- Doprawdy? I jak ona brzmi?

- Ze względu na pańską profesję musi pan uczestniczyć w rozmaitych imprezach towarzyskich. Jest jasne, że sprytnie odwraca pan uwagę towarzystwa, tak by nikt nie zauważył, czym pan się **25**

naprawdę zajmuje. Przez ostatni tydzień skromna, prowincjonalna krewna lady Ashton okazała się w tym względzie bardzo użyteczna, prawda?

- Myśli pani, że próbowałem ukryć swoją przestępczą działalność? - spytał.

Rozłożyła dłonie w wymownym geście.

- Zdaje się, że iluzjoniści nazywają to odwróceniem uwagi. Je

śli ludzie będą myśleć, że zblazowany pan Stalbridge zabawia się uwodzeniem wdówki z prowincji, nawet nie przyjdzie im do głowy, że mógłby robić jeszcze coś innego.

- Do diabła - rzucił. - Pani naprawdę wierzy, że mam w zwyczaju przywłaszczać sobie cudze kosztowności.

- To jedyne sensowne wytłumaczenie. - Odchrząknęła. - Czy mogę przyjąć, że właśnie w ten sposób

w ciągu kilku ostatnich lat odbudował pan fortunę Stalbridge'ów? Lady Ashton powiedziała, że cztery lata temu, przed pańskim powrotem do Anglii, pańska rodzina stała podobno na krawędzi ruiny.

- Myśli pani, że odbudowałem pozycję finansową rodziny, kradnąc klejnoty?

- Przyzna pan, że to sensowna hipoteza.

- Oparta na fakcie, że w ciągu ostatniego tygodnia kilka razy poprosiłem panią do tańca? Nie, pani Bryce. Nie uważam, że to sensowne założenie. Nie ma pani wystarczających dowodów.

- Och, mam ich więcej - powiedziała spokojnie.

Nawet nie drgnął.

- Mianowicie?

- Widziałam, jak podczas balu u lady Hammond wymknął się pan z sali balowej. Myślałam, że ma pan schadzkę w ogrodzie, jednak pan poszedł do schodów dla służby.

- Dobry Boże, pani mnie śledziła?

- Tylko do schodów - zapewniła go. - Uważałam, że ze względu na okoliczności mam prawo wiedzieć do czego pan zmierza.

- Okoliczności? Do wszystkich diabłów! Ja tylko kilka razy z panią zatańczyłem!

**26**

- Właśnie. Wiedziałam, że musi istnieć jakaś przyczyna pańskiego zachowania - powiedziała. - Jak sam pan zauważył, liczba powodów, dla których ktoś wymyka się kuchennymi schodami podczas imprezy towarzyskiej, jest ograniczona. Na początku przypuszczałam, że umawia się pan na spotkanie z kochanką, ale dzisiejszego wieczoru uświadomiłam sobie, że najprawdopodobniej jest pan złodziejem.

- Pani Bryce, brak mi słów.

Louisa uznała, że nie zabrzmiało to jak komplement. Cóż, nie udało się skłonić go do wyjawienia prawdy. Najwyraźniej Stalbridge się nie przyzna, że jest włamywaczem. I dobrze. Ona też nie zamierza wyjawiać mu swoich sekretów, nawet jeśli na jego widok jej serce zaczynało żywiej bić.

- Panie Stalbridge, biorąc pod uwagę pańską profesję, raczej nie ma pan prawa kwestionować tego, co robię, a tym bardziej mnie pouczać.

- Od wielu lat nie prowadziłem tak intrygującej konwersacji.

Będę jednak z panią brutalnie szczery. Nie wiem, co pani zamierzała osiągnąć dzisiejszego wieczoru,

ale muszę powiedzieć, że wchodząc do sypialni Elwina Hastingsa, naraziła się pani na poważne niebezpieczeństwo. I najwyraźniej nie ma pani o tym pojęcia.

Zastanowiła ją powaga, z jaką to powiedział.

- Z pewnością nie groziło mi nic poważniejszego niż kilka chwil skrepowania - odparła.

- Jeśli pani w to wierzy, to powiem, że wie pani o Hastingsie mniej, niż się pani wydaje.

- Zgodzę się, że pan wie o nim znacznie więcej - przerwała i uśmiechnęła się zachęcająco. - Może byłby pan tak miły i zechciał

mnie oświecić?

Spojrzał na nią ostro.

- Niech pani posłucha. Gdyby Hastings zaczął podejrzewać, że stanowi pani dla niego zagrożenie, znalazłaby się pani w wielkim niebezpieczeństwie.

Uśmiech zastygł jej na ustach.

27

- Chyba nie sugeruje pan, że gdyby Hastings dowiedział się, iż przez przypadek otworzyłam drzwi jego sypialni, mógłby się posunąć do zamordowania mnie.

- Tak, właśnie to sugeruję.

Westchnęła głośno.

- Doprawdy to niedorzeczne. Hastings rzeczywiście nie jest mi

łym człowiekiem, ale to dżentelmen. Wątpię, czy posunąłby się do tego, by zamordować damę, która nie wyrządziła mu żadnej szkody.

Anthony tak gwałtownie pochylił się do przodu, że Louisa aż pisnęła ze zdumienia. Chwycił ją za nadgarstki i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jeśli się nie mylę w swoich wnioskach co do Elwina Hastingsa, to już dwukrotnie popełnił morderstwo.

Ogarnęło ją przerażenie.

- Wielkie nieba! Jest pan tego pewien?

- Tak, jestem pewien. Choć nie mam jeszcze dowodów.

- Powinnam panu wierzyć na słowo - odparła powoli. - Niewątpliwie pan ma lepsze rozeznanie w

tej kwestii niż ja.

- Czyżbym wyczuwał nutkę zazdrości?

- Cóż, muszę przyznać, że informacje na temat świata przestępczego bardzo by mi się przydały.

- Dlaczego? - spytał łagodnie.

Przeniknął ją dreszcz. Czowała silny uścisk palców Anthony'ego. Nie sprawiał jej bólu, ale niezaprzeczalnie więził jej ręce. Musiała włożyć

dużo wysiłku w to, by jej głos zabrzmiał spokojnie i chłodno.

- Nie jestem dla pana konkurencją - zapewniła. - Nie interesują mnie kosztowności.

- Więc czego, do diabła, szukała pani w jego pokoju?

Wahała się jeszcze chwilę, a potem podjęła decyzję. Wiedział, że była w tamtym pokoju i nie zdradził jej przed strażnikiem. To jasne, że nie jest sprzymierzeńcem Elwina Hastingsa. A choć zachowywał

się jak dżentelmen, był złodziejem, więc obce mu były jakiegokolwiek skrupuły. Louisa nie miała zresztą większego wyboru. Anthony Stalbridge to niezwykle mężczyzna, niepodobny do innych. Może

**28**

nawet zdecyduje się jej pomóc, jeśli tylko wyzwanie wyda mu się dostatecznie intrygujące.

- Miałam nadzieję znaleźć dowody na to, że Hastings zainwestował w dom schadzek - wyznała. - Przybytek o nazwie Dom Feniksa.

Zapadła cisza.

Anthony najwyraźniej zaniemówił. Przyglądał się jej uważnie przez dłuższą chwilę. Uwolnił jej nadgarstki, ale nadal pochylał się nad nią. Splótł dłonie i tylko patrzył, jakby była wyjątkowo dziwnym okazem w menażerii.

- Szuka pani dowodów, że Hastings zainwestował pieniądze w dom schadzek? - spytał, jakby chciał zyskać w tej kwestii absolutną pewność.

Zacisnęła ręce na mufce.

- Tak-odparła.

- Czy wolno spytać, w jakim celu?

- To nie pańska sprawa - ucięła.

Pokiwał głową.

- Tak, chyba nie moja. Skąd pomysł, że dowody na to mogą się znajdować w sypialni?

- Udało mi się wcześniej wśliznąć do biblioteki i przeszukać szuflady biurka. Nawet nie były zamknięte. Nie znalazłam niczego interesującego. Poza sypialnią żadne inne miejsce nie przyszło mi do głowy.

- Przetrzaśnęła pani biurko Hastingsa w poszukiwaniu dokumentów, dotyczących jego interesów. - Anthony niczemu się już nie dziwił. Pokręcił głową. - To najgłupsza, najbardziej lekkomyślna i ryzykowna rzecz...

- Nie pytałam pana o zdanie - odparła sztywno Louisa. - Zresztą nie taka znów ryzykowna. W pobliżu nie było nikogo. Dzisiejszego wieczoru służba miała mnóstwo zajęć.

- To cud, że nie została pani schwytana przez któregoś ze strażników.

- Cóż, nie zdawałam sobie sprawy z ich obecności - wyznała Louisa, skruszona.

29

- To poważne zaniedbanie.

- Rzeczywiście - przyznała i się wyprostowała. - Jak powiedzia

łam, poza sypialnią żadne inne miejsce nie przyszło mi do głowy.

- Rozumiem, że nie udało się pani niczego znaleźć?

- Niestety nie - westchnęła. - Przejrzałam wszystkie szuflady w szafie, szukałam też pod łóżkiem. Pod oknem stał mały sekreta-rzyk. Szuflada była otwarta, ale pusta. Nie znalazłam żadnego innego schowka ani sejfu.

- To dlatego, że jest ukryty w podłodze - rzucił Anthony.

Louisa szeroko otworzyła oczy.

- Wie pan to z całą pewnością?

- Tak. To patentowany sejf Apollo. Najlepszy, najpewniejszy sejf, jaki jest dostępny na rynku - odparł.

- Jestem pod wrażeniem. Pan musi być naprawdę bardzo dobry w swoim fachu. Widzę, że gromadzi pan użyteczne informacje o swoich, hm, celach. Nie przyszło mi nawet do głowy, by szukać sejfu w podłodze.

- Całe szczęście. Gdyby została pani w tamtym pokoju chwilę dłużej, strażnik na pewno przyłapałby

panią w niezręcznej sytuacji.

- Nawet gdybym znalazła sejf, nic by mi z tego nie przyszło.

Z zalem stwierdzam, że choć dam sobie radę z prostym zamkiem za pomocą szpilki do włosów, nie mam doświadczenia w otwieraniu sejfów.

- Pani Bryce, ze zdumieniem się dowiaduję, że pani pomysłowość ma jakieś granice.

Zacisnęła ręce w pięści.

- Niech pan sobie daruje sarkazm - parsknęła.

- Czy poprawi pani humor, jeśli powiem, że nikomu jeszcze nie udało się otworzyć zamka w sejfie Apollo? Włamywacze posuwają się nawet do użycia środków wybuchowych. Jak na razie to jedyny skuteczny sposób, aby dostać się do środka.

- W takim razie, jak zamierzał pan otworzyć sejf Hastingsa? Bo przecież to właśnie zamierzał pan zrobić, prawda?

- Proszę wybaczyć. Powinienem był powiedzieć, że prawie nikomu nie udało się jeszcze otworzyć zamka. Jest jeden wyjątek.

**30**

Poczuła przyływ nadziei.

- Pan? - spytała.

- Tak.

Zebrała się na odwagę.

- W takim razie, biorąc pod uwagę, że zaszliśmy już tak daleko, mam dla pana propozycję.

- Wolnego. - Uciszył ją gestem. - Ani słowa więcej.

- Ja tylko się zastanawiałam, czy pańskie umiejętności są do wynajęcia - wtrąciła szybko.

Nie drgnęła mu nawet powieka.

- Chce mnie pani wynająć, bym włamał się do sejfu Hastingsa?

- Właśnie. Moja misja dzisiejszego wieczoru się nie powiod

ła. Ale pan jest w tych sprawach ekspertem. Najwyraźniej w ciągu ostatnich paru lat odniósł pan wiele sukcesów. - Wskazała dłonią jego elegancki strój wieczorowy i wygodny, szykowny powóz, którym jechali. - Zdaję sobie sprawę, że nie musi pan przyjmować dodatkowych zleceń. Ale skoro



pan i tak zamierza otworzyć sejf Hastingsa, byłabym bardzo wdzięczna, gdyby przy okazji przejrzał

pan jego zawartość. Jestem zainteresowana wszelkimi dokumentami dotyczącymi domu schadzek. Wynagrodzę panu tę fatygę.

- Pani Bryce, nie przyjmuję tego typu zleceń.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się do niego promiennie i bardzo zachęcająco. - Jednak człowiek interesu, taki jak pan, z pewnością nie odrzuci dowodów wdzięczności od wielce zobowiązanej mu osoby.

Milczał przez dłuższy czas.

- I cóż? - ponagliła.

- Jest pani nadzwyczajną kobietą.

- Pan sam nie jest zwyczajnym człowiekiem. Nie wydaje mi się, by wielu złodziei klejnotów obracało się w wykwintnym towarzystwie.

Ta uwaga najwyraźniej go rozbawiła.

- Chyba bardzo by się pani zdumiała, gdyby zbadała sprawę bliżej. Można spokojnie stwierdzić, że ci, którzy obracają się w wyższych sferach, wcale nie są uczciwsi od ludzi, pochodzących z innych warstw społecznych.

**31**

- Och, zgadzam się z panem - powiedziała. - Jest jednak pewna różnica między osobami z tych dwóch sfer. Otóż w porównaniu z ludźmi z nizin, arystokraci o wiele rzadziej odpowiadają za swoje przestępstwa.

Uniósł brew.

- Pani Bryce, pani jest cyniczna - rzucił.

- Nie mam złudzeń co do bogatych i wpływowych ludzi.

Wiem aż za dobrze, ile krzywdy mogą wyrządzić i jak łatwo potrafią uniknąć sprawiedliwości. Ale to chyba nie najlepsza pora, by dyskutować o tych sprawach.

- To prawda - odparł. - Zdaje się, że mamy przed sobą pilniejsze kwestie.

- Niewątpliwie zamierza pan wrócić do rezydencji Hastingsa, by zrealizować swoje zamiary. Proszę tylko, by po otwarciu sejfu rozejrzał się pan za dokumentami powiązаныmi z Domem Feniksa.

Z radością wynagrodzę panu wszelkie wysiłki.

- Zakładając, że nie zastrzelili mnie strażnik.

- Jestem pewna, że ma pan dużo wprawy. W końcu, jak dotąd nic się panu nie stało.

- Doceniam pani wiarę.

Poczuła przyływ nadziei.

- Przyjmie pan zlecenie?

- Dlaczego nie? - powiedział z rezygnacją. - Zresztą dzisiejszego wieczoru nie mam nic ciekawszego do zrobienia.

- Doskonale. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Poczekam na pana w powozie.

- O, nie. Najpierw odwiozę panią do domu. O wynikach moich działań porozmawiamy jutro.

- Chyba zapomina pan o najważniejszym. To ja płacę za wykonanie pracy. I chcę zostać w pobliżu, dopóki pan nie skończy zadania.

- Innymi słowy, nie ma pani do mnie zaufania.

- Proszę wybaczyć. Nie chciałam pana urazić. To dlatego, że nigdy dotąd nie miałam okazji wynajmować złodzieja. Wolałabym podejść do tej sprawy jak do interesu. - Zawahała się. - A jeśli chodzi o finanse...

**32**

Spojrzał na nią groźnie spod przymrużonych powiek.

- Zapewniam panią, że dobrze się nad tą kwestią zastanowię.

**3**

Do diabła, jak do tego doszło? Miał się włamać do sejfu Elwina Hastingsa, podczas gdy jego świeżo upieczona współpracownica, czy raczej zleceniodawczyni, czekała na niego w pobliskiej uliczce w powozie. Jego i tak skomplikowane życie dzisiejszego wieczoru nagle zaczęło biec nowym, jeszcze bardziej krętym torem.

Po raz drugi tej nocy Anthony obserwował mroczny hol na piętrze domu Hastingsa. Strażnika nie było w pobliżu. Stalbridge sprawdził wnękę, w której sam poprzednio się ukrywał. Była pusta.

Wejście do rezydencji okazało się stosunkowo proste. Włożył

długi płaszcz i wcisnął na głowę melonik. Louisa, zaintrygowana, przyglądała się przebraniu.

- Nikt mnie nie pozna, jeśli zobaczy mnie z daleka - wyjaśnił.

- W tym stroju prezentuje się pan groźnie. Zdumiewające, jak bardzo zmienił się pański wygląd. Mógłby pan uchodzić za przestępcę.

- Chodziło raczej o to, bym wyglądał na szacownego kupca

- powiedział.

- Ach, tak. Przepraszam.

Bez problemu przeskoczył ogrodzenie. Musiał się jednak ukryć za żywopłotem, gdy Royce, drugi strażnik, patrolował teren.

Zanim przybył na bal, przestudiował plan domu, później rozejrzał się po wnętrzu. Bez kłopotu odnalazł wejście dla służby. Schody kuchenne, prowadzące na piętro, były puste. Zabiegana służba krążyła po parterze, zajęta spełnianiem zachcianek tłumu gości.

Zadowolony, że ma całe piętro dla siebie, otworzył drzwi sypialni gospodarza. Zatrzymał się w progu, przyglądając się oświetlonemu księżycem pokojowi. Obserwował Hastingsa od ponad roku i wiele już o nim wiedział.

### 33

Uniósł róg dywanu i znalazł sejf tam, gdzie się spodziewał. Nie musiał zapalać światła. Dokładnie wiedział, co robi. Włamując się do sejfu Apollo, trzeba się było posługiwać słuchem, a nie wzrokiem.

Poszło mu gładko. Zestaw narzędzi, który przyniósł ze sobą, został zamówiony u jednego z najlepszych rzemieślników w Birmingham. Wytrychy były delikatne i precyzyjne niczym skalpel chirurga.

Po omacku sięgnął do wnętrza sejfu i wyjął z niego całą zawartość. Rozłożył wszystkie przedmioty na dywanie w smudze księ

zycowego światła. Cztery aksamitne woreczki, w których zwykle przechowywało się biżuterię, wiele dokumentów handlowych, pięć oprawionych w skórę notesów i koperta zawierająca trzy listy.

Najpierw przekartkował bruliony. Cztery okazały się dziennikami, ale żaden z nich nie zostały napisany przez Hastingsa ani jego żonę. Piąty był rejestrem płatności, otrzymanych od osób oznaczonych tylko inicjałami. Listy w kopercie napisała jakaś młoda dama.

Wsunął pamiętniki, listy i dokumenty handlowe do wewnętrznych kieszeni płaszcza i zajął się woreczkami z biżuterią. W pierwszych trzech znalazł bransolety, kolczyki i naszyjniki z brylantami, perłami i rubinami. Zapewne należały do pierwszej pani Hastings, znanej z doskonałego gustu. Rozwiązał czwarty woreczek i wysypał

jego zawartość na dłoń. Światło księżyca załśniło na nieco staro

świeckim naszyjniku z oprawionych w złoto brylantów i szmaragdów. Znał ten klejnot.

Ogarnęło go podniecenie. Miał nadzieję, że dzisiejszego wieczoru uzyska przynajmniej jakieś poszlaki. Nie spodziewał się, że aż tak mu się poszczęści.

Schował naszyjnik z powrotem do woreczka, zawiązał rzemyki i włożył go do kieszeni.

Wrzucił pozostałe woreczki do sejfów i zamknął drzwiczki. Potem poprawił dywan. Trudno ocenić, kiedy Hastings zajrzy do sejfów, ale w momencie, gdy go otworzy, na pewno wpadnie w panikę. To oczywiste, że zwykły złodziej nie zostawiłby prawie całej biżuterii.

Gdy właściciel zorientuje się, co dokładnie zostało zabrane z sejfów, uświadomi sobie, że ktoś chce go pogrążyć. Będzie przerażony.

Anthony podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać.

## 34

W holu skrzypnęła podłoga. Za chwilę znowu, tym razem bli

żej. Ktoś szedł korytarzem w kierunku sypialni. Najprawdopodobniej jeden ze strażników. Czy otworzy drzwi sypialni? Trudno było ocenić, jak dociekliwy okaże się Quinby czy Royce w patrolowaniu domu. Z drugiej strony z tego, *co* Anthony wiedział o Hastingsie, raczej mało prawdopodobne, że ten pozwoliłby im wchodzić do prywatnych apartamentów.

W korytarzu rozległy się głosy. Mężczyzna powiedział coś cichym, błagalnym tonem. Odpowiedziała kobieta, równie cicho i gorączkowo.

Najwyraźniej Hastings wymknął się na górę z jedną z zaproszonych dam, podczas gdy jego świeżo poślubiona małżonka zabawiała gości na dole. Jak widać Louisa nie bez podstaw miała o nim niepochlebną opinię. Jednak w tej chwili Anthony niespecjalnie się przejmował problemami małżeńskimi nowej pani Hastings. Musiał

się wydostać z tego pokoju.

Miał do wyboru albo okno, albo drzwi prowadzące do sypialni pani Hastings. Zdecydował się na to drugie. Gdyby wyszedł na zewnętrzny gzyms, mogłoby się okazać, że wszystkie okna obok są zamknięte.

Trzymał już rękę na klamce do sąsiedniego pokoju, gdy otworzyły się prowadzące do niego drzwi wejściowe. Znieruchomiał, przysłuchując się rozmowie wchodzącej pary.

- Lilly, to jest piekielnie ryzykowne.

- Hastings i jego goście wypili zbyt dużo szampana. Nikt nie zauważy, że ty i ja wymknęliśmy się na chwilę. Zresztą to nie jest bardziej ryzykowne niż nasze wcześniejsze spotkania, zanim zosta

łam zmuszona do tego ohydneho małżeństwa.

- Ale jeśli ktoś nas zauważy...

- Kochany, tak się za tobą stęskniłam. Te ostatnie tygodnie były koszmarem. Przytul mnie.

Słychać było szelest sukni i namiętne westchnienia.

- O Boże, Lilly. Nie wiesz nawet, co czuję. Każdej nocy nie mogę zasnąć, wyobrażając sobie ciebie w łóżu Hastingsa. Ta wizja powoli doprowadza mnie do szaleństwa.

**35**

- Kochany, nie zdręczaj się. Podczas nocy poślubnej do niczego nie doszło. Nie mógł skonsumować naszego małżeństwa. Od tamtej pory do mnie nie przychodzi.

- Hastings jest impotentem?

- Twierdzi, że to moja wina. Że ma specjalne potrzeby, a ja ich nie rozumiem. Myślę, że gdzieś chodzi, by te potrzeby zaspokoić.

Wierz mi, jestem za to wdzięczna losowi.

- Ja też.

Anthony puścił klamkę, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi prowadzące na korytarz. Wymknął się do holu i ruszył na dół kuchennymi schodami.

**4**

Dopiero wtedy, gdy nagle otworzyły się drzwi, Louisa zdała sobie sprawę, w jakim napięciu czekała na powrót Anthony'ego. Krzyknęła przestraszona, gdy wskoczył do zaciemnionego powozu.

- Nie miałem zamiaru pani przestraszyć - rzucił.

Otworzył szyberdach.

- Ned, na Arden Square.

- Tak jest, proszę pana.

Powóz szarpnął i ruszył do przodu. Anthony opadł na siedzenie naprzeciw niej.

Natychmiast wyczuła, że coś się stało. Promieniowało z niego podniecenie. Louisa miała wrażenie, że znalazła się w klatce z panterą, która wyczuła woń tropionej ofiary.

- Co pana zatrzymało? - spytała ostrzej, niż zamierzała. - Już się zaczynałam denerwować. Nie było

pana bardzo długo.

- Najwyżej dwadzieścia minut. Większość czasu spędziłem w ogrodzie, czekając na dogodny moment, by wejść do domu.

- Czas się bardzo dłuży, gdy się siedzi w zamkniętym, ciemnym powozie. - Spojrzała na niego, próbując dojrzeć twarz. - Były jakieś problemy?

**36**

- Dziękuję za troskę. Jedyne problemy okazały się w końcu bez znaczenia.

- Jak na człowieka, który właśnie ryzykował życie, wydaje się pan być w doskonałym humorze. Czyżby sprawiało to panu przyjemność?

Zastanawiał się nad odpowiedzią, a potem wzruszył ramionami.

- Niewielki wysiłek rzeczywiście poprawił mi humor. A pani, madame? Czy zakradanie się do cudzych sypialni wywołuje w pani dreszcz podniecenia?

- Bynajmniej - odparła sztywno i uniosła podbródek. - I niepotrzebnie mówi pan to tak, jakbym praktykowała tego typu rzeczy codziennie.

- Rozumiem. Zatem przemyka się pani przez cudze apartamenty tylko gdy znajdzie panią na to ochota? Kiedy po raz pierwszy wtargnęła pani do czyjejś sypialni? - spytał.

Poczuła na plecach ostrzegawczy dreszcz.

Powiedziałaś już dość, upomniała się w duchu. Mimo że tej nocy ci pomaga, nie zmienia to faktu, że nie znasz tego mężczyzny.

Nie możesz ryzykować i wyjawiać mu tajemnic.

- To nieistotne - odparła. - Niech pan powie, co pan znalazł.

Udało się panu otworzyć sejf?

- Oczywiście. - Podkręcił lampę i wyjął garść dokumentów.

- To wszystko, co było w środku.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Zabrał je pan? - spytała.

- Tak. Nie miałem czasu przeglądać papierów, by znaleźć dokładnie ten dokument, o który pani chodzi.

- Dobry Boże! - Właściwie mogła się tego spodziewać. W końcu był złodziejem. -Ja, hm, chciałam tylko wiedzieć, czy w sejfie są jakiegokolwiek papiery dotyczące domu schadzek. Właściwie nie chodziło mi o... - urwała. - Nieważne.

- Proszę. - Podał jej papiery. - Niech pani sprawdzi, czy jest tam to, czego pani szuka.

Ostrożnie wzięła dokumenty i uniosła je do światła.

**37**

- Zdaje się, że wszystkie dotyczą interesów - powiedziała, przeglądając je po kolei. - Większość ma związek z najnowszym przedsięwzięciem Hastingsa. Nie widzę niczego, co... - urwała, gdy zauważyła znajomy adres. Serce zabiło jej mocniej. -A jednak.

Ten dotyczy domu na Winslow Lane 22.

Szybko przeczytała dokument i uniosła wzrok.

- Zgodnie z tym, co tu jest napisane, Hastings zainwestował

ostatnio poważną sumę w Dom Feniksa.

- Zawsze mówię, że nie ma to jak zadowolona klientka. -Wyjął

z kieszeni notesy. - Czy mogę mieć nadzieję, że w przyszłości skorzysta pani ponownie z moich usług?

Zignorowała kpinę i spojrzała na notesy.

- Co to takiego? - spytała.

- Nie jestem pewien. Zabrałem je, ponieważ wydało mi się, że nie należą ani do Hastingsa, ani do jego żony.

Podał jej jeden tomik, a sam otworzył drugi.

- To dziennik - powiedziała Louisa. Urwała na widok nazwiska na jednej ze stron. - Wielkie nieba, ma pan rację. To nie należy do Hastingsa. Sądząc po podpisie, to dziennik panny Sary Brindle.

Pod koniec miesiąca ma wyjść za mąż za lorda Mallenby'ego. Do licha, jak to trafiło w jego ręce?

- Doskonałe pytanie. - Uniósł notes, który sam przeglądał.

- Ten dziennik należy do Julii Montrose.

- Zostałyśmy sobie przedstawione. Niedawno zaręczyła się z Richardem Plumsteadem, uważanym za doskonałą partię. Jej narzeczony odziedziczy po ojcu tytuł. - Zmarszczyła brwi. - To doprawdy

zadziwiający. Po co Hastingsowi te dzienniki?

- Przychodzi mi do głowy co najmniej jeden bardzo dobry powód - wycedził.

Oddechnęła szybko.

- Myśli pan, że je szantażował? - spytała.

- Wątpię, czy te młode panny mają dość własnego majątku, by zapłacić szantażyście. Zapewne dostają kieszonkowe raz na kwartał.

Jeśli Hastings wymusza pieniądze, to przypuszczalnie od kogoś z ich krewnych. W przypadku Julii najpewniej od lady Penfield, prababki **38**

dziewczyny. Stara lady nadal kontroluje rodzinną fortunę. - Anthony urwał na chwilę. - Ta dama jest już w podeszłym wieku i nie domaga.

- Lady Ashton wspominała także coś o podstarzałej ciotce Sary Brindle, która trzyma pieczę nad majątkiem dziewczyny.

Anthony otworzył ostatni tomik.

- A to, jak sądzę, jest rejestr sum, uzyskanych z szantażu.

- Musimy zwrócić te dokumenty prawowitym właścicielkom

- powiedziała Louisa.

- Zgadzam się. Jednak będzie to wymagało sporo dyskrecji.

- Oczywiście. Nie możemy się ujawnić. - Louisa się zawahała.

- A co z dokumentami dotyczącymi jego interesów?

- Te zatrzymam - odparł chłodno Anthony.

- Ależ one są własnością Hastingsa. Zabrać przedmioty będące podstawą szantażu to jedno, ale inne dokumenty należy włożyć z powrotem do sejfu.

Spojrzał na nią zimno.

- Ten drań jest nie tylko szantażystą, ale także bezlitosnym mordercą. Nie czuję się zobowiązany, by zwracać mu cokolwiek.

Nagle poczuła chłód.

- Już po raz drugi nazwał go pan mordercą. Czy ma pan jakieś dowody, by tak twierdzić? - spytała.



- Dotąd nie miałem - odparł.

Wyjął z kieszeni woreczek z czarnego aksamitu. Rozwiązał go i odwrócił do góry dnem. Kaskada złota i lśniących drogich kamieni spłynęła mu na dłoń.

- Wielkie nieba - szepnęła. - To musi być warte fortunę.

- Tak. Jest też dowodem na to, że Hastings popełnił morderstwo.

- Nie rozumiem. Zabrał pan to dzisiaj z jego sejfu?

- Tak.

Popatrzyła na połyskujący klejnot, zafascynowana mimo woli.

- Pan naprawdę jest złodziejem klejnotów - szepnęła.

- Ten naszyjnik należał do Fiony Risby - rzucił.

Spojrzała na jego posępną twarz.

- Do pańskiej narzeczonej? Słyszałam, że rzuciła się z mostu do rzeki.

**39**

- Nigdy nie wierzyłem, że Fiona popełniła samobójstwo. Odnalezienie tego naszyjnika w sejfie Hastingsa dowodzi, że miałem rację. On ją zabił - wycedził.

- Jest pan pewien, że to należało do niej?

Włożył klejnot z powrotem do woreczka.

- Tak, to klejnot rodowy, bardzo charakterystyczny. Fiona miała go na szyi w noc swej śmierci.

- Co pan teraz zrobi? - spytała Louisa. - Zabrał pan naszyjnik z sejfu, więc nie posłuży on jako dowód przeciw Hastingsowi, bo przestał być w jego posiadaniu. - Zawiesiła na chwilę głos. - Muszę zwrócić panu uwagę, że jeśli policja odkryje, iż to pan ma naszyjnik, może uznać pana za podejrzanego.

- Nie mogłem zostawić go w sejfie - wyjaśnił Anthony. - Nigdy nie zostałby tam odnaleziony. Hastings nie pozwoliłby policji przeszukać swojej rezydencji.

- Rozumiem. Ale co pan chce z nim zrobić?

- Jeszcze nie wiem - przyznał. - Mam nadzieję, że wymyślę jakiś plan. Porozmawiamy o nim jutro, kiedy się u pani zjawię.

- Chce pan mnie jutro odwiedzić na Arden Square? - spytała zaskoczona.

- Oczywiście - odparł Anthony z enigmatycznym uśmiechem.

- Muszę przecież odebrać moją zapłatę za pracę wykonaną dzisiejszej nocy.

**5**

Anthony wszedł do ciemnego domu. Sam otworzył sobie drzwi.

Jego niezbyt liczna służba została pouczona, by nie czekać na powrót pana.

Poszedł do biblioteki i rzucił płaszcz na oparcie krzesła. Zdjął

frak, rozwiązał krawat i rozpiął sztywny kołnierzyk koszuli.

**40**

Położył przedmioty zabrane z sejfu na stoliku obok fotela i nalał

sobie brandy. Wypił duży łyk i powoli usiadł. Sięgnął po dokumenty i zaczął czytać.

Dwadzieścia minut później nie miał wątpliwości, co trzyma w rękach. Te papiery potwierdzały plotki, które słyszał w klubach.

Elwin Hastings przygotowywał kolejne zyskowe przedsięwzięcie.

Nie było w tym nic dziwnego. W ciągu kilku ostatnich lat zaangażował się w wiele takich interesów. Jednak w tym konkretnym przypadku zdumiewające było to, kogo wziął na jednego ze wspólników.

Anthony dopił brandy, wstał i nalał sobie następną szklanekę.

Pora była późna, ale nie chciał jeszcze się kłaść. Wiedział, że gdy w końcu zaśnie, najprawdopodobniej przyśni mu się Fiona. We śnie nie zobaczy tamtej młodej, ślicznej, promiennej kobiety, jaką była za życia, tylko trupa. Będzie wyglądała tak jak wtedy, gdy wyciągnęli ją z rzeki, a jej nieruchome oczy patrzyły na niego z wyrzutem.

Wyjął naszyjnik z woreczka i dokładnie mu się przyjrzał. Znalazł jednoznaczną odpowiedź na jedno z dwóch pytań, które prze

śladowały go przez ostatnie czternaście miesięcy. Fiona nie popełni

ła samobójstwa. Została zamordowana przez Hastingsa.

Pozostawało drugie pytanie. Musiał się dowiedzieć, dlaczego została zabita. A przede wszystkim czy to nie on był odpowiedzialny za to, że znalazła się w niebezpiecznej sytuacji, która doprowadziła do jej śmierci.

Napił się jeszcze brandy. Zaczął układać plan.

W końcu udał się do sypialni. Ale to nie wizja martwej Fiony zakłócała mu sen. Widział twarz Louisy Bryce. Patrzyła na niego przez zasłonę okularów, czujna i zagadkowa. W sennych marzeniach gonił ją przez nieskończony labirynt korytarzy ze świadomością, że nie spocznie, dopóki nie pozna wszystkich jej tajemnic.

41

6

Koszmar zaczął się tak jak zwykle...

Na dole rozległ się stłumiony huk. Dźwięk dochodził z tyłu sklepu. Ktoś wyłamał nowy zamek, który kazała założyć w zeszłym tygodniu.

Nagle zrobiło jej się zimno. Sparaliżował ją strach. Serce wali

ło jak oszalałe. Panika ścisnęła żołądek. Oblał ją zimny pot. Zaczę

ła dygotać w mokrej koszuli nocnej. Ścisnęła w rękach koc, jakby mógł posłużyć za tarczę.

Skrzypnęły zawiasy. Otworzyły się drzwi. Potwór wszedł do sklepu.

Przyszedł po nią. Przez ostatni miesiąc żyła w coraz większym lęku. Dzisiejszej nocy sprawdziły się jej najgorsze obawy.

Musi się ruszyć. Nie może zostać w łóżku niczym przerażone dziecko, czekające, aż porwie je zła czarownica.

Najniższy stopień zaskrzypiał pod ciężkim butem. Intruz nawet nie starał się ukryć swej obecności. Chciał, by wiedziała, że po nią przyszedł.

Musi natychmiast ruszyć się z łóżka albo nie będzie już dla niej ratunku. Krzykiem niczego nie zdziała. W pokoju obok nikogo nie ma.

Nikt jej nie usłyszy. Chyba nawet nie zdołałaby wydać z siebie głosu.

Przerażający paraliż ogarnął nie tylko jej ciało, ale również i gardło.

Z trudem skupiła się na rozpaczliwym planie, który wymyśliła parę dni temu. To dodało jej sił.

Najwyższym wysiłkiem woli odrzuciła pościel i wstała. Podłoga była lodowata. Dziwne, ale uspokoiło ją to.

Usłyszała skrzypnięcie kolejnego stopnia. Intruz był w połowie schodów. Nie spieszył się. Wiedział, że zdąży.

- Ostrzegalem cie, Joanno. -Jego głos był pełen żądy. - Czy naprawdę myślałaś, że zdołasz mi się przeciwstawić? Jesteś tylko niemądrą sklepikarką. Nikim. I musisz się nauczyć, gdzie jest twoje miejsce.

Z każdym kolejnym krokiem w jego głosie narastał gniew.

42

- Powinnaś być wdzięczna, że dżentelmen o mojej pozycji zechciał zaszczycić cię spojrzeniem. Wdzięczna! Słyszysz mnie, ty głupia dziwko? Powinnaś błagać, żebym cię wziął.

W sypialni nie było drzwi. Jedyne ciężka kotara zagradzała drogę napastnikowi.

Uświadomiła sobie, że nie zasłoniła okna. Jej sylwetka była doskonale widoczna w smudze księżycowego światła, rozproszonego we mgle. Pospiesznie zaciągnęła zasłony, pogrążając pokój w nieprzeniknionej ciemności.

Znała niewielkie pomieszczenie na pamięć. Potwór nigdy go nie widział. Jeśli dopisze jej szczęście, gdy intruz wejdzie do ciemnego pokoju, zacznie się potykać i obijać o meble. To da jej możliwość ucieczki za jego plecami.

Przeszedł przez salon i zbliżył się do oddzielonej kotarą sypialni. Usłyszała jego kroki na cienkim dywanie.

- Kobiety takie jak ty muszą znać swoje miejsce. Pokażę ci, co spotyka te, które nie okazują należytego szacunku mężczyznom, przewyższającym je pozycją.

Uniosła ciężki pogrzebacz, który położyła przy łóżku. Ścisnęła go w obu rękach. Modliła się.

Po drugiej stronie zasłony rozległ się trzask. Przez szpary przy brzegach tkaniny przeniknął słaby blask światła. Potwór zapalił świecę.

Nie uda się jej przechytryć go w ciemności, panującej w sypialni.

Mało brakowało, żeby straciła panowanie nad sobą. Pogrzebacz omal nie wyslizgnął się jej z rąk. Przywarła plecami do ściany tuż obok kotary.

- Joanno, kazałaś mi czekać aż nadto długo. Teraz zapłacisz za swoje zuchwalstwo.

Gwałtownie szarpnięta zasłona odsunęła się. Oblicze bestii oświetlała świeca, trzymana w ręce. Przystojna twarz wykrzywiła się w maskę demonicznej żądy.

Płomień złowieszczo błysnął na ostrzu noża, który trzymał w dłoni.

Wszedł do sypialni i ruszył w kierunku łóżka...

Louisa się obudziła, zdyszana i przerażona. Koszulę miała mokrą od potu.

Czy krzyknęła? Miała nadzieję, że nie. Nie chciała przstraszyć Emmy. W ciągu ostatnich miesięcy koszmary pojawiały się coraz rzadziej. Zaczęła już nawet mieć nadzieję, że znikły na dobre.

Nie powinna się była łudzić.

Odrzuciła pościel, wstała i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem. Starła się uspokoić, opanować gwałtowne bicie serca i normalnie oddychać.

Po pewnym czasie odzyskała panowanie nad sobą. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, szukając prostytutki w czerni.

Kobieta nie przysła dzisiaj do parku. Być może tego wieczoru zjawiła się wcześniej albo porzuciła próby znalezienia klienta i wróciła do swojej kwatery. Arden Square było spokojną, nadzwyczaj porządną okolicą. Nie przychodzili tu mężczyźni szukający prostytutek.

Kobietę w czerni zauważyła kilka wieczorów temu. Nieznajoma miała na sobie czarny aksamitny płaszcz i czarny kapelusz z woalka, która zupełnie skrywała jej twarz. Zapewne wdowa, którą śmierć męża wygnała na ulicę. Zdarzało się to dosyć często. Kobieta jakiś czas stała pod drzewem, najwyraźniej czekając na mężczyznę, który w poszukiwaniu prostytutki podjedzie tu powozem.

Być może porzuciła tę okolicę. A może utraciła nadzieję i rzuciła się do rzeki, jak tyle innych zropaczonych niewiast przed nią.

Świat jest okrutny dla kobiet, które znalazły się w podobnej sytuacji jak ta prostytutka, pomyślała Louisa. Śmierć męża wpędzała wiele dam w skrajną nędzę, nie pozostawiając im dużego wyboru.

Z jednej strony towarzystwo je potępiało, a równocześnie uniemożliwiało im znalezienie jakiegokolwiek przyzwoitego zajęcia.

Miałam szczęście, pomyślała. Gdyby nie łaska boska...

Przepelniona smutkiem i poczuciem niesprawiedliwości odeszła od okna. Usiadła przy biurku i zapaliła lampę. Wiedziała, że nieprędko zaśnie. Postanowiła przejrzeć swoje zapiski.

Otworzyła notes i zaczęła czytać, ale wkrótce przerwała lekturę.

Nie mogła się skupić. Nie wiadomo dlaczego myślała tylko o tym, jak czuła się w ramionach Anthony'ego Stalbridge'a, kiedy przycisnął ją do piersi i całował.

Gdy w końcu położyła się do łóżka, zatrzymała w myślach to wspomnienie i kurczowo tuliła je do siebie jak talizman, który uchroni ją przed koszmarem.

Poranek wstał rześki i słoneczny. Louisa włożyła cienką koszulkę, pantalony i jedną halkę. Zapewne wiele dam oburzyłaby tak skromna bielizna i brak gorsetu. Elegantki pod ciężkimi sukniami nosiły nawet kilka kilogramów bielizny. Jednak Louisa i Emma były gorącymi zwolenniczkami ruchu na rzecz racjonalnego ubierania się. Uważały, że damy nie powinny nosić tak obfitej i ciężkiej bielizny. A jeśli chodzi o gorsety, rozsądnie uznały je za szkodliwe dla zdrowia.

Wybrała niebieską suknię, zaprojektowaną według zaleceń ruchu. Stanik był dobrze dopasowany, zgodnie z najnowszą modą, ale tylko z lekkim sznurowaniem i bez fiszbinów. Spódnica z niewielką tiurniurą miała mniej obfite marszczenie, bez skomplikowanego drapowania.

Lżejsza spódnica była niezwykle ważna, gdyż ułatwiała chodzenie. Liczne fałdy sukni, w połączeniu z kilkoma warstwami halek uniemożliwiały energiczne spacerowanie, tak korzystne dla zdrowia. Kobiety były zmuszone drobić małutkimi kroczkami. Gdy próbowały iść szybciej, zaczynały się potykać o własne spódnice.

Louisa wzięła mały notes z nocnego stolika i ruszyła korytarzem w kierunku schodów. Zauważyła, że drzwi sypialni Emmy są jeszcze zamknięte.

W kuchni zastała gospodynię, panią Galt. Siedział tam też jej mąż Hugh i siostrzenica, Bess. Hugh, krępy mężczyzna około czterdziestki, opiekował się ogrodem i ukochaną oranżerią Emmy. Bess zajmowała się wszystkimi domowymi pracami. Gdy Louisa weszła do kuchni, cała trójka piła herbatę. Wstali pospiesznie.

- Dzień dobry - powiedziała. - Poproszę filiżankę herbaty.

45

- Dzień dobry - uśmiechnęła się pani Galt. - Wcześniej pani wstała. Czy podać też tosty?

- Będę bardzo wdzięczna.

- Za chwilę przyniosę tacę ze śniadaniem do gabinetu. - Gospodyni odwróciła się do kuchni i sięgnęła po czajnik.

- Pójdę rozpaścić ogień, psze pani. - Bess dygnęła szybko i pobiegła korytarzem.

- Dziękuję - rzuciła Louisa.

Uśmiechnęła się do państwa Galt i poszła do gabinetu.

Nie uszła nawet kilku kroków, gdy za plecami usłyszała szeptał pani Galt.

- Dziwne, że wstała tak wcześnie. Wczoraj wróciła bardzo późno, więc nie za długo pospała. Co prawda, to prawda.

- A ja ci powiem, że to nie o spanie chodzi - mruknął Hugh.

- Tylko o to, że przyjechała do domu z dżentelmenem w jego powozie. To się zdarzyło po raz pierwszy, odkąd tu służymy.

- Cicho - wtrąciła szybko jego żona. - Od początku wiedzieli

śmy, że to niezwykajny dom. Lady Ashton jest wielką dziwaczką, ale doskonale nam płaci. Ani się waży powiedzieć cokolwiek, co pozbawiłoby nas pracy.

Louisa westchnęła, ale nie zwolniła kroku. Trudno było zachować tajemnicę przed służącymi. Musiała ciągle pamiętać, że w domu, poza nią i Emmą, są trzy inne osoby.

W dodatku pan Galt nie minął się z prawdą. Rzeczywiście wczoraj wróciła do domu bardzo późno. Nie dało się też zaprzeczyć temu, że po raz pierwszy podjechała pod numer 12 na Arden Square innym powozem niż ten, którym odjechała wcześniej. Ani temu, że pewien dżentelmen odprowadził ją do drzwi.

Na kominku w gabinecie płonął już ogień.

- Gotowe, psze pani - powiedziała Bess, wstając z kolan. - Za chwilę zrobi się tu miło i ciepło.

- Dziękuję - rzuciła Louisa.

- Przyniosłam herbatę, psze pani - odezwała się od progu pani Galt. Postawiła tacę na biurku. - Niech się jeszcze chwilę parzy.

**46**

- Dobrze - zgodziła się. Chciała się napić mocnej herbaty. Mia

ła mnóstwo do przemyślenia.

Poczekwała, aż zostanie sama i dopiero wtedy usiadła na krześle przy biurku. Splotła dłonie i rozejrzała się po niewielkim pokoju.

Na półkach przybywało tomów, wśród których przeważały powie

ści sensacyjne. Od jakiegoś czasu czytywała je namiętnie, ponieważ na ogół opisywały sekretne romanse. Louisa odnajdowała w nich namiastkę uczucia. Wiedziała, że ze względu na swą przeszłość nie może liczyć na prawdziwą miłość. Mogła mieć jedynie nadzieję, że przeżyje kiedyś sekretny romans.

Każda kolejna książka, postawiona na półce, wzmacniała jej poczucie bezpieczeństwa. Tak jakby każdy nowy nabytek do jej skromnej biblioteki był cegiełką w murze fortecy, którą wznosiła wokół siebie.

Prawda jednak była taka, że nigdy nie będzie bezpieczna. Emma zrobiła wszystko, co w jej mocy, by Louisa odzyskała pewność siebie. Nie było to łatwe, gdyż dziewczyna zmagiała się ze swymi lękami.

Czuła strach każdego ranka po przebudzeniu i każdego wieczoru, gdy kładła się spać.

Czasami bardzo ją to przygnębiało. Świadomość, że któregoś dnia zostanie rozpoznana i aresztowana pod zarzutem morderstwa, nie dawała jej spokoju i zatruwała życie niczym ból zęba.

Spotkanie z Emmą było szczęśliwym zrządzeniem losu. Louisa wiedziała aż za dobrze, że nowe życie, które dla siebie stworzyła, w mgnieniu oka może lec w gruzy, jeśli ktoś odkryje jej tajemnicę.

Nie myśl o przeszłości, ani przyszłości. A przede wszystkim nie myśl o Anthonym Stalbridge'u. Skup się na pracy, strofowała się.

Praca tajnej korespondentki „Latającego Detektywa” była jedynym jasnym aspektem w jej obecnym życiu. Rozpraszała melancholię i strach. Dawała poczucie dumy. Louisa wreszcie miała misję do spełnienia i była zdecydowana poświęcić swe życie dziennikarstwu.

Otworzyła oprawiony w skórę notes. Zawód reporterki nauczył

ją doceniać dobre notatki. Z obawy, że jej notes może zostać znaleziony i przeczytany przez kogoś niepowołanego, pisała szyfrem.

47

Zawsze jednak używała prawdziwych imion i nazwisk, żeby czegoś nie przekreślić.

Ujęła pióro i zajęła się poprawianiem i uzupełnianiem pospiesznych, skrótowych notatek.

Nie ulegało wątpliwości, że Hastings parał się szantażem. Znaczyło to, że jest gorszym łotrem, niż Louisa na początku przypuszczała. Niestety nie wiedziała, jak ujawnić to przestępstwo, nie zdradzając jednocześnie nazwisk jego ofiar.

Przypomniała sobie jednak, że są jeszcze dowody, łączące go z Domem Feniksa. Dokumenty, które Anthony zabrał z sejfu, potwierdzały, że Hastings zainwestował w dom schadzek. Już tylko ta sensacyjna wiadomość wystarczyłaby, żeby ucieszyć pana Spraggetta, wydawcę „Latającego Detektywa”. Spraggett szczyił się tym, że dostarcza czytelnikom tylko najbardziej sensacyjne i wstrząsające informacje. Doniesienie, że dżentelmen z towarzystwa jest współwłaścicielem domu schadzek, na pewno podniosłoby nakład gazety.

A jeśli Anthony ma rację i Hastings jest też mordercą? Artykuł

o tym wstrząsnąłby do głębi wyższymi sferami, nie wspominając już o reszcie społeczeństwa. Serce jej mocniej zabiło na myśl, że dzięki niej zabójcy zostanie wymierzona sprawiedliwość.

Godzinę później usłyszała w korytarzu znajome, energiczne kroki. Potem ktoś krótko, z werwą zapukał do drzwi.

- Wejdz, Emmo - zawołała Louisa.



Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła, a właściwie wmaszerowała lady Ashton. Miała figurę greckiej bogini i szczyła się niezwykle oryginalnymi poglądami na świat.

Włożyła dzisiaj wygodną, brązową suknię. Siwe włosy upięła w ciasny węzeł na karku. Mimo sześćdziesięciu trzech lat nadal była piękna. Ale też onieśmielająca. Straciwszy męża w młodym wieku, wbrew konwenansom ruszyła zwiedzać świat. Gdy w końcu wróci

ła do Anglii, dzięki swemu majątkowi, koligacjom i wpływom zaję

ła należne jej miejsce w wyższych sferach.

Nieco ponad rok temu Emma skontaktowała się z agencją wyszukującą guwernantki i damy do towarzystwa. Zamierzała bowiem spisać **48**

swoje wspomnienia. Chciała zatrudnić „uczciwą, dobrze wykształconą damę o nowoczesnych poglądach”, by pomogła jej w tym zadaniu.

Po kolei odrzuciła sześć uczciwych i dobrze wykształconych dam, które twierdziły, że mają nowoczesne poglądy. W końcu agencja w desperacji wysłała do niej swoją ostatnią kandydatkę. Louisa i Emma od pierwszego spotkania przypadły sobie do serca.

- Powiemy, że jesteś moją daleką krewną - oznajmiła lady Ashton przy herbacie. - Dzięki temu będziesz traktowana z większym szacunkiem, niż gdybyś była tylko moją damą do towarzystwa i sekretarką.

Gdy wyszło na jaw, że dziewczyna nie spełnia wszystkich wymagań, była wręcz gotowa przymknąć oko na brak kwalifikacji.

Louisa nigdy nie zapomni chwili, gdy Emma podjęła decyzję o zatrudnieniu jej. Stało się to następnego dnia po nocy pełnej szczególnie przerażających koszmarów. Czuła się udręczona i roztrzęsiona. Gdy lady Ashton zaofiarowała jej pomoc, załamała się i z płaczem wyznała wypadki owej nocy, gdy pogrzebaczem rozbiła lordowi Gavinowi głowę.

Od bardzo długiego czasu chciała wyznać komuś swoją straszliwą tajemnicę. Znała już wtedy Emmę na tyle dobrze, by wiedzieć, że ta nie wezwie policji. W końcu miała dosyć ekscentryczne poglądy. Lady Ashton uwierzyła w jej wersję wydarzeń. Tym niemniej któż by chciał, by w jego domu przebywała morderczyni?

Louisa wyznała swój sekret i przeprosiła za oszustwo, przygotowana na to, że zostanie odprawiona. Lady Ashton jednak poklepała ją po ramieniu i powiedziała: „Nie przejmuj się, moja droga. Moim zdaniem uczciwość jest stanowczo przeceniona”.

- Dzień dobry, Louiso. - Emma podeszła do ognia, by się ogrzać. - Wcześniej dziś wstałaś, zważywszy na to, że wczoraj wróciłaś bardzo późno. Nawet nie słyszałam, kiedy weszłaś do domu.

Dziewczyna odłożyła pióro.

- Nie chciałam cię budzić - odparła.

Lady Ashton stanęła przy biurku. Jej niebieskie oczy iskrzyły się z ciekawości.

- No, no, Anthony Stalbridge. Gdy dostałam od ciebie wiadomość, ze zdumienia omal nie zemdlałam.

**49**

- Bardzo w to wątpię. Ty nigdy nie mdlejesz.

- Ze wszystkich dżentelmenów, z którymi mogłabyś się wymknąć ubiegłej nocy, ten wydaje mi się najbardziej intrygujący.

Louisa się zarumieniła.

- To nie to, co myślisz. Pan Stalbridge i ja natknęliśmy się na siebie w dość niezwykłych okolicznościach.

- Zawsze mówię, że takie okoliczności są najlepsze.

- Czekał na mnie w korytarzu przy drzwiach sypialni Hastingsa - wyjaśniła.

Emma szeroko otworzyła oczy.

- Wielkie nieba! - westchnęła.

- Przyszedł mi z pomocą, gdy jeden ze strażników Hastingsa usiłował mnie przesłuchać.

- Hastings wynajął strażników? - zdumiała się lady Ashton.

- Tak.

- To dziwne.

- Wcale nie. Wygląda na to, że Hastings nie tylko inwestuje w dom schadzek, ale także jest szantażystą. Wymusza pieniądze od kilku bardzo szacownych rodzin.

Wstrząśnięta Emma wpatrywała się w nią osłupiałym wzrokiem.

- Coś takiego!

- To jeszcze nie wszystko. Pan Stalbridge jest przekonany, że Hastings zamordował jego narzeczoną, Fionę Risby. Podejrzewa też, że zabił własną żonę.

Emma gwałtownie opadła na fotel.

- Moja droga, opowiedz mi wszystko od początku - poprosiła.

Louisa streściła jej wypadki poprzedniego wieczoru.

Lady Ashton słuchała z uwagą, a potem odchyliła się na oparcie.

- To zdumiewające. Szokujące. A już myślałam, że miałaś schadzkę. I tak się cieszyłam ze względu na ciebie, moja droga.

Przyznaję, trochę się zmartwiłam, że wybrałaś akurat Anthony'ego Stalbridge'a. Tym niemniej uznałam za dobry znak, że zaczynasz wychodzić z kryjówki.

- Mówiłam ci już nieraz, że nie mam zamiaru opuszczać kryjówki. Przynajmniej nie w tym sensie, który masz na myśli.

**50**

- Nonsens. Po prostu nie spotkałaś jeszcze właściwego mężczyzny. - Emma zmarszczyła brwi. - Ale dość na ten temat. Naprawdę uważasz, że Hastings może być mordercą?

Louisa bębniła palcami po biurku.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co mam o tym sądzić. Nie ulega wątpliwości, że zainwestował w Dom Feniksa. Dowody wskazują też niezbicie, że to szantażysta. Na tej podstawie nie możemy jednak wnioskować, że zamordował Fionę Risby

- Zgadzam się. Według doniesień prasowych popełniła samobójstwo. - Lady Ashton zamyśliła się na chwilę. - Ale Stalbridge znalazł naszyjnik w sejfie Hastingsa. Szmaragdy i brylanty oprawione w złoto, tak?

- Tak. Wyglądał na bardzo cenny. Mam jednak tylko słowo pana Stalbridge'a na to, że naszyjnik należał do panny Risby. Nawet jeśli okaże się to prawdą, to skoro został zabrany z sejfu, nie może już posłużyć jako dowód.

Emma prychnęła głośno.

- Stalbridge miał w tej kwestii rację. Zostawienie naszyjnika w sejfie w niczym by nie pomogło. Jeśli Hastings rzeczywiście jest winny morderstwa, na pewno nie pozwoli policji przeszukać domu.

- Nawet gdyby znaleziono go w jego domu, nie wątpię, że zdo

łałby wymyślić jakieś wytłumaczenie. Zawsze mógłby stwierdzić, że to klejnot jego pierwszej żony, której spodobał się naszyjnik panny Risby, więc zamówiła u jubilera kopię.

- Victoria Hastings raczej nie chciałaby kopiować czyjejś biżuterii - zauważyła Emma sucho. - Ta kobieta dyktowała modę, a nie naśladowała innych.

- Pamiętam, wspomniałaś, że słyłęła z własnego stylu.

Louisa otworzyła notes na stronach oznaczonych „VH”. Gdy zaczynała badać interesy Hastingsa, poprosiła lady Ashton o parę informacji o jego przeszłości. Przepytała też dziewczynę, która kiedyś była pokojówką jego żony.

Niewiele zapisała o Victorii. Wtedy pierwsza pani Hastings nie wydała się jej ważna. Teraz jednak kilka zdań nabrało nowego znaczenia.

Przesunęła palcem po stronie z notatkami. Naraz się zatrzymała.

**51**

- Wspomniałaś, że była jedną z niewielu znanych ci kobiet, które umiały pływać - powiedziała.

- Była jedyną znaną mi damą, poza mną, która umiała pływać

- poprawiła ją Emma. - Mało która kobieta ma możliwość opanować tę umiejętność.

- To tylko dodaje wiarygodności teorii pana Stalbridge'a, że mogła zostać zamordowana. Jak kobieta, która umie pływać, mog

łaby popełnić samobójstwo, skacząc do rzeki?

- Każda kobieta, nieważne czy doświadczona pływaczka, czy nie, jeśli skoczyłaby do rzeki ubrana od stóp do głów, na pewno by się utopiła - zauważyła Emma. - Modna dama nosi strój, który często waży nawet kilkanaście kilogramów. Ciężar spódnic i gorsetu pociągnąłby ją na dno niczym kamień.

Louisa się wzdrygnęła.

- Masz rację. - Zerknęła do notatek. - Mówiłaś, że nie znałaś jej zbyt dobrze.

- Tak. Zdaje się, że nie miała zbyt dużych koligacji rodzinnych.

Spotykałam ją od czasu do czasu na rozmaitych imprezach towarzyskich, ale to wszystko.

- Pokojówka powiedziała, że Hastings miał w zwyczaju omawiać z nią interesy. Jak na mężczyznę to dosyć nietypowe. Chyba bardzo cenił jej inteligencję.

Emma pokiwała głową.

- Rzeczywiście wydawała się sprytną kobietą. Nie zdziwiłabym się, gdyby miała głowę do interesów.

Louisa zamknęła notes i odchyliła się na oparcie krzesła.

- Jest coś, co nie daje mi spokoju, a dotyczy pana Stalbridge'a

- rzuciła.

Lady Ashton uniosła pytająco brwi.

- Co takiego cię niepokoi? Oczywiście poza faktem, że pan Stalbridge wie, jak się włamać do sejfu. - Zamilkła dla większego efektu. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że to dosyć niezwykła umiejętność u dżentelmena?

- Przyznaję, że ta zdolność rodzi kilka pytań. Jednak najbardziej niepokoi mnie to, że niemal obsesyjnie trzyma się myśli, iż **52**

Fiona Risby nie popełniła samobójstwa. Wczorajszego wieczoru odniosłam wrażenie, że zrobi wszystko, aby udowodnić, że została zamordowana.

Emma wzruszyła lekko ramionami.

- Zapewne dlatego, że sam chciałby się oczyścić z zarzutów.

Louisa znieruchomiała.

- Do licha, o czym ty mówisz? - spytała.

- Nie bywałaś w towarzystwie w zeszłym roku, gdy zginęła Fiona. Nie słyszałaś krążących pogłosek - odparła lady Ashton.

- Jakich pogłosek?

- Podobno pan Stalbridge zamierzał lada moment zerwać zaręczyny z panną Risby. Mówiono, że właśnie perspektywa tego upokorzenia pchnęła jego narzeczoną do odebrania sobie życia.

- Każda kobieta, która zostaje odtrącona przez mężczyznę, z pewnością znajduje się w okropnej sytuacji. Ale czy to powód, by popełnić samobójstwo? - rzuciła.

- To wcale nie takie rzadkie. Porzucona dziewczyna jest w towarzystwie traktowana jak trędowata. Niektórzy chcieliby wręcz, aby przestała w nim bywać, niczym wdowa w pierwszym roku żałoby.

- Czy pochodziła z bogatej rodziny? - spytała Louisa. Pomy

ślała, że chce znać odpowiedź na to pytanie wyłącznie z dziennikarskiego obowiązku. Nie kierowała nią przecież osobista ciekawość, by dowiedzieć się czegoś o kobiecie, z którą Anthony Stalbridge miał się ożenić.

- Tak - odparła Emma. - Fortuna Risbych jest pokaźna. A Fiona odziedziczyłaby ją w całości, co na pewno zadziałałoby na jej korzyść.

Wkrótce miałyby nowych adoratorów. Była bardzo ładna. Doprawdy czarująca młoda dama. Jestem pewna, że ojciec szybko znalazłby dla niej dobrą partię. Tym niemniej fakt odtrącenia przez Stalbridge'a pewnie byłby dla niej i dla jej rodziny niezmiernie przykry.

- Rozumiem.

Fiona Risby była bogata, piękna i czarująca. Oczywiście. Jakżeby inaczej? Louisa zaczęła stukać piórem o blat biurka.

- To byłby dla obojga doskonały mariaż - ciągnęła lady Ashton.

- Rodziny były nim zachwycone. Stalbridge'owie i Risby'owie **53**

od lat się przyjaźnili. Ich majątki na północy kraju sąsiadują ze sobą.

- Rozumiem - powtórzyła dziewczyna. Uświadomiła sobie, że stuka piórem tak mocno, że robi kleksy na bibule. Zmusiła się, by odłożyć je na bok.

- Powinnam wspomnieć, że w zeszłym roku krążyły też inne plotki - dodała Emma posepnie. - O wiele gorsze niż te o zerwanych zaręczynach.

Zszokowana Louisa wyprostowała się na krześle. Nie spuszcza

ła wzroku z rozmówczyni.

- Chyba nikt nie sugerował, że pan Stalbridge zamordował

Fionę Risby? - spytała.

- Obawiam się, że właśnie tak spekulowano.

- Po cóż miałyby to robić? Jaki mógłby mieć motyw? - zawołała Louisa.

Emma spojrzała jej prosto w oczy.

- Mówiono, że pan Stalbridge przyłapał Fionę w ramionach innego mężczyzny.

Louise przeszył dreszcz.

- Ale ty chyba nie uwierzyłaś, że on ją zamordował? - krzyknęła.

- Moja droga, jeśli podczas moich podróży czegoś się nauczy

łam, to tego, że każdy mężczyzna i każda kobieta, bez względu na pochodzenie i wychowanie, mogą w szczególnych okolicznościach posunąć się do morderstwa. - Lady Ashton nadal patrzyła jej prosto w oczy. - Pytanie brzmi: co i dla kogo okaże się szczególnymi okolicznościami.

Louisa przełknęła z wysiłkiem.

- Trudno mi się nie zgodzić w tej kwestii - szepnęła.

Twarz Emmy złagodniała.

- Wybacz mi, moja droga. Nie miałam na myśli...

- Nie ma potrzeby przeproszać. Masz rację. Tym niemniej, uważam, że pan Stalbridge nie zamordował Fiony Risby.

- Skąd ta pewność? - Emma wydawała się naprawdę zaintrygowana.

**54**

- Gdyby ją zabił, z pewnością nie poszukiwałby prawdziwego mordercy - wyjaśniła Louisa.

- Od chwili, gdy Stalbridge stracił narzeczoną, minął ponad rok - odezwała się cicho lady Ashton - Niewątpliwie rozgląda się za nową kandydatką na żonę. Dawne plotki mogą mu to jednak utrudniać. W normalnych okolicznościach szukałby młodej dziewczyny z najbardziej szacownej rodziny. Mówiłam ci, Stalbridge'owie są spokrewnieni z najświetniejszymi rodami. A teraz, gdy ich fortuna została odbudowana, zajmują niezachwianą pozycję w towarzystwie. Mimo to...

Emma urwała i wzruszyła lekko ramionami.

Louisa spojrzała na nią posepnie.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć - rzuciła. - Wielu ojców poważnie się zastanowi, zanim wyda córkę za mężczyznę, który podobno zamordował kobietę.

- A jeśli nawet nie przejmą się tymi plotkami, to nie pozwolą córkom zaręczyć się z dżentelmenem, który, jak głosi wieść, miał

odtrącić swoją pierwszą narzeczoną - dodała lady Ashton. - A jeśli zrobi to po raz drugi? Kochający rodzice nie zechcą narazić córki na takie towarzyskie upokorzenie.

- Innymi słowy, niezależnie czy jest winny odtrącenia Fiony, czy też jej zabójstwa, w jego interesie leży udowodnienie, że została zamordowana przez kogoś innego - podsumowała Louisa.

- Potrzebowałyby przekonujących dowodów, ale jeśli je znajdzie, towarzystwo natychmiast uzna go za niewinnego. Będzie wtedy mógł swobodnie przebierać w bogatych pannach, które niewątpliwie zaczną mu podsuwać ich uszczęśliwieni rodzice.

**8**

Elwin Hastings spojrzął ponad biurkiem na poślubioną przed dwoma miesiącami żonę. Wiedział, że wielu mężczyzn mu zazdrości.

**55**

Lilly była naprawdę piękna. Ubrana w modną, zieloną suknię, ze złocistymi włosami upiętymi przez fryzjera w kunsztowną koafiurę wyglądała zachwycająco.

Jednak z trudem się powstrzymywał, by nie chwycić z biurka ciężkiego, wazonu i nie rzucić nim w jej pustą, bezmyślną głowę.

- Następnym razem pokażesz mi listę gości, zanim poinstruujesz Cromptona, by rozesłał zaproszenia - rozkazał. - Zrozumiano?

- Tak, oczywiście. - Lilly zacisnęła ręce w pięści i spojrzała na niego z niechęcią. - Sam mówiłeś, że Crompton jest świetnie zorientowany, kogo wypada zaprosić na bal. Powiedziałeś, że twój sekretarz doskonale wie, jak w tym domu organizować imprezy towarzyskie i mam wszystko zostawić w jego rękach.

- Natychmiast pomówię z Cromptonem i poinformuję, że w przyszłości Anthony Stalbridge ma być skreślony z każdej listy gości - odparł Hastings.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zły, że przyszedł na nasz bal. Pochodzi z bardzo szacownej rodziny. To siostrzeniec hrabiego Oakbrooka. Krążą pogłoski, że któregoś dnia odziedziczy po nim tytuł, bo stary hrabia nie ożenił się powtórnie i nie ma dziedzica.

- Jak wszyscy w tej rodzinie, Oakbrook jest dziwakiem. - Hastings z trudem powstrzymał gniew. - Wszyscy wiedzą, że jedyne, co go w tej chwili obchodzi, to wykopaliska archeologiczne. Znam koligacje Stalbridge'a. I powtarzam, od tej chwili nie jest mile widziany w moim domu.

Lilly wybuchnęła płaczem.

- Myślałam, że ubiegłego wieczoru wszystko się doskonale udało.

Nie mógł znieść jej łez. Wstał zza biurka.

- To wszystko, moja droga.

Zerwała się z krzesła z rumieńcem gniewu na policzkach.

- Nie pojmuję, dlaczego tak się dzisiaj złościysz. Czy ubiegłej nocy pan Stalbridge zrobił coś, co cię rozgniewało? Podobno wyszedł wcześniej z kuzynką lady Ashton. Zapomniałam, jak ona się nazywa.

**56**

Hastings zacisnął zęby. Ostatniej nocy wydarzyła się katastrofa.

Nie zamierzał jednak informować głupiej smarkuli o tym przykrym fakcie.

- Powody, dla których nie życzę sobie obecności Stalbridge'a w moim domu, nie powinny cię interesować.

- To samo mówisz za każdym razem, gdy pytam, co się stało.

Od dnia naszego ślubu jesteś w podłym nastroju. Jakbyś stał się zupełnie inną osobą. Gdy prosiłeś



dziadka o moją rękę, byłeś wcieleniem czaru i uprzejmości. A teraz wszystko, co powiem czy zrobię, jest twoim zdaniem niewłaściwe. Słowo daję, nie wiem już, czym cię zadowolić.

- Moja droga, zostaw mnie samego. Muszę się zająć interesami.

Odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.

Ja też chciałbym się od ciebie uwolnić, pomyślał, patrząc na zamykające się za nią drzwi. Była dokładnie taką żoną, jakiej pragnął.

A przynajmniej tak mu się wydawało. Młoda, piękna dziedziczka wielkiej fortuny. To prawda, że jej dziadek wzbogacił się na handlu, ale w trzecim pokoleniu takie szczegóły stawały się nieistotne, pod warunkiem że pieniądze były dostatecznie duże.

A jednak czcza paplanina żony i jej obsesja na punkcie plotek i strojów doprowadzała go do szaleństwa. Co gorsza, była beznadziejna w łóżku. W przeciwieństwie do Victorii nie wyczuwała instynktownie jego potrzeb.

Uświadomił sobie, że czasami brakuje mu Victorii. Na szczęście na Winslow Lane znajdował się przybytek, gdzie rozumiano jego specyficzne wymagania i w pełni je zaspokajano.

Wiele by dał, żeby pozbyć się swojej obecnej żony, ale nie mógł

sobie jeszcze na to pozwolić. W dniu ślubu - ku swemu przerażeniu - odkrył, że nie przejął kontroli nad całym majątkiem Lilly. Ten sprytny drań, jej dziadek, obwarował resztę fortuny żelaznymi klauzulami, które pozwalały na wypłacanie pieniędzy w rocznych ratach.

Jakkolwiek na to patrzeć, jestem zmuszony utrzymywać się z pensji, pomyślał z goryczą Elwin. Co więcej, jeśli żonie przytrafi się jakiś nieszczęśliwy wypadek, coroczne wypłaty natychmiast ustaną.

**57**

To było poniżenie. Upokorzenie. Potworna zniewaga. Takie są skutki, gdy się wpuszcza ludzi pokroju dziadka Lilly na salony, razem z ich pieniędzmi. Niech to diabli! Gdyby nie te przekłete pieniądze, nawet by nie spojrzął na kobietę taką jak ona.

Już po raz drugi musiał się ożenić z kobietą stojącą w hierarchii towarzyskiej niżej od niego. Najpierw Victoria, a teraz Lilly.

I wszystko z powodu pieniędzy.

To nie w porządku, że mężczyzna o jego pozycji musiał się do tego zniżyć. Ogarnął go gniew. Uświadomił sobie nagle, że zaciska dłoń na ciężkim srebrnym przycisku. Rzucił nim o ścianę. Przedmiot uderzył w niebieskie aksamitne zasłony i spadł na dywan.

W ciągu ostatniego roku bardzo potrzebował pieniędzy. Niemal natychmiast po śmierci Victorii sprawy zaczęły się komplikować.

Na szczęście dla niego konwenanse nie skazywały wdowców na trzy lata żałoby, w przeciwieństwie do wdów. Wdowcom zalecano ponowny jak najszybszy ożenek. Choć nie pałał do tego specjalną chęcią, wkrótce zdał sobie sprawę, że małżeństwo z posażną panną jest dla niego jedyną nadzieją, by uratować się przed bankructwem.

Od czasu gdy utonęła Victoria, spotkał go szereg finansowych niepowodzeń. Śmierć Phillipa Grantleya dwa tygodnie temu była straszliwym szokiem. To do niego należało pobieranie pieniędzy z szantażu w dyskretny, anonimowy sposób. Szantaż był jedynym przedsięwzięciem, które po odejściu Victorii nie przestało dobrze funkcjonować.

Co gorsza, to Grantley wymyślił najnowsze konsorcjum inwestycyjne, dające Elwinowi nadzieję na uwolnienie się od Lilly i jej skąpego dziadka.

Domniemane samobójstwo Grantleya przeraziło Hastingsa nie na żarty. Ogarnął go strach, że jedna z ofiar odkryła tożsamość szantażysty i posunęła się do uśmiercenia go. Victoria się upierała, by na ofiary wybierać osoby bogate, ale w podeszłym wieku i słabego zdrowia. Trudno było sobie wyobrazić, że jednej z nich udało się wysledzić Grantleya, a tym bardziej go zabić, ale musiał brać pod uwagę również i tę możliwość. A co będzie, jeśli ten ktoś odkryje, **58**

że to on, Hastings, stał za całą intrygą? Strach skłonił go do wynajęcia dwóch strażników.

Na szczęście nic nie wskazywało na to, że zagraża mu niebezpieczeństwo. W ciągu ostatnich kilku dni zaczął się nawet zastanawiać, czy nie przesadził. Być może jego podejrzenia i obawy były bezpodstawne. Może Grantley naprawdę sam odebrał sobie życie.

Nic wielkiego się nie stało. Konsorcjum inwestycyjne zostało już zorganizowane i miało ruszyć lada moment.

Planował już nawet odprawić Quinby'ego i Royce'a, jednak katastrofa, która wydarzyła się ostatniej nocy, wszystko zmieniła. Strach powrócił ze zdwojoną siłą. Nie znosił kręcących się ciągle w pobliżu strażników, ale potrzebował ich, choćby po to, by czuć się pewniej.

Hastings pocieszył się myślą, że gdy zaczną napływać zyski z najnowszego przedsięwzięcia, będzie mógł się pozbyć swej irytującej małżonki. Zastanawiał się, czy kolejne samobójstwo nie wzbudzi w towarzystwie zbyt wielu podejrzeń. Może tym razem lepszy będzie wypadek. Najpierw jednak musi się uporać z bieżącymi sprawami.

Ujął, wiszącą przy biurku, aksamitną taśmę dzwonka i szarpnął

mocno dwa razy. Strażnicy zjawili się natychmiast.

Hastings spojrział na Quinby'ego. Był bardziej inteligentny niż jego kompan, ale też bardziej niebezpieczny i irytujący.

- Opowiedz mi jeszcze raz, co się wydarzyło ostatniej nocy pod drzwiami mojej sypialni.

- Panie Hastings, powiedziałem już wszystko. - Strażnik wzruszył obojętnie ramionami. - Nie mam nic

do dodania.

Elwin opanował przyływ gniewu. Irytowała go postawa tego mężczyzny. Rzadko bywał otwarcie bezczelny czy niegrzeczny, ale zawsze mimochodem okazywał brak szacunku dla osób z wyższych sfer. Było jasne, że pochodził z nizin społecznych. Choć starał się to ukryć, w jego mowie pobrzmiwała czasem gwara uliczna. Niczym dżentelmen nosił na palcu kosztowny złoty sygnet z onyksem, ale przecież pracował dla króla przestępczego światka. Jak on śmiał zachowywać się wobec niego, jakby byli sobie równi?

59

Royce, krępy i nierozgarnięty, przynajmniej okazywał należyty szacunek osobom dobrze urodzonym.

Hastings pomyślał, że gdyby mógł, natychmiast odprawiłby zuchwalca. Problem tkwił oczywiście w tym, że nie miał wyboru. Potrzebował ochrony, a zdaniem Clementa Corvusa Quinby najlepiej się do tego nadawał. Elwin był skłonny w to wierzyć. Jedno spojrzenie w oczy mężczyzny ujawniało, że jest bezlitosny do szpiku kości.

- Opowiedz wszystko jeszcze raz - polecił Hastings spokojnie.

- Sprawdziłem wszystko, jak zwykle - zaczął strażnik znudzonym tonem. - Miałem oko na wnętrze domu, a Royce obserwował

ogród. Zerknąłem na strych i zszedłem kuchennymi schodami na piętro, gdzie znajdują się państwa sypialnie. W korytarzu zobaczy

łem jakąś damę i dżentelmena. Całowali się.

- Pani Bryce i pan Stalbridge.

- Tak, choć tego, jak się nazywają, dowiedziałem się dopiero od głównego lokaja.

Hastings sam się upewnił, że ową kobietą była Louisa Bryce. Jej tożsamość potwierdzili służący, którzy widzieli, jak wychodziła ze Stalbridge'em. Trudno było pomylić skromną, prowincjonalną kuzynkę lady Ashton. W okularach i niemodnej sukni, nudna w rozmowie, na każdej imprezie towarzyskiej podpierała ściany. Jediną zagadką było zainteresowanie okazane jej przez Stalbridge'a.

Elwin rozparł się na krześle, usiłując się skupić. W takich chwilach jak ta brakowało mu inteligencji i intuicji Victorii. Zawsze świetnie rozumiała, co motywuje mężczyzn.

- Wiesz, jak długo Stalbridge mógł stać pod moimi drzwiami?

- spytał.

- Nie dłużej niż kilka minut - odparł strażnik. - Gdy przepytałem służbę, kilkoro wspomniało, że widziało go w sali balowej krótko przed tym, jak znalazłem go na górze.

- Ile czasu trzeba, żeby włamać się do sejfu?

Quinby rozłożył ręce.

- To zależy od doświadczenia włamywacza. Większość zawodowców upora się z tym bardzo szybko.

Royce odchrząknął.

**60**

- Za pozwoleniem, ale pan ma sejf Apollo.

- I co z tego? - zapytał Hastings, usiłując zachować resztki cierpliwości.

- Nie da się go rozwalić bez dynamitu. A wczoraj nic nie wybuchło.

- Do diabła, przecież Stalbridge nie jest włamywaczem. - Elwin zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. - To dżentelmen.

Quinby wykrzywił usta w szyderczym uśmiešku, ale się nie odezwał.

Hastings zeszywniał.

- Co cię tak rozbawiło?

- Nikt z niższych klas nie może zostać dżentelmenem. Nie ma jednak prawa, które mówiłoby, że dżentelmen nie może się stać przestępcą.

Bezczelny łobuz, pomyślał Elwin. Ale nie dał się sprowokować do dyskusji o niuansach klasowych z człowiekiem wywodzącym się z rynsztoków Londynu.

- Chodziło mi tylko o to, że Stalbridge nie ma powodu trudnić się włamaniami i okradaniem sejfów - powiedział głośno. - Jego rodzina w ciągu ostatnich lat bardzo się wzbogaciła. Zresztą gdzie dżentelmen miałby się nauczyć otwierania sejfów?

- Racja - powiedział Quinby. - Przecież nie uczą tego w Oksfordzie czy Cambridge.

Elwin zacisnął zęby. Nie chciał się rozpraszać głupimi komentarzami strażnika. Musiał skupić uwagę na problemie.

Royce znów odchrząknął.

- Za pozwoleniem.

Hastings westchnął.

- Co takiego, Royce?

- To nazwisko, Stalbridge - powiedział drugi strażnik nieśmia

ło. - Czy ten gość ma jakiś związek z Marcusem Stalbridge'em, który zaprojektował sejf Apollo?

Elwin miał wrażenie, że strzelił w niego piorun. Odwrócił się powoli z ustami otwartymi ze zdumienia.

**61**

- Co ty wygadujesz? - spytał ostro. - Marcus Stalbridge zaprojektował ten sejf?

Quinby się skrzywił.

- Royce, o czym ty, do diabła, gadasz?

Royce skulił się nerwowo.

- Mam kuzyna, który trochę się na tym zna.

- Ach, chodzi o Berta. To najlepszy złodziej w mieście.

- Jest już za stary, żeby kraść - zapewnił pośpiesznie Royce.

- Mów dalej - warknął Elwin.

Mężczyzna zaczął niepewnie przestępować z nogi na nogę.

- Ja tylko słyszałem, jak Bert mówił, że włamywacze unikają sejfów Apollo, bo trzeba je wysadzać.

Hastings chwycił za oparcie krzesła.

- Do czego zmierzasz, Royce?

- Dynamit robi dużo hałasu - wyjaśnił strażnik pouczającym tonem. - A to zwraca uwagę, zwłaszcza jeśli sejf jest w prywatnym domu.

- Nie interesują mnie sposoby włamywania się do sejfu - powiedział Elwin, cedząc powoli każde słowo, jakby rozmawiał z idiotą. - Opowiedz mi coś więcej o Marcusie Stalbridge'u.

Royce kilkakrotnie pokiwał głową.

- Chodzi o to, że mój kuzyn i jego koledzy bardzo poważają Marcusa Stalbridge'a, bo to on skonstruował sejf Apollo.

- Do diabła! - Elwin miał ochotę rzucić czymś o ścianę. -

Anthony Stalbridge wychował się w domu człowieka, który wynalazł najlepszy sejf dostępny na rynku, właśnie taki sejf jaki mam ja.

Jeśli ktoś umie go otworzyć, to właśnie on.

- Albo jego ojciec - podsunął usłużnie Royce.

- To nie Marcus Stalbridge był tu ubiegłej nocy, tylko jego syn.

- A ta kobieta, pani Bryce? - spytał Quinby.

- Ona się nie liczy. - Hastings machnął lekceważąco ręką. - To szara myszka. Najwyraźniej Stalbridge'owi była do czegoś potrzebna. Zapewne chciał ukryć prawdziwy powód, dla którego przebywał na piętrze. Na wypadek gdyby ktoś go zauważył, jak wychodzi z mojej sypialni.

**62**

- Ja bym jej nie lekceważył - rzucił mężczyzna.

- Chyba nie sugerujesz, że to pani Bryce włamała się do sejfu?

- warknął Elwin.

Strażnik wzruszył obojętnie ramieniem.

- To zbyt niewiarygodne, żeby ta nudna kobieta okazała się włamywaczką - powiedział Hastings. - Jednak ubiegłej nocy ktoś otworzył mój sejf. Ktokolwiek to był, znał się na tym. Nic nie wskazywało, że ktoś w ogóle wchodził do mojej sypialni. Gdybym dziś rano nie otworzył sejfu, nawet bym nie wiedział, że coś z niego zginęło.

Quinby z nieznośną swobodą przysiadł na brzegu biurka, jakby był u siebie w domu.

- Niech się pan uspokoi, panie Hastings. Zajmiemy się tą sprawą.

Elwina nagle ogarnął gniew.

- Ani mi się waży traktować mnie w ten sposób! Precz z mojego biurka. Mam dość tej bezczelności. Do diabła, co ty sobie wyobra-

zasz?

Quinby zacisnął zęby. W oczach miał lodowatą groźbę. Powoli odsunął się od biurka. Wyglądał przy tym jak kobra.

Hastings poczuł dreszcz strachu. Powtórzył sobie w duchu, że strażnicy wykonują polecenia Clementa Corvusa, a ten nakazał im go chronić. Tyle że obaj znaleźli się w bandzie Corvusa właśnie dlatego, że nie zawahaliby się przed niczym.

Na tępej twarzy Royce'a pojawiła się mina, która zapewne miała wyrażać grzeczne zainteresowanie.

- Za pozwoleniem - odezwał się. - Sam pan dopiero co powiedział, że Stalbridge jest bogatym dżentelmenem. Po co miałby się włamywać do sejfu? Nie potrzebuje pańskich kosztowności.

Właśnie w tym problem, pomyślał Elwin Hastings. Puścił oparcie krzesła i z wysiłkiem skupił się na problemie. Tylko jedno łączyło go ze Stalbridge'em. Śmierć Fiony Risby. A ten przeklęty naszyjnik był jedynym klejnotem, który zniknął z sejfu. Zbieg okoliczności?

Co tu się do diabła działo?

Po wydobyciu z rzeki ciała Fiony Risby przez pewien czas krążyły pogłoski, że zdaniem Stalbridge'a jego narzeczona z całą **63**

pewnością nie popełniła samobójstwa. Jeśli nawet podejrzewał, że została zamordowana, to dlaczego tak go to obchodziło? Podobno i tak miał zamiar zerwać zaręczyny. Plotkowano wręcz, że przyłapał

ją w łóżku z innym mężczyzną. Po cóż więc chciałby pomścić jej śmierć? I dlaczego czekał tak długo? A jeśli to Stalbridge był złodziejem, to dlaczego zabrał również dokumenty, dotyczące interesów i pamiętniki, będące podstawą szantażu?

To wszystko było cholernie niepokojące. Hastings czuł pustkę w głowie i wielki niepokój. Stało się coś bardzo złego.

Podszedł do okna i popatrzył na ogród. Żałował, że nie może porozmawiać o swoich kłopotach z kimś, do kogo miał zaufanie.

Stanowczo nie mógł się zwierzyć Quinby'emu czy Royce'owi.

Prowadził dosyć ryzykowną grę z ich szefem. Nie chciał, by wieści o jego potknięciu doszły do uszu Clementa Corvusa.

Kiedyś poradziłby się Victorii. Miała naprawdę niezwykły talent do odnajdywania sensu w pozornie przypadkowych zdarzeniach.

Ona jednak nie żyła. Tak jak Grantley, jedyna osoba poza jego pierwszą żoną, z którą mógłby porozmawiać otwarcie. Do nikogo innego nie miał zaufania.

Hastings się zamyślił. Był jeszcze Thurlow. To Victoria go wybrała. Po mistrzowsku uwiódł i skompromitował kilka młodych panien, które potem szantażowali. Miał rozmaite talenty, a zdaniem Victorii był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w Londynie.

Kobiety, które uwiódł, z pewnością też tak myślały.

Thurlow był też nałogowym hazardzistą. Oczywiście to czyniło go bardzo skorym do współpracy. Stale potrzebował pieniędzy na spłacenie karcianych długów. Jednak Victoria nigdy mu do końca nie ufała. Mawiała, że hazardzista jest lojalny tylko do następnej partii kart.

Hastingsowi przysłała do głowy kolejna niepokojąca myśl.

Thurlow wiedział, czym się zajmował Grantley. Do diabła, może to on zamordował Grantleya? Ta straszna ewentualność przejęła go lękiem. Czyżby Thurlow sam postanowił zająć się szantażem?

Zaczął od pozbycia się pośrednika, czyli Grantleya, a potem zabrał

**64**

z sejfu dzienniki, które wykradł uwiedzionym pannom. Było raczej mało prawdopodobne, żeby potrafił otwierać sejfy, ale wcale niewykluczone. To jednak nie wyjaśniało roli Stalbridge'a w całej sprawie.

Elwin miał wrażenie, że tonie w ruchomych piaskach. Wszystko się tak cholernie skomplikowało.

Odwrócił się do Quinby'ego i Royce'a.

- Plan jest taki. Przede wszystkim postaracie się, żeby Stalbridge nie zbliżył się więcej do mnie ani do tego domu. Zrozumiano?

- Tak, proszę pana - odparł Royce posłusznie.

Quinby tylko wzruszył ramionami.

Elwin się zawahał. Najrozsądniej byłoby nakazać strażnikom, by dla bezpieczeństwa zabili Stalbridge'a i Thurlowa, ale było to niemożliwe. Byli ludźmi Corvusa, a ten nie zgodziłby się, żeby ktoś z jego bandy zamordował dwóch dżentelmenów.

Nie żeby powstrzymywały go jakieś skrupuły. Jednak coś takiego mogłoby ściągnąć na niego kłopoty. Taka zbrodnia oczywiście zwróciłaby uwagę Scotland Yardu. Clement Corvus z pewnością chciałby uniknąć ryzyka.

- Po drugie, chcę, by ktoś miał na oku człowieka nazwiskiem Thurlow, mieszkającego na Halsey Street. Znajdziecie chyba odpowiednią osobę, która podjęłaby się tego zadania.

Quinby znów wzruszył ramionami.

Royce odchrząknął.

- Jest taki gość, nazywa się Slip.

**9**

Tuż przed drugą po południu rozległo się stukanie mosiężnej ko

łatki. Ktoś stał przed wejściem i domagał się przyjęcia.



Louisie serce zabiło mocniej. Na próżno usiłowała opanować drżenie i dreszcz podniecenia.

65

Skup się na ważnych sprawach. Nie pozwól, by coś rozpraszało twoją uwagę.

Pani Galt minęła otwarte drzwi gabinetu i pospieszyła do holu, wycierając po drodze ręce w fartuch.

W progu pokoju stanęła Emma. Miała na sobie spłowiała suknię, którą wkładała do prac w oranżerii. W jej oczach płonęła ciekawość.

- Mniemam, że to twój pan Stalbridge - powiedziała.

- To nie jest mój pan Stalbridge. - Louisa powoli odłożyła pióro. Starła się przy tym okazać spokój i pewność siebie. - Zdaje się jednak, że to rzeczywiście on. Wspomniał, że przyjdzie dziś po południu po zapłatę.

Emma parsknęła cicho, rozbawiona.

- Tak jakby Stalbridge potrzebował pieniędzy. Wątpię, żeby tu przyszedł właśnie po to.

Drzwi wejściowe się otworzyły. W holu rozległ się niski, męski głos. Louise przeszył dreszcz. Zjeżyły jej się włosy na karku.

Uspokój się. To tylko spotkanie w interesach, a nie potajemna schadzka, pomyślała.

Chwilę później pani Galt pojawiła się w gabinecie. Wydawała się mocno zaintrygowana. Najwyraźniej pan Stalbridge zrobił na niej duże wrażenie.

- Pani Bryce, przyszedł pan Stalbridge - powiedziała. - Mówi, że pani się go spodziewa.

Louisa pomyślała, że pani Galt ma wszelkie powody do zaciekawienia. Dotąd jedynym dżentelmenem, który regularnie zjawiał się z wizytą na Arden Square, był pan Rossmarten, sześćdziesięcioletni adorator Emmy z Towarzystwa Miłośników Ogrodów. Oboje pasjonowali się orchideami. Wiedząc co nieco o przeszłości lady Ashton, Louisa była niemal pewna, że tę parę łączy też namiętność innego rodzaju. Oczywiście z zachowaniem wszelkiej dyskrecji.

- Proszę go wprowadzić - powiedziała Louisa, z wysiłkiem zachowując spokój. - Poprosimy też o herbatę.

- Tak, psze pani.

Gospodyni poszła z powrotem do holu. Po chwili rozległ się odgłos męskich kroków.

66

Pani Galt ponownie stanęła w progu gabinetu.

- Pan Stalbridge - oznajmiła.

Na widok Anthony'ego Louisie zabrakło tchu. Dotąd widzia

ła go tylko w migoczącym świetle świec na sali balowej albo skrytego w mroku powozu. Zastanawiała się, czy dziwne odczucia, których doznawała w jego obecności, znikną w świetle dnia. Wyglądał jednak równie elegancko, ekscytująco i niebezpiecznie w dobrze skrojonym surducie z ciemnoszarej wełny, jak w czarnym fraku. Stroju dopełniała koszula z modnie wywiniętym kołnierzykiem i halsztuk w prążki, zawiązany w piękny węzeł. Ciemne włosy były wyszczotkowane. Louisie spodobało się, że Anthony jest gładko ogolony. Modne obecnie baczki niespecjalnie ją zachwycaly.

Uklonił się z gracją.

- Witam panie - odezwał się grzecznie.

Gospodyni pospieszyła do kuchni. Zapadła krótka cisza. Mężczyzna czekał z rozbawioną miną.

Louisa w końcu zauważyła, że Emma daje jej dłonią dyskretne znaki. Uświadomiła sobie, że siedzi i po prostu gapi się na Anthony'ego. Zażenowana, wzięła się w garść.

- Dzień dobry, panie Stalbridge - odezwała się pospiesznie.

- Proszę, niech pan wejdzie. Zdaje się, że poznał pan już lady Ashton?

- Oczywiście. - Anthony podszedł i pochylił się nad dłonią Emmy. - Miło mi znów panią widzieć, madame.

- Witam, panie Stalbridge - odparła. - Proszę, niech pan siada.

- Dziękuję.

Anthony podszedł do wolnego fotela. Spojrzał na Louise i uniósł

pytająco brwi.

- Proszę się nie obawiać - rzuciła. - Wyjaśniłam mojej kuzynce nadzwyczajne okoliczności naszego wczorajszego spotkania. Może pan mówić przy niej zupełnie swobodnie.

Mężczyzna przyjrzał się Emmie z dużym zaciekawieniem.

- Czy pani również chce udowodnić, że Hastings ma udziały w domu schadzek? - spytał.

Lady Ashton się uśmiechnęła.

- Nie, to śledztwo Louisy. Ja tylko pomagam w każdy możliwy sposób.

- Na przykład uzyskując dla niej zaproszenia, żeby mogła przeszukać domy podejrzanych osób?

Emma wyglądała na zaskoczoną.

- Sprytnie pan to skojarzył. Rzeczywiście to jeden ze sposobów, w jaki próbuję być użyteczna.

Louisa odchrząknęła cicho.

- Panie Stalbridge, do jakich wniosków pan doszedł w kwestii szantażu?

- Przeczytałem dzienniki i listy. Wygląda na to, że szantażowanych jest pięć osób. Tak jak podejrzewałem ubiegłej nocy, to nie młode damy płacą za milczenie. W każdym przypadku szantażowana jest ich krewna, bogata, starsza i na ogół słabego zdrowia.

- Dlaczego płacą szantażyście?

- Robią to, by chronić reputację młodej damy, która została uwiedziona.

- To okropne. - Louisa zmarszczyła brwi. - Czy to Hastings je skompromitował? Zapewne można go uznać za przystojnego, ale moim zdaniem jest zbyt stary, by podobać się młodym pannom.

- To jeden z ciekawszych aspektów całej sprawy - powiedział

Anthony. - Każda z tych młodych kobiet została uwiedziona przez mężczyznę, którego w listach i dziennikach opisują jako złotowłosego greckiego boga, najpiękniejszego mężczyznę na ziemi i rycerza w lśniącej zbroi. Zgodnie twierdzą, że ma jakieś dwadzieścia kilka lat.

- Hastings jest siwiejącym brunetem i przekroczył już czterdziestkę - zauważyła Emma.

- Więc w intrygę z szantażem jest zamieszany przynajmniej jeszcze jeden mężczyzna - rzuciła Louisa.

- Tak - przyznał Stalbridge. - Postaram się jak najszybciej dyskretnie zwrócić wszystkie dzienniki i listy ich prawowitym właścicielkom i zapewnić ofiary, że szantażowi położono kres. Niestety, oznacza to, że w tej sprawie nie dowiemy się już niczego.

- Oczywiście - potwierdziła Louisa. - Nie możemy przecież ryzykować, że tożsamość ofiar wyjdzie na jaw.

- Nie. - Anthony spojrzał jej w oczy. - Tak czy inaczej nie mog

łyby nam pomóc w śledztwie. Pani Bryce, myślę, że pora omówić moje wynagrodzenie za zadanie

wykonane ubiegłej nocy.

Louisa się wyprostowała.

- Tak, oczywiście. Ile, pana zdaniem, są warte tego typu usługi?

- Nie chcę od pani pieniędzy. Potrzebuję informacji.

Zesztywniała.

- Słucham?

- Przyszedłem, by odkryć przed panią karty. W ramach zapłaty za wyświadczone usługi spodziewam się, że zechce pani zrewanżować się tym samym.

- Co pan ma na myśli?

- Wyjaśniłem pani, że fakt, iż znalazłem naszyjnik w sejfie, ponad wszelką wątpliwość wskazuje, że Elwin Hastings zamordował

Fionę Risby.

- Tak, rzeczywiście - przyznała grzecznie.

Uśmiechnął się do niej chłodno.

- Widzę, że ma pani co do tego wątpliwości.

- Wybacz pan, że przerywam - odezwała się spokojnie Emma.

- Przyszło mi do głowy i zasugerowałam to Louisie, że może pan mieć osobisty powód, by skierować podejrzenia na Elwina Hastingsa.

Anthony zrozumiał w mgnieniu oka i kiwnął głową.

- Tak, oczywiście. Pomyślała pani, że z powodu plotek sprzed roku, szukając żony, nie będę mógł przebierać w kandydatkach z wyższych sfer. Doszła pani do wniosku, że zapewne postanowiłem obwinić o zbrodnię kogoś innego, by samemu oczyścić się z zarzutów.

Louisa skrzywiła się na wyrażenie „przebierać w kandydatkach”.

Emma uniosła brwi.

- Przyzna pan, że nie można od razu odrzucić tej teorii.

Mężczyzna spojrział jej prosto w oczy.

- W tej chwili mogę pani dać tylko moje słowo honoru, że przyczyna jest inna. Ubiegłej nocy zyskałem dowód, który ostatecznie potwierdził to, w co od jakiegoś czasu wierzyłem.

- Naszyjnik - rzuciła Louisa.

- Tak. - Odwrócił się do niej. - Moim zdaniem to jedyny dowód, jakiego mi trzeba, by mieć pewność, że Elwin Hastings zamordował Fionę. Pozostaje jednak pytanie, na które muszę dopiero znaleźć odpowiedź.

- To znaczy? - spytała dziewczyna.

- Jestem absolutnie pewien, że to on ją zabił, ale nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił. Po prostu nie ma żadnego związku między Fioną i Elwinem Hastingsem, poza tym, że tej nocy, gdy zginęła, oboje byli na tym samym balu.

- Na tym balu było mnóstwo ludzi - zauważyła Louisa. - Co sprawiło, że właśnie jego uznał pan za podejrzanego?

- Zainteresowałem się nim z paru powodów. Po pierwsze, jego żona zginęła zaledwie kilka dni później. Samobójstwa dwóch dam z wyższych sfer, popełnione w dokładnie ten sam sposób, w ciągu niecałego tygodnia, wydały mi się zastanawiającym zbiegiem okoliczności.

Louisa postukała piórem o biurko.

- Pierwsze mogło zainspirować drugie. Kobieta, ogarnięta melancholią, która przeczytała o samobójstwie innej kobiety, mogła zdecydować się na podobny krok.

Emma zmarszczyła brwi.

- Przyznaję, nie znałam jej dobrze, ale muszę powiedzieć, że by

łam mocno wstrząśnięta, gdy w zeszłym roku usłyszałam o śmierci Victorii. Pamiętam, pomyślałam wtedy, że nie wydawała się osobą, która odebrałaby sobie życie.

- Ja odniosłem podobne wrażenie - powiedział Anthony. - Jestem też głęboko przekonany, że Fiona nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Otworzyły się drzwi. Pani Galt postawiła przed Emmą tacę z podwieczorkiem.

- Ja się tym zajmę - powiedziała lady Ashton. - Dziękuję.

**70**

- Tak, psze pani.

Milczeli, dopóki gospodyni nie wyszła i nie zamknęła za sobą drzwi.

Louisa spojrzała na Anthony'ego.

- Mówił pan, że zbieżność w czasie i podobieństwo tych dwóch samobójstw zwróciło pana uwagę.

Rozsiadł się wygodniej w fotelu, splótł dłonie i przyjrzał się jej uważnie.

- W tamtym miesiącu miały właściwie miejsce trzy samobójstwa. Trzecią osobą była Joanna Barclay, kobieta, która zabiła lorda Gavina. Pewnie pamiętają panie to nazwisko. Prasa zrobiła z tego morderstwa wielką sensację.

Louisa zmartwiała. Poczwała lodowaty strach. Starannie unikała wzroku przyjaciółki.

- Tak, chyba słyszałam co nieco o tym samobójstwie - wykrztusiła.

Starła się oddychać normalnie. Dopadło ją dawne przerażenie, które zawsze czaiło się w pobliżu. Przecież nie mógł wiedzieć, kim ona jest. Według oficjalnej wersji Joanna Barclay nie żyła. Wyższe sfery dawno zapomniały o sensacji, wywołanej śmiercią lorda Gavina.

Ale zmarły miał krewnych. Pozostawił po sobie wdowę. Lady Gavin oczywiście nie bywała teraz w towarzystwie, ponieważ obowiązywała ją żałoba. A jednak nie należało o niej zapominać. Stalbridge mógł znać ją bliżej. Być może doszedł do wniosku, że powinien się koniecznie przyjrzeć samobójstwu Joanny Barclay, gdyż ma ono związek ze śmiercią Fiony i Victorii Hastings...

- Pani Bryce?

Podskoczyła, słysząc głos Anthony'ego. Przyglądał się jej z niepokojącą, zagadkową miną.

- Przepraszam - rzuciła szybko. - Zamyśliłam się nad tym, co pan powiedział.

Emma spojrzała na nią z niepokojem.

- Moja droga, czy zrobiło ci się słabo?

71

- Nie, wcale nie. - Louisa opanowała strach.

Weź się w garść. Nie daj się ponieść wyobraźni. Skup się na sytuacji i reaguj w miarę rozwoju wypadków.

- Proszę, niech pan mówi dalej - powiedziała spokojnie. - Co z tym trzecim samobójstwem?

Obserwował ją w milczeniu przez kilka chwil. Nie podobała jej się chłodna kalkulacja w jego wzroku. W końcu kiwnął głową, jakby przyjmował jej słowa za dobrą monetę.

- Zasięgnąłem informacji o samobójstwie panny Barclay - powiedział. - Musiałem jednak uznać, że nie ma ono związku ze śmiercią Fiony czy Victorii Hastings. Panna Barclay prowadziła antykwariat.

Nie miała nic wspólnego z wyższymi sferami. Nic też nie wskazywało na to, że Hastings w ogóle ją znał. Specjalizowała się w rzadkich i cennych woluminach. Jej klientelą byli przede wszystkim bibliofile. Elwina nie interesują książki.

Posunął się do tego, że zasięgnął informacji. Louise oblał zimny pot. Koszula przykleiła się jej do pleców. Próbując się uspokoić, zdjęła okulary i zaczęła czyścić szkła chusteczką.

- Hm - mruknęła niby w zamyśleniu.

- O ile pamiętam, prasa brukowa jasno pisała, że nie ma żadnej tajemnicy w sprawie śmierci panny Barclay - powiedziała Emma, spokojna nawet w krytycznej sytuacji. - Owa kobieta miała bardzo poważny powód, by odebrać sobie życie. Na pewno wiedziała, że zostanie aresztowana za zamordowanie lorda Gavina. Najwyraźniej nie mogła znieść myśli o czekającym ją procesie.

- Rzeczywiście. - Anthony pokiwał głową, ale nie spuszczał

wzroku z Louisy. - Uznałem, że powinienem porzucić ten trop w śledztwie. Jednak samobójstwa Fiony i pani Hastings nie przestawały mnie niepokoić. Zasięgnąłem więcej informacji, tym razem o sytuacji finansowej Hastingsa.

Dziewczyna przerwała czyszczenie szkieł. Ciekawość wzięła w niej górę nad lękiem. Włożyła okulary i spojrzała na niego.

- Czy znalazł pan coś, co może wzbudzić podejrzenia?

- Niestety nie. Hastings był w tamtym czasie zaangażowany w jedno ze swych przedsięwzięć finansowych, ale nie potrafiłem

wyobrazić sobie żadnego powiązania między Fioną i jego interesami.

Louisa odchrząknęła.

- Wybacz pan, że o tym wspominałem, ale muszę to zrobić. Czy to możliwe, że Fiona i pan Hastings mieli romans?

- Absolutnie nie.

Stanowcze, niepodlegające dyskusji, definitywne zaprzeczenie.

- Ach, tak. - Westchnęła.

- Rozmawiałem z kilkoma osobami, które widziały moją narzeczoną i Hastingsów na balu tamtej nocy. Podobno wyszli do ogrodu, by odetchnąć świeżym powietrzem. Fionę również widziano, jak opuszcza salę balową. Była sama i także poszła do ogrodu.

Emma podała mu filiżankę herbaty.

- Tamtej nocy w ogrodzie na pewno przebywało wielu ludzi.

- To prawda. - Anthony wziął filiżankę i odstawił ją na stolik obok fotela. - Hastingsowie po pewnym czasie wrócili z ogrodu.

Wezwali swój powóz i wyszli niemal od razu.

- A co z panną Risby? - spytała Louisa.

Stalbridge zacisnął zęby

- Nikt już nie zobaczył jej żywej.

- Nie rozumiem. Chce pan powiedzieć, że nikt nie widział, by wróciła do sali balowej?

- Tak, pani Bryce, właśnie to chcę powiedzieć. Wyszła do ogrodu i już nie wróciła. Gdy nad ranem wydobyto jej ciało z rzeki, mia

ła na sobie suknię, którą włożyła na bal. Naszyjnik zniknął. Uznano, że zsunął się z jej szyi i spoczywa na dnie rzeki.

Emma w zamyśleniu mieszała herbatę.

- Nie słyszałam o tym.

- Ze zrozumiałych względów rodzina Risbych chciała zachować większość szczegółów w tajemnicy - powiedział Anthony.

- Niech pan mówi dalej - ponagliła zaintrygowana Louisa. -

Czy były jakieś inne poszlaki, które pozwoliłyby panu skojarzyć ze sobą samobójstwa tych dwu kobiet?

- W trakcie autopsji na głowie Fiony znaleziono siniec po uderzeniu. Policja uznała, że uderzyła głową o kamień lub jakąś **73** .

przeszkodę pod wodą, gdy skoczyła do rzeki, ale mogło przecież być inaczej.

Dziewczyna opanowała lekki dreszcz. Istotnie mogło być inaczej. Fiona mogła zostać uderzona. Na przykład pogrzebaczem.

Taki przedmiot potrafi zadać ciężką, śmiertelną wręcz ranę.

Zwilżyła językiem zeschnięte usta.

- I to wszystko? - spytała.

- Tak- przyznał. - Musiałem zaniechać dalszego śledztwa.



- Nie rozumiem - rzuciła Louisa. - Co w takim razie sprawiło, że ubiegłej nocy zaryzykował pan otwarcie sejfu Hastingsa?

- Przed dwoma tygodniami Phillip Grantley popełnił samobójstwo - powiedział Anthony.

Spojrzała pytająco na Emmę. Ta pokręciła głową ze zdumioną miną. Co znaczyło, że Grantley nie obracał się w wyższych sferach.

Louisa zwróciła się z powrotem do Stalbridge'a.

- Kim jest Phillip Grantley?

- Mój informator twierdzi, że to dobry znajomy Hastingsa. Elwin akurat przygotowuje kolejne konsorcjum inwestycyjne. Tak jak w zeszłym roku, gdy zginęły Fiona i jego żona. Ten zbieg okoliczności wydał mi się na tyle intrygujący, że nie mogłem go zignorować.

Louisa nagle doznała olśnienia. W ożywieniu pochyliła się do przodu.

- Ach, to dlatego w ciągu minionego tygodnia zjawiał się pan na tych samych balach i przyjęciach, co ja. Oboje szukaliśmy informacji o pozostałych udziałowcach przedsięwzięcia Hastingsa.

- Tak. - Uśmiechnął się lekko. - Zauważyłem panią, gdy weszła pani do biblioteki lorda Hammonda.

Zszokowana dziewczyna głośno odstawiła porcelanową filiżankę z herbatą na spodeczek.

- O czym pan mówi?

- Tamtego wieczoru na balu weszła pani do biblioteki pół minuty po mnie w sposób, który mogę opisać jako ukradkowy.

Patrzyła na niego przerażona.

- Tamtego wieczoru był pan w bibliotece?

74

- Schowałem się za zasłonami - odparł. - Dostyc niezręczna sytuacja. Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem musiałem się ukrywać w ten sposób.

- Wielkie nieba! - Dziewczyna skuliła się na krześle. - Widział

pan, jak przeszukiwałam bibliotekę? Byłam przekonana, że nikt mnie nie obserwuje.

- Jak się pani domyśla, wzbudziła pani moją ciekawość - powiedział Anthony, przyglądając się jej z uwagą.

- Później tego wieczoru poprosił pan o przedstawienie go mojej kuzynce - zauważyła Emma.

To właśnie wtedy zatańczył ze mną po raz pierwszy, pomyślała melancholijnie Louisa. A ja pozwoliłam sobie na odrobinę marzeń.

- Gdy kilka dni później zauważyłem, jak wymyka się pani, by przeszukać bibliotekę Wellswortha, stało się dla mnie jasne, że łączy nas zainteresowanie Hastingsem - ciągnął Anthony, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. - Ostatniego wieczoru potwierdziła pani tę teorię. Myślę, że nadszedł czas, byśmy się wymienili informacjami.

- Hm - mruknęła Louisa.

- Zanim do tego przejdziemy, chciałbym panią o coś zapytać

- dodał Stalbridge dobitnie. - Biorąc pod uwagę, ile pani ujawni

łem, byłbym wdzięczny za odpowiedź. Właściwie można wręcz powiedzieć, że na nią zasłużyłem.

Wyprostowała się na krześle.

- Chce pan wiedzieć, dlaczego badam sprawę finansowe Hastingsa.

- W obecnej sytuacji to chyba rozsądne pytanie - odparł.

Louisa doszła do wniosku, że będzie musiała odpowiedzieć. Je

śliby tego nie zrobiła, zapewne odmówiłby współpracy. A było dla niej jasne, że wspólne działanie to jedyny możliwy sposób doprowadzenia śledztwa do końca. Pokusa napisania reportażu o dwóch morderstwach w wyższych sferach była nieodparta.

- Zrobię to, pod jednym warunkiem - oznajmiła.

Emma zmarszczyła brwi.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

75

- Wybacz, ale czuję, że nie mam wyboru - powiedziała Louisa łagodnie i spojrzała na Anthony'ego. - Zgadza się pan?

- Zależy, jaki to warunek - odparł spokojnie.

- Jeśli chce pan, bym mu pomogła, musi się pan zgodzić, by

śmy pracowali razem.

Mężczyzna zmrużył oczy.

- Pani Bryce, chce pani być wplątana w morderstwo? - rzucił.

- Chcę panu pomóc w śledztwie dotyczącym Hastingsa - poprawiła go, niewzruszona. - Nie jestem całkowicie przekonana, że ma pan rację, zarzucając mu dwukrotne morderstwo. Tym niemniej na tyle zainteresował mnie pan sprawą, że chciałabym ją bliżej zbadać.

- Do diabła, dlaczego chciałaby pani pomagać w ujęciu mordercy? To niebezpieczne! - zawołał Anthony.

- Tak - wtrąciła szybko Emma. - Louiso, to bardzo niebezpieczne. Myślę, że nie powinnaś się w to angażować. Już i tak dość dużo ryzykujesz.

Zapadło krótkie milczenie. Anthony wbił wzrok w lady Ashton.

Poczuł trop, pomyślała Louisa. Teraz już nic nie odwróci jego uwagi.

- Wszystko panu wyjaśnię. - Oparła splecione dłonie na blacie biurka. - Muszę jednak zauważyć, że właściwie nie ma pan innego wyjścia, jak tylko ze mną współpracować. Jeśli pan tego nie zrobi, i tak

w najbliższej przyszłości będziemy stale na siebie wpadać.

Anthony nie spuszczał z niej oka.

- Pani Bryce, czy towarzystwo tak panią nudzi, że dla rozrywki naraża się pani na ogromne niebezpieczeństwo?

- Powiem panu coś, o czym wie tylko garstka osób. Jedną z nich jest Emma. Drugą redaktor naczelny i wydawca „Latającego Detektywa”.

- Tego szmatławca? Do licha, co też łączy panią z tanim brukowcem, który żywi się najbardziej krwawymi sensacjami?

Louisa upomniała się w duchu, że przecież spodziewała się takiej reakcji. A jednak czuła się zawiedziona i dotknięta do żywego jego pogardliwym tonem.

**76**

- Tak się składa, że jestem korespondentką tego szmatławca

- odparła chłodno.

Anthony znieruchomiał. Dziewczyna pomyślała, że chyba po raz pierwszy widzi go kompletnie wytrąconego z równowagi. Stara

ła się znaleźć w tym odrobinę pocieszenia. Niewątpliwie wiele straciła w jego oczach, ale przynajmniej udało się jej nim wstrząsnąć.

Czuła, że nie zdarza się to często.

- Pani jest korespondentką? - powtórzył beznamiętnym tonem.

- Tajną korespondentką - uściśliła. - Piszę pod pseudonimem J.A. Fantom.

- Cóż, mam za swoje. - Pokręcił głową, starając się ukryć uśmiech.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Czy moja praca wydaje się panu śmieszna?

- Raczej zdumiewająca - zawiesił na chwilę głos. - Moja siostra z przyjemnością zawarłaby z panią znajomość.

Louisa się rozpromieniła.

- Pańska siostra czyta moje reportaże?

- Oczywiście. Poza tym tak się składa, że macie ze sobą wiele wspólnego.

- Nie rozumiem. Czy pańska siostra również pisuje do gazet?
- Nie, ale ma profesję w pewnym sensie podobną do pani. I tak jak pani musi ukrywać swoją tożsamość.
- A cóż takiego robi? - spytała z zaciekawieniem. Nigdy dotąd nie spotkała innej kobiety, która musiałaby się ukrywać pod pseudonimem.
- Pisze sztuki pod nazwiskiem E.G. Harris.
- Znam jej sztuki! - Louisa nie mogła opanować podniecenia. -

Są wystawiane w Olympii. Najnowsza nazywa się *Noc na Sutton Lane*.

Widziałam ją w zeszłym tygodniu. Przedstawia niesłychane sensacje i zawiera zdumiewającą scenę ze statkiem, tonącym na morzu.

- Owszem.

- Widzom się wydaje, że bohaterka musi zginąć, bo wdała się w sekretny romans, a wszyscy wiedzą, że w sztukach takie romanse 77

zawsze źle się kończą. A jednak w ostatniej chwili znikąd pojawia się jakiś dżentelmen i ratuje ją z opresji - Louisa westchnęła. - Niestety, to nie Nigel, jej ukochany.

- O ile dobrze pamiętam, Nigel był żonaty - rzucił Anthony.

- Tak, ale widzi pan, on o tym nie wiedział. Myślał, że jego żona nie żyje. A tymczasem została zamknięta w domu dla obłąkanych przez podstępного brata.

- Zapewniam panią, że widziałem tę sztukę. Nie trzeba mi jej streszczać.

Louisa zarumieniła się z zażenowania.

- Tak, oczywiście.

Emma zachichotała.

- Moja kuzynka jest wielbicieleką sztuk pańskiej siostry.

- Zauważyłem. - Anthony zmarszczył brwi. - Tak się składa, że czytałem kilka pani reportaży, pani Bryce.

- Nie posiadam się ze zdumienia, słysząc, że przyznaje pan, iż czytał cokolwiek wydrukowanego w „Latającym Detektywie” - powiedziała Louisa.

Ucieszyła się w duchu. Stalbridge czytał jej teksty.

- Czytelnicy „Detektywa” dzielą się na dwie kategorie - powiedział sucho. - Tych, którzy nie ukrywają, że go czytają i tych, którzy nigdy się do tego nie przyznają. Jest to szczególnie widoczne, od kiedy zaczęły się ukazywać drukiem reportaże J.A. Fantoma. Pani Bryce, szczerze pani gratuluję. Nieraz udało się pani skonsternować towarzystwo rewelacjami na temat skandali w wyższych sferach.

Louisa poczuła nagle potrzebę wytłumaczenia się z tego, co robi.

- Nie interesuję się skandalami ze względu na sensację, którą wywołają. Mnie motywuje pragnienie, by sprawiedliwości stało się zadość.

- Sprawiedliwości? - Uniósł pytająco brew.

- Zbyt często osoby pochodzące z wyższych sfer nadużywają przywilejów i władzy, związanej z ich pozycją. Wykorzystują słabszych od siebie, gdyż doskonale wiedzą, że raczej nie spotka ich kara za te występki.

78

- Rozumiem. Czuje się pani powołana, by wymierzać sprawiedliwość, ujawniając ich ciemne sprawy?

- Niewiele więcej można zrobić. - Rozłożyła ręce. - Wszyscy wiedzą, że to w zasadzie niemożliwe, by Scotland Yard przeprowadził śledztwo w wyższych sferach. Wszystkie drzwi są zamknięte i nie ma sposobu, by je wyważyć. Sam pan powiedział, że nie ma szans, by policja kiedykolwiek przeszukała dom Hastingsa.

- To prawda. A jednak...

- Dzięki Emmie znalazłam się w wyjątkowej sytuacji - ciągnę

ła. - Mogę bywać w najlepszych kręgach, nie zwracając przy tym niczyjej uwagi.

Zerknął na lady Ashton.

Ta dołała wszystkim herbaty.

- Muszę przyznać, że jak dotąd było to bardzo interesujące

- rzuciła.

- Chcę podkreślić, że jestem dumna z tego, że zawsze jestem wierna faktom - powiedziała Louisa stanowczo. - Zanim napiszę reportaż, drobiazgowo wszystko sprawdzam. Nie chcę wyrządzić szkody czy upokarzać niewinnych osób.

- Wystarczy. - Anthony uciszył ją gestem. - Nie wątpię w pani zapał i szczerą intencję, pani Bryce.

Dziewczyna się nieco rozluźniła.

- Zastanawiałem się, skąd bierze pani tematy - ciągnął. - Czy mogę założyć, że ma pani informatorów?

- Tak - odparła. Znow była czujna.

- Chciałbym poznać nazwisko osoby, która podsunęła pani sprawę Hastingsa.

Louisa zamyśliła się na chwilę. Rola sekretnego informatora niezwykle podobała się Mirandzie Fawcett. Niewątpliwie uda się ją namówić, by pomogła Anthony'emu w śledztwie, pod warunkiem że mężczyzna zdobędzie jej zaufanie.

- Mój informator być może zgodzi się panu pomóc, ale niczego nie gwarantuję - powiedziała.

**79**

W oczach mężczyzny pojawiło się z trudem skrywane podniecenie.

- Rozumiem.

Louisa splotła dłonie.

- Chcę, żeby pan mnie dobrze zrozumiał - oświadczyła bez mrugnięcia okiem. - Nasza rozmowa zakończy się tu i teraz, jeśli nie zgodzi się pan współpracować ze mną w tej sprawie na równych prawach.

Spojrzał na nią ostro.

- Pani Bryce, to chyba nie jest najmądrzejsze posunięcie.

- Panie Stalbridge, moim zdaniem nie ma pan wyboru.

**10**

Dziesięć minut później Anthony wyszedł z domu pod numerem dwunastym na Arden Square. Zszedł po schodach, przeszedł przez ulicę i ruszył przez niewielki park na środku placu. Nie był w najlepszym nastroju.

Louisa była korespondentką „Latającego Detektywa”. Ta wiadomość niemile go zaskoczyła. Nigdy nie słyszał, by kobieta była reporterem, a tym bardziej, by pisała na podstawie własnych obserwacji wyższych sfer.

To fakt, że jej sekretne zajęcia było zdumiewające. A jednak teraz rzeczy, które przez ostatnie tygodnie go fascynowały, nabrały sensu. Wyjaśniły się jej ukradkowe spacerunki po domach

Wellswortha i Hammonda oraz jej zainteresowanie Hastingsem. A także niemodne suknie, okulary i nudna konwersacja. Louisa włożyła wiele wysiłku w to, by ludzie jej nie zauważali. A jednak - czy jej się to podobało, czy nie - teraz, gdy plotki zaczną ją łączyć z jego osobą, utraci swoją drogocenną anonimowość. Anthony zastanawiał się, jak sobie z tym poradzi.

Wynurzył się z kępy drzew i znalazł się na małym skwerku w samym środku parku. Minął dwie zielone, kute ławeczki i figu-80

reę nimfy. Doszedł do końca parku, przeciął kolejną ulicę i skręcił

w wąską alejkę. Gdy u jej wylotu wyszedł na ruchliwą ulicę, przez chwilę zastanawiał się, czy nie wezwać dwukółki, jednak zrezygnował. Potrzebował ruchu. Musiał uwolnić się od frustracji, którą wywołał układ zaproponowany przez Louise.

Nie chciał, by angażowała się w tę aferę. Wyglądało jednak na to, że nic nie może na to poradzić. Dziewczyna nie ukrywała, że będzie kontynuować śledztwo w sprawie Hastingsa, niezależnie od tego, czy połączą siły, czy nie. Jedyne, co mógł w tej chwili zrobić, to mieć na nią oko. Uświadomił sobie, że chyba nie będzie to łatwe.

11

W i e m , że raczej nie uda mi się wyperswadować ci tego przedsięwzięcia - powiedziała Emma. - Mimo wszystko muszę spróbować.

Z tą sprawą wiąże się ogromne ryzyko.

Louisa wstała i podeszła do okna wychodzącego na ogród.

- Ryzykowałam już nieraz - rzuciła.

- Nie aż tak. Nigdy dotąd nie badałaś sprawy morderstwa - odparła przyjaciółka.

- Właśnie dlatego nie mogę przepuścić takiej okazji. Historia wstrząsających morderstw dwóch kobiet z wyższych sfer, którymi można obciążyć Elwina Hastingsa jest po prostu zbyt ważna, by przejść obok niej obojętnie. Ludzie tacy jak on rzadko płacą za swoje zbrodnie. Być może uda się go postawić przed wymiarem sprawiedliwości.

- Nie zapominaj o jednej rzeczy. Nie masz absolutnej pewno

ści, że Hastings kogokolwiek zamordował. W tej chwili opierasz się tylko na przekonaniu pana Stalbridge'a. A mówiłam ci, że on może mieć własne powody, by zrzucić winę na kogoś innego.

Louisa spojrzała na ogród.

81

- Nie wydaje mi się, by prowadził śledztwo tylko po to, żeby oczyścić się z zarzutów. Szczerze



mówiąc, nie sądzę, by opinia towarzystwa choć trochę go obchodziła. Jest głęboko przekonany, że to Hastings zamordował Fionę. Wyczuwam to intuicyjnie. Tylko ze względu na swoją narzeczoną Anthony Stalbridge jest zdecydowany dochodzić sprawiedliwości.

- Być może chętnie przypisujesz mu szlachetne pobudki, bo chciałabyś wierzyć, że coś was łączy - powiedziała łagodnie Emma.

- Oboje szukacie sprawiedliwości...

- Zapewne masz rację. - Louisa odwróciła się do niej. - Tak czy inaczej, jestem zdecydowana doprowadzić tę sprawę do końca.

- Moja droga, nie zrozum mnie źle. Całym sercem podziwiam twoją pracę. Obawiam się jednak, że dochodząc sprawiedliwości w wyższych sferach, postępujesz zbyt lekkomyślnie.

- Doceniam twoją troskę. Obiecuję, że będę ostrożna.

Emma westchnęła.

- To dawny strach i gniew na lorda Gavina popycha cię do dzia

łania. Ten człowiek nie żyje, ale nadal cię prześladowuje.

- Nie będę się z tobą spierać w tej kwestii. Koszmar, który wydarzył się rok temu, pozostanie we mnie do końca życia. Niewykluczone, że skłonił mnie do ryzykownych posunięć. Czuję jednak, że robię to, co jest moim powołaniem. Praca jako J.A. Fantom daje mi tyle zadowolenia, że nic nie może się z tym równać.

- Jesteś zdecydowana zaangażować się we współpracę, którą zaproponowałaś Anthony'emu Stalbridge'owi, prawda?

- Nie mam wyboru. - Louisa oparła się o parapet i chwyciła dłońmi jego krawędź. Zamyśliła się na chwilę. - Emmo, on ją chyba bardzo kochał.

**82**

*12*

Anthony wszedł po schodach dużego domu na Brackton Street.

Pełen obaw co go czeka, zastukał lśniąca, mosiężną kołatką. W holu rozległy się kroki. Drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki, przeraźliwie chudy, siwy mężczyzna w liberii lokaja.

- Pan Stalbridge. Proszę wejść.

- Dzień dobry, Shuttle. - Anthony wszedł do holu i rzucił kapelusz na marmurowy blat stojącego pod ścianą stołu. - Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku?

- Cieszę się doskonałym zdrowiem, dziękuję. - Shuttle zamknął drzwi. - Pańska matka i siostra są w bibliotece. Pański ojciec, jak zwykle w pracowni.

- Dziękuję.

Przeszedł przez hol i stanął w otwartych drzwiach biblioteki, gotując się do obrony. W pokoju stało duże biurko i sztalugi. Ustawiono je tak, by padało na nie jak najwięcej światła, wlewającego się do wnętrza przez wysokie okna, wychodzące na rozległy ogród. Przy płótnie, z pędzlem w dłoni stała Georgiana, jego matka. Słońce roz

świeciło srebrne pasma w jej ciemnych włosach. Zbliżała się już do sześćdziesiątki, ale nadal trzymała się prosto i z gracją. Poplamiony farbami fartuch przykrywał jej suknię. Clarice siedziała przy biurku, przeglądając stos zapisków - zapewne ostatnią sztukę dla Olympii. Jej delikatną buzię o niebieskich oczach otaczała chmura rudych loków.

- Dzień dobry paniom - powiedział od progu. - Wygląda na to, że obie jesteście zajęte. Nie będę wam przeszkadzał. - Cofnął się o krok. - Wpadłem tylko, by zamienić słówko z ojcem.

- Tony! - Clarice spojrzała na niego szybko. - Wracaj tu. Ani się waż uciekać, zanim się nie wytłumaczysz.

- Przepraszam - rzucił, jeszcze bardziej wycofując się do holu.

- Trochę mi się spieszy. Może później.

- Nie, nie później - oświadczyła Georgiana i odłożyła pędzel.

- Twoja babka była tu godzinę temu i wszystko nam opowiedziała.

## 83

Zaklął pod nosem. Lady Payne, jego babka, była nieznośną kobietą. Dawala wszystkim do wiwatu. Jej głównym zajęciem - a przynajmniej tak się Anthony'emu wydawało - było wtrącanie się w sprawy rodziny. Każdy z krewnych dotkliwie odczuł jej wścibstwo. Jednak ostatnio skoncentrowała swoją uwagę głównie na nim.

Trzeba dodać, że nie była w tym osamotniona. Chyba cała familia interesowała się nim. Na szczęście w tej chwili z niemałej rodziny Stalbridge'ów w Londynie przebywała tylko jego babka, matka, ojciec i siostra.

Tym niemniej raczej nie należało się dziwić, że starał się unikać swych krewnych, jak tylko mógł.

- Czy to prawda? - spytała Clarice niecierpliwie. - Czy rzeczywiście ostatniego wieczoru na balu u Hastingsów porwałeś panią Bryce, tajemniczą wdowę i odjechałeś z nią powozem w siną dal?

Anthony kochał swoją siostrę. Była od niego kilka lat młodsza, bardzo inteligentna, miła i wesoła. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że miała skłonność do dramatyzowania. Co zapewne było efektem

ubocznym talentu do pisania sztuk teatralnych.

- Pani Bryce i ja istotnie wyszliśmy z balu razem - odparł, starannie dobierając słowa. - Po prostu zeszedliśmy po schodach i wsiedliśmy do powozu. O ile pamiętam, obyło się bez porwania. A teraz zechcą mi panie wybaczyć, pójdę zobaczyć się z ojcem.

- Czekaj, musisz nam o niej opowiedzieć więcej - nalegała Georgiana. - Kim ona jest? Skąd pochodzi? Co się stało z panem Bryce'em? Twoja babka niewiele o niej wie. Tylko tyle, że to daleka krewna lady Ashton, a poza tym okropnie się ubiera.

Anthony się uśmiechnął.

- Ten brak informacji na pewno bardzo zirytował babkę.

- Czy ona nosi okulary nawet na balu? - spytała Clarice.

- Tak - potwierdził.

- I co? - ponagliła Georgiana. - Co z jej mężem?

- Nie wiem, co się stało z panem Bryce'em - przyznał. - Najważniejsze, że już go nie ma wśród żywych.

- Babka mówi, że pani Bryce zrzuciła już żałobę, więc musiał umrzeć przynajmniej trzy albo cztery lata temu - wtrąciła jego siostra.

**84**

- Tak, na to wygląda - zgodził się.

- Twoja babka sugeruje, że ta pani nie ma żadnego własnego majątku - rzuciła Georgiana. - Najwyraźniej lady Ashton wzięła ją do siebie z dobrego serca.

- Tak, to bardzo prawdopodobne - potwierdził Stalbridge.

- A teraz, pozwólcie, że was...

- Jaka ona jest? - spytała Clarice.

Anthony zastanowił się dłuższą chwilę.

- Nietuzinkowa - odparł w końcu.

- Pod jakim względem? - zażądała wyjaśnień. - Tony, chcemy szczegółów. To pierwsza kobieta, którą się zainteresowałeś od śmierci Fiony Mógłbyś coś o niej opowiedzieć?

- Uwielbia twoje sztuki - rzucił.

- Powiedziałeś jej, że piszę przedstawienia dla Olympii? - Clarice ze zdumienia szerzej otworzyła oczy.

- Chyba bardzo ją ucieszyło, że bohaterka, która wdała się w potajemny romans w *Nocy na Sutton Lane*, nie utonęła pod koniec sztuki. Mimo że uratował ją inny mężczyzna niż ten, który ją uwiódł.

- Nie mogłam pozwolić, by to Nigel ją uratował - wyjaśniła.

- Był już przecież żonaty.

- Próbowałem jej to wyjaśnić - powiedział Anthony i umknął.

Wspiął się po schodach i przeszedł długim korytarzem do wielkiego pomieszczenia na tyłach domu. Architekt zaplanował w tym miejscu sypialnię pana domu i salonik, jednak jak daleko Anthony sięgał pamięcią, zawsze znajdowała się tutaj pracownia ojca.

W holu na piętrze słychać było przytłumiony szczeł metalu.

Stalbridge dobrze pamiętał ten dźwięk z dzieciństwa. W warsztacie ojca spędził niezliczone godziny. Albo pomagał w jakiejś pracy, albo bawił się skomplikowanymi mechanizmami i zabawkami, które skonstruował dla niego ojciec.

Otwierając drzwi pomyślał, że ojciec wynalazca ma swoje dobre strony. Dzięki niemu życie nigdy nie było nudne.

- To ty, Clarice? - zapytał Marcus Stalbridge, nie odwracając się. - Nie skończyłem jeszcze pracy nad płonąącym domem.

**85**

Niestety, mam problem z chemikaliami, które wytwarzają dym. Jest go o wiele za dużo. Widownia nie zobaczy, co się dzieje na scenie.

Anthony zamknął drzwi, skrzyżował ręce na piersi i oparł się o framugę.

- Clarice zamierza spalić dom? - spytał.

- Tony, wreszcie się zjawiłeś. - Marcus odłożył klucz francuski i się odwrócił. - Wysłałem ci wiadomość całe wieki temu. Do diabła, gdzieś ty się podziewa!?

Anthony pomyślał, że ojciec - ubrany w ciężki skórzany fartuch, poplamioną smarem koszulę i spodnie oraz ciężkie buty - wyglądał

na dokera albo stolarza. Stanowczo nie przypominał angielskiego dżentelmena, potomka starego arystokratycznego rodu.

Marcus zdobył wykształcenie inżyniera. Wszyscy, którzy znali go od dziecka, zgodnie twierdzili, że zaczął eksperymentować z różnymi wynalazkami, jak tylko wydostał się z kołyski. Potężny mężczyzna o dużych, zręcznych dłoniach i ostrych rysach twarzy miał już ponad sześćdziesiąt lat. Zielone oczy patrzyły bystro i niezmiernie przenikliwie, gdy pochłaniało go tworzenie jakiegoś wynalazku. Kiedy indziej wydawał się nieobecny. Wszyscy znali ten wyraz twarzy. Oznaczał, że Marcus właśnie wymyśla jakiś mechanizm.

- Proszę o wybaczenie - powiedział Anthony. - Byłem dziś trochę zajęty, a potem nie mogłem się uwolnić od dwuosobowej inkwizycji na dole.

Marcus wytarł ręce w szmatę.

- Spodziewałem się, że matka i siostra będą miały do ciebie kilka pytań. Babka złożyła nam rano wizytę - rzucił.

- Słyszałem. Powiedz mi, o co chodzi z tym płonącym domem?

- spytał Anthony.

- To ma być kolejna sensacja. Clarice mówi, że konkurencja staje się coraz silniejsza. Każdy teatr w mieście próbuje przebić pozostałe realizmem i dramatycznością scen. Duchy, burze, rozpędzone pociągi, obracające się latarnie morskie i tym podobne już się **86**

opatrzyły. Mówi, że nie ma to jak płomień, by olśnić publiczność

- wyjaśnił Marcus.

- Trudno wymyślić coś, co przebije tonący statek z ostatniego przedstawienia. Był tak łudząco prawdziwy, że krytycy skarżyli się z powodu przemoczonych ubrań.

- Cóż, krytycy zawsze znajdą jakiś powód do narzekania. - Ojciec skrzywił się z niesmakiem. - Publiczność była zachwycona.

- A teraz Clarice chce spalić na scenie dom? - spytał Anthony.

- Tak. Bohater musi uratować dziecko uwięzione w płomieniach.

- Jestem pewien, że to będzie niezwykle ekscytujące - mruknął.

Marcus zmarszczył brwi.

- Niestety, nie tak ekscytujące jak chciałaby Clarice. Zdaje się, że właściciele Olympii zrobili się nieco nerwowi, gdy powiedziała, że planuje na scenie prawdziwy ogień. Wymyśliłem jednak alternatywę, która powinna zadziałać. Wykorzystam pomarańczowe i czerwone światła oraz kłęby dymu.

- Nie mogę się doczekać, by to zobaczyć - rzucił Anthony.

- A jeśli chodzi o powód do ekscytacji, babka powiedziała nam, że ty i wdowa nazwiskiem Bryce wzbudziliście ubiegłego wieczoru niemałą sensację. O co chodzi? Myślałem, że jesteś całkowicie pochłonięty śledztwem w sprawie Hastingsa. Już je porzuciłeś?

- Nie rób takiej żalostnej, pełnej nadziei miny - powiedział

Anthony. - Obawiam się, że pani Bryce ma związek z moim dochodzeniem.

- Niech to diabli porwą. - Marcus się skrzywił. - Mogłem się tego domyślić. Gdy z matką i Clarice usłyszeliśmy, że po balu odprowadziłeś damę do domu, chyba zbyt pochopnie wyciągnęliśmy wniosek, że może...

- Jakaś spódniczka zawróciła mi w głowie? Przykro mi, że muszę cię rozczarować.

Ojciec oparł się o warsztat.

- Tony, nie miej do nas pretensji, że się o ciebie martwimy.

Chęć udowodnienia, że to Hastings zamordował Fionę, stała się **87**

twoją obsesją. Prowadzisz bardzo niebezpieczną grę. Gdyby przyłapano cię na przeszukiwaniu jego domu...

- Zeszłej nocy znalazłem naszyjnik Fiony - powiedział Anthony cicho.

Marcus spojrział na niego zdumiony.

- O, do diabła. Gdzie?

- W sejfie.

Marcus odetchnął głęboko i zmrużył oczy.

- Jesteś pewien, że to naszyjnik Risbych?

- Tak. Hastings musiał go zdjąć z szyi Fiony, gdy ją zabił.

Ojciec potarł dłonią kark.

- Więc jednak miałeś rację - rzucił.

- Wszystko na to wskazuje.

Marcus w zamyśleniu skrzyżował ręce na piersi.

- Ale to nie ma sensu. Po co miałby to robić? - Skrzywił się lekko. - Chyba nie sądzisz, że ją uwiódł? A może to jednak była kłótnia kochanków?

- Nie - odparł Anthony.

- Powiedziałeś to tak stanowczo. Wiem, że lubiłeś Fionę. Tony, wszyscy ją lubiliśmy. Ale niech dawny sentyment nie zamyka ci oczu na inne możliwości.

- Fiona nie miała romansu z Hastingsem - oświadczył.

Marcus nie wydawał się przekonany, ale tylko pokiwał głową i nie kontynuował dyskusji.

- No dobrze - rzucił. - Jaki motyw mógł mieć Hastings, by zamordować niewinną młodą kobietę?

- Nie wiem. Właśnie to zamierzam wyjaśnić.

- Tony, daj sobie spokój. Minęło tyle czasu. Niczego już nie udowodnisz.

Anthony podszedł do jednego ze stołów. Spojrzał na narzędzia ułożone na drewnianym blacie.

- Przez ostatnie dwa lata Elwin szantażował kilka bogatych, starszych dam - oznajmił.

**88**

- Chyba żartujesz. Hastings? Szantażystą? - spytał z niedowierzaniem Marcus.

- Znalazłem dowody w sejfie. Razem z naszyjnikiem. Niestety, podobnie jak naszyjnik, są bezużyteczne. Postaram się dyskretnie zwrócić kompromitujące materiały ofiarom szantażu, jednak z oczywistych powodów nie mogę oczekiwać, że którakolwiek z nich zechce zeznawać przeciw Hastingsowi. Poza tym wątpię, czy w ogóle wiedziały, kto je szantażuje.

- Dobry Boże. - Marcus skrzywił się z niesmakiem. - Ten człowiek to skończony łotr. Ale jeśli niczego nie potrafisz udowodnić, to co jeszcze zamierzasz zrobić?

- Wszystko w swoim czasie. - Anthony oderwał wzrok od narzędzi. - W tej chwili najważniejsze to dowiedzieć się, dlaczego Elwin zamordował Fionę. Ta kwestia od samego początku nie daje mi spokoju.

- Jak, do licha, masz zamiar tego dokonać? - spytał ojciec.

- Jestem pewien, że nie łączył ich romans. Może Fiona za dużo wiedziała o jego interesach. Może odkryła, że Hastings jest szanta

żystą?

Marcus zastanowił się nad tym.

- Myślisz, że zabił ją, by to nie wyszło na jaw?

- To wystarczający powód - rzucił Anthony.

- Być może. Ale jak zamierzasz to udowodnić po tak długim czasie? - spytał Marcus.

- Nie wiem. - Podeszedł do stalowego sejfu, stojącego pod ścianą.

Oparł dłoń na połyskujących zielonych drzwiach i obrysował palcem złocisty emblemat. - Sejf Hastingsa to rzeczywiście był Apollo, tak jak mówiłeś. Carruthers miał rację. Elwin zainstalował go w podłodze swej sypialni. Dziękuję, że zdobyłeś dla mnie tę informację.

Will Carruthers z firmy Carruthers Zamki i Sejfy był starym przyjacielem rodziny. I wyłącznym dostawcą patentowanego sejfu Apollo w Londynie. To właśnie on sprzedał Hastingsowi sejf i nadzorował jego instalację.

**89**

Marcus uniósł brwi.

- Domyślam się, że nie straciłeś jeszcze umiejętności otwierania sejfów? - spytał.

- Wyszedłem trochę z wprawy, ale udało mi się go otworzyć w ciągu trzydziestu sekund - odparł Anthony.

- Kiedyś zabrałoby ci to nie więcej niż piętnaście. - Ojciec uśmiechnął się na to wspomnienie. - Nigdy nie zapomnę tych godzin, które spędzałeś w warsztacie, otwierając zamki i testując dla mnie nowe mechanizmy. - Nagle zmarszczył brwi. - To mi przypomniało, że już najwyższy czas, byś postarał się dla mnie o wnuki.

Potrzebuję nowych pomocników. Ciebie nigdy tu nie ma, a Clarice interesuje się tylko swoimi sztukami.

- Kiedyś owszem - obiecał Anthony. - Gdy doprowadzę tę sprawę do końca.

- Obiecanki cacanki. - Marcus spojrzał na niego ostro. - A co z panią Bryce? Gdzie w tym wszystkim miejsce dla niej?

- To trochę skomplikowane. Ubiegłej nocy natknąłem się na nią, jak wychodziła z sypialni Hastingsa.

Marcus otworzył usta i dopiero po dłuższej chwili niepewności je zamknął.

- Z jego sypialni? Chyba żartujesz? A cóż ona, do licha, tam robiła?

- To samo, co ja miałem zamiar zrobić. Weszła tam, by przeszukać jego rzeczy - wyjaśnił Anthony.

- Ale po co?

- Szukała dowodów, że Hastings zainwestował pieniądze w dom schadzek.

- Włamała się do sejfu? - spytał Marcus.



- Nie. Ale gdy zamieniliśmy kilka słów w korytarzu przy sypialni Elwina, wynajęła mnie, bym wykonał dla niej tę pracę.

- Wynajęła cię? - Ojciec omal się nie zakrztusił.

- Wzięła mnie za złodzieja klejnotów. Już mówiłem, że to trochę skomplikowana sprawa.

- Dobry Boże. - Marcus zmarszczył brwi. - Kim do diabła jest ta Bryce?

**90**

- Ciągłe szukam odpowiedzi na to pytanie. Na razie odkryłem między innymi, że jest korespondentką „Latającego Detektywa”.

- Nie do wiary. Pisze do prasy brukowej?

- Tak - mruknął Anthony.

- Ale ty nienawidzisz prasy po tym, jak cię potraktowała po śmierci Fiony Trudno mi uwierzyć, że nawiązałeś znajomość z korespondentką gazety.

- Sam jestem tym nieco zdziwiony. Lecz zauważyłem, że pani Bryce potrafi zbić człowieka z pantafyku. A przy okazji, byłbym ci wielce zobowiązany, gdybyś informację o charakterze pracy pani Bryce zachował w ścisłej tajemnicy. Włożyła wiele wysiłku w to, by ukryć swoją prawdziwą tożsamość.

Marcus uniósł wysoko brwi.

- Bo jest kobietą?

- Częściowo tak. Jednak używa pseudonimu przede wszystkim dlatego, że prowadzi prywatne śledztwa w kręgach arystokracji.

Gdyby jej tożsamość została ujawniona w towarzystwie, jej kariera natychmiast by się skończyła.

- Fakt. - Marcus prychnął. - Jej nazwisko natychmiast skreślono by z list gości w całym mieście. Nikt by jej więcej do siebie nie zaprosił.

- Właśnie.

Ojciec w zamyśleniu pogłaskał podbródek.

- To zdumiewające. Absolutnie zaskakujące. - Westchnął.

- Pamiętasz skandal związany z Bromleyem?

- Oczywiście. To dopiero była sensacja. Kto by pomyślał, że lord Bromley, ten pretensjonalny,

obłudny kołtun zarabia pieniądze na sieci tajnych palarni opium. Gdy informacje o tym pojawiły się w „Latającym Detektywie”, Bromley musiał opuścić kraj i udać się na dłuższy czas do Ameryki. Dotąd nie ośmielił się powrócić.

- To pani Bryce jako pierwsza opisała tę historię i przedstawiła czytelnikom dowody. Używa pseudonimu J.A. Fantom - powiedział Anthony.

- Więc to ona jest Fantomem. - Marcus urwał, marszcząc brwi.

- A teraz wzięła się do Hastingsa. No, no.

**91**

- Próbowałem jej wyperswadować dalsze śledztwo, ale ona nie chce o tym słyszeć. Uważam za swój obowiązek dopilnować, by nie stała się jej żadna krzywda, więc zgodziłem się z nią współpracować przy tej aferze. W najbliższej przyszłości będziemy więc udawać, że łączy nas romans.

- Rozumiem. - Ojciec spojrzał na niego przebiegle. - A jest tak?

- Zapewniam cię, że to wyłącznie interesy - odparł Anthony.

- Według słów twej babki wszyscy już mówią o tym, że ty i pani Bryce macie romans.

- Właśnie o to chodzi. Plotki posłużą jako zasłona dymna. Je

śli wszyscy, włącznie z Hastingsem, w nie uwierzą, to nikomu nie przyjdzie do głowy, by zastanawiać się, co się naprawdę dzieje.

- Ciekawa historyjka - rzucił Marcus obojętnym tonem.

- Niestety, to jedyna, którą mogę w tej chwili przedstawić. Muszę się już pożegnać.

Anthony zamknął za sobą drzwi i ruszył szybko do schodów.

Był niemal pewien, że w holu na dole czatuje na niego Clarice, ale miał szczęście. Nie było tam nikogo. Mimo to dopiero gdy znalazł

się na ulicy, zaczął oddychać swobodnie.

Marcus poczekał, dopóki nie usłyszał, że drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Gdy już miał pewność, że syn wyszedł, zdjął skórzany fartuch i udał się na dół do biblioteki.

Georgiana i Clarice piły herbatę. Spojrzały na niego wyczekująco.

- Tato, czy Tony powiedział ci coś o swojej znajomości z panią Bryce? - spytała córka.

- Niewiele. - Marcus wziął filiżankę podaną mu przez żonę.

- To wszystko jest naprawdę zdumiewające, wręcz nadzwyczajne.

- Mój drogi, myślisz, że jest nią poważnie zainteresowany?

- Spytała Georgiana. - Czy też to tylko przelotna miłośćka?

- Żadna tam miłośćka - odparł Stalbridge z absolutnym przekonaniem. - Choć Tony chyba nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy.

Nadal jest obsesyjnie skupiony na znalezieniu mordercy Fiony.

- Co sądzisz o pani Bryce? - spytała jego żona.

**92**

- Trudno powiedzieć. Nie widziałem tej kobiety na oczy. -

Marcus wypił nieco herbaty i odstawił filiżankę. - Ale z tego, co słyszałem, śmiem twierdzić, że doskonale by pasowała do naszej rodziny.

**13**

Miranda Fawcett zgodziła się spotkać z nimi następnego dnia.

Przyjęła Louise i Anthony'ego we wspaniałym salonie, przypominającym foyer luksusowego teatru. Okna udekorowano czerwonymi aksamitnymi zasłonami, przewiązаныmi złotymi sznurami.

Szkarłatny dywan ozdabiała misterne motywy kwiatowe. Złocene krzeselka i kanapa zostały obite połyskliwym brokatem. Z sufitu zwieszał się ciężki, kryształowy żyrandol.

Gospodyni w turkusowoniebieskiej sukni, obwieszona perłami, wyglądała równie imponująco. Włosy miała uczesane w wielką, misterną koronę, której ułożenie musiało trwać parę godzin. Louisa była pewna, że Miranda nosi perukę. Niewiele kobiet w jej wieku miało tyle włosów. Głęboki, ciemnobrązowy kolor również wyglądał podejrzanie.

- Miło mi pana poznać, panie Stalbridge. - Kobieta uśmiechnęła się czarująco do Anthony'ego, gdy pochylił się nad jej ręką.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wyprostował się i uśmiechnął. - Madame, jest pani legendą. Zresztą pewnie nie muszę pani tego mówić. Żadna aktorka nie potrafiła godnie zastąpić pani na scenie. Miałem szczęście widzieć pani ostatni występ w roli Lady Macbeth.

Louisa omal nie spadła z krzesła. Anthony, gdy zechciał, potrafił

być naprawdę szarmancki. Gdy pół godziny temu przyjechał po nią na Arden Square, bynajmniej nie ucieszył się z perspektywy spotkania z byłą aktorką. Wydawał się autentycznie zdumiony, gdy poznał

tożsamość jej informatorki.

93

- Do diabła, jak pani poznała Mirandę Fawcett? - mruknął, gdy wszedł do powozu w ślad za Louisą.

- Niedługo po tym, jak rozpoczęłam karierę korespondentki, miałam możliwość wyświadczyć jej drobną przysługę - wyjaśniła.

- Miranda była mi bardzo wdzięczna.

- Ta kobieta ma chyba z sześćdziesiąt lat.

- Tak, chyba tak.

Anthony usiadł wygodnie i się zamyślił.

- W czasach jej młodości powiadano, że jest kochanką najpotężniejszych ludzi w kraju - rzucił.

- To samo powiedziała Emma.

- Krążyły plotki, że od lat trwa w związku z mężczyzną, który nazywa się Clement Corvus - dodał Stalbridge.

- Zdaje mi się, że Miranda raz czy dwa o nim wspominała.

- Ten człowiek to podobno król przestępczego świata.

- To z pewnością pomyłka. - Uśmiechnęła się niewinnie. -

Gdyby pan Corvus był przestępcą, zostałby aresztowany.

- Z tego, co słyszałem, ma zbyt wiele sprytu, by dać się złapać.

Jest na tyle ostrożny, że trzyma się z daleka od przestępczej działalności, ale czerpie z niej zyski. Powiadają, że prowadzi życie bogatego dżentelmena i równocześnie rządzi podziemnym światkiem. Na ulicy mówią o nim Kruk.

Pewność w jego głosie zwróciła uwagę Louisy. Spojrzała na niego z nagłym zaciekawieniem.

- Wygląda na to, że dużo pan wie o panu Corvusie - rzekła.

Anthony się zawahał.

- Ostatnio dużo o nim myślałem. Szczerze mówiąc, fakt, że utrzymuje pani kontakty z jego byłą kochanką, trochę mnie niepokoi.

- Zdaje się, że określenie „była kochanka” jest niewłaściwe

- powiedziała Louisa z rozbawieniem. - Mam wrażenie, że wciąż są w zażyłych stosunkach. Panna Fawcett jest doskonałą informatorką.

Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że większość dostarczanych przez nią informacji pochodzi bezpośrednio od Kruka.

- Dlaczego miałyby pomagać korespondentce jakiejś gazety?

- spytał Anthony.

**94**

Dziewczyna wzruszyła lekko ramionami.

- Może dla zabawy? Wiem, że niezmiernie ją to bawi.

- Jaką przysługę pani jej wyświadczyła? - spytał Stalbridge.

- To długa historia - odparła wymijająco, Przyglądając się teraz gospodyni, promieniejącej blaskiem i czarem, Louisa czuła rozbawienie i podziw. U szczytu kariery Miranda była najpopularniejszą aktorką w Anglii. Pojechała również na gościnne występy do Ameryki, gdzie przyjęto ją z wielkim entuzjazmem. Choć zeszła już ze sceny, było jasne, że nie utraciła swego talentu i nadal potrafiłaby porwać publiczność.

Miranda uśmiechnęła się rozkosznie do Anthony'ego.

- Pan jest bardzo miły. Muszę przyznać, czasami nie mogę uwierzyć, że już od tak dawna nie gram w teatrze. Bardzo za tym tęsknię. Życie potrafi być straszliwie nudne. - Rzuciła Louisie znaczący uśmieszek. - A przynajmniej takie było, dopóki nie poznałam pani Bryce. Słowo daję, dodała pieprzyku mojej ponurej egzystencji.

Anthony usiadł na złoconym krzeselku.

- Pani Bryce rzeczywiście ma to do siebie, że przy niej życie nabiera rumieńców - westchnął.

Louisa rzuciła mu piorunujące spojrzenie. Uśmiechnął się do niej niewinnie.

- O tak - rzekła Miranda. Popatrzyła na mężczyznę wyczekująco. - Panie Stalbridge, pani Bryce powiedziała mi, że pomaga jej pan w sensacyjnym śledztwie.

- Pomyślałem, że to może być zabawne - powiedział Anthony.

- Ostatnio życie zaczęło mi się wydawać takie nudne.

Louisa wzniosła oczy do sufitu.

Panna Fawcett roześmiała się gardłowo.

- Przy pani Bryce wszystko się odmieni.

- Już zauważyłem wyraźną zmianę w monotonnej rutynie powszedniego dnia - zapewnił.

Akurat, pomyślała Louisa. Nic w jego życiu nie mogło być rutynowe, a tym bardziej monotonne.

95

- Mogę to sobie wyobrazić - mruknęła Miranda. - Podobno kilka lat temu, po powrocie z długich, zagranicznych wojaży zajął

się pan zarządzaniem rodzinnymi finansami.

Zdumiona dziewczyna spojrzała na Anthony'ego, szukając potwierdzenia.

- To bardzo nudne zajęcie - przyznał. - Niestety, okazało się, że w całej rodzinie ja jeden mam głowę do inwestowania pieniędzy.

Miranda zachichotała.

- Doprawdy, jest pan pod tym względem wybitnie uzdolniony.

Podobno ocalił pan swoją rodzinę przed ruiną.

- Nasza fortuna przeżywała w swej historii wzloty i upadki

- rzucił wymijająco.

Aktorka mrugnęła znacząco.

- Już nie, od kiedy pan stanął za sterem. Mniemam, że rodzina jest bardzo zadowolona z pańskich finansowych talentów.

Anthony się uśmiechnął.

- W mojej rodzinie prawie nikt nie zwraca uwagi na finanse.

Wszyscy zaczynają zauważać dopiero wtedy, gdy nagle brakuje im pieniędzy.

Louisa poczuła, że się gwałtownie rumieni. Pomyśleć tylko, niedawno wyobrażała sobie, że Stalbridge odbudował rodzinną fortunę, kradnąc klejnoty.

Odchrząknęła.

- Dziękuję, że zechciałaś się z nami zobaczyć - powiedziała grzecznie. - To bardzo uprzejme z twojej strony.

- Nonsens. Już nie mogłam się doczekać naszego następnego spotkania. - Miranda się uśmiechnęła. -

Bardzo je lubię.

Anthony spojrział na nią uważnie.

- Czy mógłbym zapytać, jak pani i pani Bryce zawarłyście znajomość?

- Nie powiedziała panu? - Aktorka uniosła brwi. - Prawda jest taka, że mam u niej dług wdzięczności. Przyszła do mnie kilka miesięcy temu, ponieważ odkryła, że zamierzam zainwestować znaczną 96

sumę w przedsięwzięcie, które organizowało dwóch szacownych dżentelmenów.

Anthony spojrział na Louise.

- Oszustwo z kopalnią w Kalifornii - rzuciła.

- Ach, tak. - Mężczyzna odchylił się na oparcie krzesła. - Dobrze to pamiętam. Kryli się za tym Grayson i lord Bartlett. Z powodu reportażu w prasie musieli się schronić w majątkach na wsi.

- Całe to przedsięwzięcie zostało wymyślone, by wykorzystać ludzi takich jak ja. Ludzi, którzy mają pieniądze, ale nie obracają się w towarzystwie - powiedziała Miranda zimno.

- Tak - westchnął cicho Anthony. - Wiem.

Aktorka parsknęła z niesmakiem.

- Graysonowi i Bartlettowi nie wpadłoby do głowy zrujnować któregoś ze swoich arystokratycznych znajomych. Nie wahali się jednak zniszczyć tych, którzy stali w hierarchii niżej. Nie byłam ich jedyną upatrzoną ofiarą.

Louisa mocno zacisnęła ręce na mufce.

- Oni się z tego śmiali! - dodała z gniewem.

Anthony przyglądał się jej z zagadkową miną.

- Jak udało się pani dowiedzieć o tym przedsięwzięciu na tyle wcześnie, by zdążyć ostrzec pannę Fawcett?

- To był zbieg okoliczności - odparła. - Emma i ja wybrały

śmy się któregoś wieczoru na wystawę obrazów. W sali było bardzo duszno, wyszłam więc na dwór, by odetchnąć świeżym powietrzem. Usłyszałam część rozmowy między Graysonem i lordem Bartлетtem. Nie wszystko, ale dość, by zrozumieć, że planują jakieś łotrostwo wobec panny Fawcett.

- Przyszła do mnie z tą historią - dodała Miranda. - Gdy tylko usłyszałam nazwiska tych dwóch panów, natychmiast domyśliłam się, że musieli rozmawiać o moich interesach. Nie mogłam

zrozumieć, o co im chodzi. Widzi pan, ja się na tych rzeczach nie znam.

Wspomniałam więc o wszystkim mojemu dobremu przyjacielowi, który ma doskonałą głowę do interesów. Natychmiast pojął, co mi grozi i zbadał sprawę.

97

- Miranda spotkała się ze mną, by mi podziękować i opowiedzieć, czego dowiedział się jej przyjaciel - ciągnęła Louisa. - Postanowiłam poinformować publikę o tym oszustwie, ponieważ dotyczyło wielu innych potencjalnych ofiar. Umówiłam się na spotkanie z wydawcą

„Latającego Detektywa” i w mgnieniu oka stałam się J.A. Fantomem.

- A ja jednym z jego tajnych informatorów. - Aktorka poprawiła spódnicę sukni, by układała się w jeszcze zgrabniejsze fałdy i spojrzała wyczekująco na Anthony'ego. - Louisa wspomniała w swoim liściku, że chciałby pan zadać mi kilka pytań.

- Mają związek z naszym śledztwem w sprawie Hastingsa - powiedział powoli Stalbridge. - Znaleźliśmy dowody wskazujące na to, że zajmował się szantażem.

Miranda prychnęła z niesmakiem.

- Zawsze uważałam szantaż za jedno z najpodlejszych przestępstw.

- Większość znalezionych przez nas listów i dzienników należała do młodych panien i zawierała namiętne wyznania na temat przystojnego kochanka - powiedziała Louisa. - Nie rozumiemy jednak, jak te przedmioty znalazły się w rękach Hastingsa.

Panna Fawcett pokiwała głową w zadumie.

- Przypuszczam, że nie możecie mi zdradzić nazwiska którejkolwiek z ofiar?

- Obawiam się, że nie - odparła Louisa. - Czujemy się w obowiązku chronić ich prywatność.

- Rozumiem - powiedziała Miranda. - Chciałabym wam pomóc, ale nie jestem pewna, czego ode mnie oczekujecie.

Anthony zerknął na nią.

- Zdaje się pani sporo wiedzieć o Hastingsie. Podała pani Louisie nazwiska jego współników w interesach oraz wspomniała, że być może ma udziały finansowe w domu schadzek.

- Tak - odparła aktorka i mrugnęła do dziewczyny. - Ja także mam swojego informatora.

- Wydaje się nam, że Hastings nie zorganizował szantażu sam

- powiedziała Louisa. - Wiemy, że pracowała dla niego przynaj-98



mniej jedna osoba, człowiek, któremu zlecał większą część brudnych sprawek, niejaki Phillip Grantley. Niestety Grantley zastrzelił się dwa tygodnie temu.

- Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy dla Hastingsa pracują jacyś inni ludzie - wtrącił Anthony. - Zwłaszcza przystojny, jasnowłosy mężczyzna przed trzydziestką. Wydaje się nam, że ktoś taki istnieje i że to właśnie on uwiódł młode damy, których krewni byli potem szantażowani.

- Ach, tak, teraz rozumiem - zawołała Miranda. - Z przyjemnością postaram się zdobyć te informacje. Czy możecie dać mi dzień lub dwa?

- Oczywiście - odparła Louisa. - Pan Stalbridge i ja będziemy bardzo wdzięczni.

- Drobiazg. - Aktorka z gracją machnęła ręką. - Wiesz, że ta nasza mała kruczata sprawia mi wiele radości.

- Jeszcze jedno - odezwał się Anthony.

Miranda zerknęła na niego pytająco.

- Tak, panie Stalbridge?

- Proszę mi wybaczyć, jeśli dotykam spraw osobistych, ale Louisa wspomniała mi, że pani i Clement Corvus dobrze się znacie.

Panna Fawcett roześmiała się gardłowo.

- O, tak. Od ponad dwudziestu lat.

Anthony wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni surduta.

- W takim razie czy mógłbym prosić, żeby oddała mu to pani z najlepszymi życzeniami ode mnie, gdy się będzie pani z nim widziała następnym razem?

**14**

Anthony pomógł Louisie wsiąść do wynajętej dorożki. Wolał nie używać własnego powozu. Nie chciał obwieszczać całemu światu, że składają wizyty byłej aktorce.

**99**

Gdy usiadł naprzeciw swojej towarzyszki, zauważył, że Louisa z trudem powstrzymuje ciekawość. Uświadomił sobie, że ta kobieta go fascynuje, bez względu na to, w jakim była nastroju. Ilekroć przebywał razem z nią, czuł jej głęboką zmysłowość. Reagował na nią całym ciałem. Miał niemal wrażenie, że przyciągają go do niej niewidzialne więzi. Nigdy dotąd tak się nie czuł przy żadnej kobiecie.

- Co było w kopercie? - zażądała wyjaśnień.

Anthony z trudem skupił uwagę na pytaniu.

- Dokumenty dotyczące konsorcjum inwestycyjnego, które Hastings zawiązał ostatnio z Hammondem i Wellsworthem - odparł.

- Nie rozumiem. Dlaczego pan pomyślał, że Corvusa to zainteresuje?

- Ponieważ on jest czwartym udziałowcem tego przedsięwzięcia - wyjaśnił.

Louisa szeroko otworzyła oczy.

- Coś takiego.

- Ale najbardziej intrygujące jest to, że Hastings i spółka chcą go oszukać i pozbawić części udziału w zyskach. Najwyraźniej doszli do wniosku, że jeśli zatrzymają przy sobie pewne informacje, nigdy się nie zorientuje, że otrzymał o wiele mniejszy kawałek tortu niż oni.

- Zakładają, że skoro Clement Corvus nie obraca się w tym samym towarzystwie, co oni i nie chodzi do tych samych klubów, to nigdy nie dowie się prawdy. Chętnie biorą od niego pieniądze, a potem za jego plecami go oszukują. - Louisa zacisnęła ręce w pię

ści. - To takie typowe dla ludzi z wyższych sfer.

- Corvus to przestępca, a nie święty - rzucił Anthony. - Nie ma się co nad nim rozczułać. Przez lata oszukiwał w podobny sposób wielu ludzi i niewątpliwie robił jeszcze gorsze rzeczy.

- To pewnie prawda. - Spojrzała przez okno na ulicę. - Nie mogę jednak znieść arogancji Hastingsa i jemu podobnych. Ludzie jego pokroju myślą, że wolno im wykorzystywać innych, stojących w hierarchii niżej od nich.

- Czy zawsze tak się pani przejmowała łotrami, obracającymi się w wyższych sferach? - spytał cicho.

**100**

Louisa wzdrygnęła się lekko, jakby przypomniawszy sobie o jego obecności, dopiero gdy się odezwał. Gdy znów na niego spojrzała, zobaczyła w jej oczach czujność. Zrozumiał, że żałowała tej krótkiej chwili szczerości.

- Proszę mi wybaczyć - odparła spokojnym tonem. - Zdaję sobie sprawę, że w mojej pracy zdarzają się chwile, gdy daję się ponieść emocjom.

Anthony się uśmiechnął.

- Nie mam nic przeciwko emocjom.

Zamrugnęła ze zdziwienia.

- Nie?

- Nie. Czasami wydają mi się bardzo podniecające - rzucił.

Wpatrywała się w jego twarz mocno zmieszana.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi - bąknęła.

- O to, pani Bryce - szepnął.

Pochylił się do przodu, objął ją dłonią za szyję, przyciągnął bliżej i zakrył wargami jej usta.

Przez kilka sekund wydawała się oszołomiona, ale nie próbowała się wyrwać. Wyczuł przeszywający ją dreszcz i wzmocnił uścisk.

Oparła mu dłoń na ramieniu i rozchyliła lekko usta.

Spłynęła na niego fala podniecenia. Z trudem się powstrzymał, by nie pociągnąć jej na siedzenie, nie zdrzeć jej spódnicy i nie zanurzyć się w niej z rozkoszą. Nagle zdał sobie sprawę, że okna są odsłonięte, więc - nie odsuwając się od Louisy - jedną ręką opuścił rolety.

Gdy w dorożce zrobiło się ciemno, ujął jej twarz w dłonie, przytrzymał i powoli pogłębił pocałunek. Usta miała miękkie i cudownie zapraszające. Pił z nich jak ze źródła, jakby od wielu miesięcy, a może nawet lat umierał z pragnienia.

Usłyszał cichutki, kobiecy jęk. Ten dźwięk go oszołomił. Czuł, jak cały się napina i nabrzmiewa pożądaniem. Położył rękę na piersi Louisy i zaczął poznawać jej kształt przez materiał sukni.

Znów jęknęła, tym razem z zaskoczenia. Zacisnęła palce na jego ramionach.

- Panie Stalbridge - wykrztusiła.

**101**

- Wiem - szepnął i z ociąganiem oderwał się od niej. - To nie pora i nie miejsce. Pani wybaczy, madame. Zdaję sobie sprawę, że te rzeczy zwykle rozgrywa się w inny sposób. Niestety, w pani przypadku chyba nic się nie dzieje zgodnie z regułami.

Patrzyła na niego przez zamglone szkła, zarumieniona i oszołomiona.

Rozbawiony zdjął jej okulary. Zamrugowała i zmarszczyła brwi, gdy wyjął chusteczkę i zaczął przecierać szkła.

W końcu oddał jej okulary.

- Dziękuję - rzuciła zdyszczanym głosem.

Włożyła okulary i pośpiesznie zajęła się poprawianiem kapelusza i układaniem fałd sukni.

Przyglądał się jej przez chwilę, ciesząc się jej obecnością. Rozkoszował się świadomością, że nie jest jej obojętny. Po pewnym czasie podniósł rolety.

Gdy Louisa nie miała się już czym zająć, odchrząknęła, wyprostowała się na siedzeniu i mocno spłotła dłonie.

- Tak, cóż... - Nagle zabrakło jej konceptu.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie - przypomniał jej łagodnie.

Zmarszczyła brwi.

- Jakie pytanie? - zdziwiła się.

- Kiedy zapalała pani taką chęcią, by łotrom z wyższych sfer wymierzyć sprawiedliwość?

- Hm, gdy zamieszkałam z Emmą. - Zerknęła przez okno.

- Przedtem byłam przekonana, że w tej kwestii nic się nie da zrobić.

- Czy jakiejś bliskiej pani osobie przydarzyło się coś złego?

- spytał delikatnie, ostrożnie dobierając słowa. - Coś, co wzbudziło w pani pragnienie, by pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy obracają się w wyższych sferach?

- To nic osobistego - odparła gładko. - Tylko skutek obserwacji ludzkiej natury.

Uświadomił sobie, że kłamie. Ciekawe.

**102**

Uśmiechnął się lekko.

- Któregoś dnia będę musiał przedstawić pani mojego przyjaciela. To człowiek, który również walczy o sprawiedliwość. Myślę, że znajdziecie mnóstwo wspólnych tematów.

Zerknęła na niego i zmarszczyła lekko brwi.

- Kto to taki? - spytała.

- Detektyw ze Scotland Yardu. Nazywa się Fowler - odparł.

Przez chwilę na jej twarzy pojawiło się przerażenie. Znikło niemal natychmiast, jednak Anthony widział je wyraźnie.

- Zna pan policjanta? - spytała Louisa z napięciem w głosie.

Doprawdy, zagadkowa kobieta.

Anthony skrzyżował ręce na piersi i rozsiadł się wygodnie.

Ogarnęła go niepoohamowana ciekawość.

- Fowler prowadził śledztwo w sprawie śmierci Fiony - wyjaśnił. - Badał też samobójstwo Victorii Hastings. Tak jak ja był przekonany, że oba przypadki mają związek z Elwinem Hastingsem, ale nie potrafił tego udowodnić.

Tak mocno zacisnęła ręce na mufce, że aż zbieleły jej palce.

- Czy detektyw Fowler badał też to trzecie samobójstwo, o którym pan wspominał? To, które wydarzyło się w tym samym miesiącu?

- Joanny Barclay? Tak. Musiał się nim zająć, bo prowadził

śledztwo w sprawie morderstwa lorda Gavina.

- Ach, tak - szepnęła.

Najwyraźniej z trudem oddychała.

- Czy pani się źle czuje? - spytał, nagle zatroskany.

- Nie, już dobrze, dziękuję. - Zamilkła na chwilę. - Nie wiedziałam, że pan się przyjaźni z kimś ze Scotland Yardu.

- Z oczywistych powodów nie obwieszczę tego światu. Fowler również bardzo uważa, by nikt się nie dowiedział o naszej znajomości.

- Rozumiem. Musi pan przyznać, że to dosyć niezwykle, by dżentelmen z pańskiej sfery utrzymywał bliskie kontakty z policjantem - powiedziała.

**103**

Wzruszył ramionami.

- Fowlera i mnie łączą wspólne zainteresowania.

- Na przykład chęć udowodnienia, że to Hastings zamordował

Fionę? - zasugerowała.

- Tak.

- Czy mogę przyjąć, że to Fowler jest pańskim źródłem informacji na temat Elwina Hastingsa?

Anthony przytaknął.

- On też dostarczył mi wiadomości o Clemencie Corvusie.

Okazał się bardzo pomocny - wyjaśnił.

Louisa uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- To miłe.

**15**

W krótkce potem Anthony odprowadził Louise pod drzwi domu pod numerem 12 i się pożegnał.

- Proszę mnie niezwłocznie powiadomić, jeśli Miranda Fawcett uzyska jakieś informacje - powiedział, gdy pani Galt otworzyła drzwi.

- Dobrze - obiecała Louisa, desperacko pragnąc, by jak najszybciej sobie poszedł.

Anthony obrzucił ją chłodnym, uważnym spojrzeniem i cofnął

się o krok. Ukłonił się grzecznie gospodyni i zszedł po schodach do czekającej dorożki.

Louisa wbiegła do holu, jakby goniło ją sto diabłów. Niemal rzuciła kapelusz i rękawiczki pani Galt.

- Czy lady Ashton jest w domu? - spytała.

- Jeszcze nie, psze pani. Ale powinna lada moment wrócić ze spotkania Towarzystwa Miłośników Ogrodów.

- Będę w bibliotece - powiedziała Louisa.

**104**

Z trudem się powstrzymała, żeby nie biec, tylko iść spokojnym krokiem. Weszła do biblioteki i zamknęła za sobą drzwi. Zacisnęła rękę na gałce i oparła się plecami o drewnianą powierzchnię.

Nie mogła złapać tchu. Miała wrażenie, że ściska ją stalowy gorset. Serce waliło jej jak oszalałe. Chciała uciekać, ukryć się, ale nie miała gdzie.

Powinna się uspokoić. Odsunęła się od drzwi i podeszła do stolika, na którym stała brandy. Wyszarpnęła korek z karafki i nalała sobie porcję alkoholu. Wypiła zbyt duży łyk, więc zaczęła się krztusić i kasłać. W końcu udało jej się zaczerpnąć powietrza. Zaczęła chodzić po pokoju tam i z

powrotem.

- Nie trać głowy - powiedziała głośno. - Na pewno nie wie, kim jesteś. Nie ma sposobu, żeby odkrył prawdę.

Cudownie. Zaczynała mówić do siebie.

Wypiła kolejny łyk brandy, podeszła do okna i wyjrzała do ogrodu.

W środku cała się trzęsła. Tłumaczyła sobie, że nic w tym dziwnego. W końcu przeżyła właśnie dwa szokujące wydarzenia. Najpierw ten druzgoczący pocałunek. A potem przerażające wieści, że mężczyzna, który pobudził jej wszystkie zmysły, przyjaźni się z detektywem. Tym samym, który prowadził śledztwo w sprawie morderstwa lorda Gavina.

Wypiła kolejny łyk. Minęło dużo czasu, zanim udało się jej uspokoić oddech. Panika stopniowo opadła.

Louisa się pocieszała, że wszystko się jakoś ułoży. Odstawiła szklanekę. Oczywiście będzie musiała uważać, ale nie groziło jej niebezpieczeństwo zdemaskowania. Anthony'ego najwyraźniej pochłaniało pragnienie pomśzczenia śmierci Fiony. Dopóki jego uwaga skupia się wyłącznie na wymierzeniu sprawiedliwości za śmierć kobiety, którą kochał i stracił, z pewnością nie będzie marnował czasu na zainteresowanie osobą, która pomaga mu w osiągnięciu celu. Prawda?

Starła się myśleć logicznie. Niestety brandy nieco zamąciła jej w głowie. Ale co do jednego miała jasność. Żadnych pocałunków więcej. Angażowanie się w romans z Anthonym Stalbridge'em **105**

byłoby absolutną głupotą. Nic dobrego by z tego nie wynikło. Takie romanse zawsze źle się kończą.

Nerwowy lęk ustąpił miejsca przygnębieniu. Zacisnęła dłoń na parapecie, oparła czoło o chłodną szybę i zamknęła oczy. Jakby to było, gdyby ktoś pokochał ją tak mocno jak Anthony swoją najdroższą Fionę? Louisa wiedziała, że nigdy nie będzie jej dane poznać odpowiedzi na to pytanie.

**16**

Daisy Spalding obudziła się straszliwie obolała. Roztwór opium, który wypiała wczoraj wieczorem, przestał działać. Znowu odczuwała skutki pobicia. Ostrożnie usiadła na wąskim łóżku i się zamyśliła.

Przeżyła wizytę kolejnego klienta, ale tylko cudem. Gdyby mężczyzna w pokoju obok nie usłyszał hałasu i nie przyszedł sprawdzić, co się dzieje, chyba nie dożyłaby poranka.

Ze wszystkich jej dotychczasowych klientów ten z ubiegłego wieczoru był najbardziej brutalny. Widziała w jego oczach szaleństwo, gdy kneblował jej usta i wiązał ręce na plecach. Ogarnęło ją przerażenie, ale na wezwanie pomocy było już za późno.

Pracowała w domu schadzek dopiero od kilku tygodni. Chyba nie doczeka końca miesiąca. Po śmierci Andrew, człowiek, któremu jej mąż był winien pieniądze, powiedział, że mogłaby spłacić dług, pracując dwa miesiące w Domu Feniksa. Wtedy po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy

nie rzucić się do rzeki, ale wierzyciel jej to wyperswadował.

- Dom Feniksa nie jest podobny do innych domów publicznych - zapewnił ją. - Wszystkie kobiety, które tam pracują, pochodzą z dobrych rodzin tak jak pani. Zarabiają duże pieniądze, ponieważ ich pozycja jest o wiele wyższa niż zwykłej prostytutki. To kurtyzany, a nie uliczne dziwki. Dżentelmeni są gotowi dobrze zapłacić za towarzystwo wykwintnych dam.

**106**

Dziwka to dziwka, pomyślała Daisy. Byłam głupia, sądząc, że ta praca będzie wyglądała inaczej tylko dlatego, że kiedyś byłam damą.

Przerażona, że skończy w przytułku, przystała na propozycję pracy. Dopiero później się dowiedziała, że gdy zgłosiła się do Domu Feniksa, wierzyciel jej męża otrzymał od właścicielki, Madame Phoenix, ładną sumkę.

Madame Phoenix wyjaśniła Daisy, że nie jest dość ładna, by obsługiwać stałych bywalców. Jedynym wyjściem było zaspokajanie klientów o specyficznych upodobaniach. Na przykład niektórzy panowie gustowali w przemocy, wyjaśniła madame. To ich podniecało, a w sumie nie było groźne.

Daisy wstała z jękiem i spojrzała w pęknięte lustro, wiszące nad umywalnią. Oczy miała podbite, szczękę mocno opuchniętą. Bała się obejrzeć resztę ciała.

Tym razem obrażenia były bardzo poważne. Następnym razem mogą się okazać śmiertelne. Jeśli miała umrzeć w wieku dwudziestu dwóch lat, to wolała sama odebrać sobie życie. Niech ją diabli, jeśli pozwoli jakiemuś bydlakowi cieszyć się z tego, że zmarła wskutek jego brutalności.

Ajednak, mimo beznadziejnego położenia i pragnienia, by zrobić ten ostateczny krok, tliła się w niej jeszcze wola życia. Słyszała pogłoski o schronisku na Swanton Lane, gdzie ulicznice mogły zjeść gorący posiłek. Mówiono, że prowadząca ten dom kobieta pomaga

ła dziewczynom znaleźć porządną pracę pod innym nazwiskiem.

Co mam do stracenia? - pomyślała Daisy.

Musi być bardzo ostrożna. Madame Phoenix jest zimna i zupełnie bez serca. Szeptano, że maczała palce w zniknięciu poprzedniej madame. A ten człowiek o twardym spojrzeniu, którego przyjmuje w swoich prywatnych apartamentach, wydaje się jeszcze bardziej niebezpieczny.

Daisy się wzdrygnęła. Nie wiadomo, jak by zareagowała madame Phoenix, gdyby odkryła, że jedna z jej dziewcząt uciekła do schroniska na Swanton Lane. Na pewno uznałaby to za niewłaściwy przykład dla reszty kobiet.

**107**

**17**



Liścik od Mirandy Fawcett nadszedł następnego ranka. Wiadomość o tym zastała Anthony'ego w domu. Przywołał dorożkę i natychmiast wyruszył na Arden Square.

Gdy pojazd zatrzymał się przed wejściem do domu pod numerem 12, ogarnęło go zniecierpliwienie. Zdał sobie sprawę, że tłumione podniecenie nie ma nic wspólnego ze zbliżającą się ponowną wizytą u podstarzałej aktorki. To perspektywa spotkania z Louisą tak go ekscytowała.

Do diabła! Co się z nim dzieje? Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się czuł na myśl o przejeździe z jakąś kobietą.

Czekała na niego, ubrana w czarną suknię, czarny płaszcz i rękawiczki. Twarz skrywała jej czarna gęsta woalka. Zastanawiał się, czy to ubranie pozostało jej z okresu żałoby po mężu. Myśl, że Louisa kochała kiedyś jakiegoś mężczyznę, dziwnie go irytowała. Odsunął

ją od siebie.

Musiał przyznać, że ta suknia i woalka to doskonałe przebranie.

Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo anonimowa wydaje się na ulicy wdowa w pełnej żałobie.

- Czy w trakcie swej pracy często musi pani występować incognito? - spytał, pomagając jej wsiąść do powozu.

- Przekonałam się, że żałoba od czasu do czasu bardzo się przydaje - odparła i zajęła miejsce.

Usiadł naprzeciw niej. Spojrzała na niego poprzez woalkę, zapraszająco i jednocześnie tajemniczo. Zmusił się, by skupić się na śledztwie.

- Czego się pani dowiedziała od panny Fawcett? - spytał.

- W jej liściku było tylko imię, nazwisko i adres na Halsey Street.

Louisa podała mu kartkę. Zerknął.

- Benjamin Thurlow.

Uniosła woalkę na rodno kapelusza i spojrzała na niego. Twarz miała zarumienioną. Za szklami okularów oczy lśniły jej podnie-

niem. Zastanawiał się, czy tak samo wygląda ogarnięta namiętnością, czy też tylko jej praca wzbudza w niej taki entuzjazm.

- Czy zna pan Thurlowa? - spytała.

Pomyślał chwilę i pokręcił głową.

- Nie. - Wstał, uchylił szyberdach i rzucił woźnicy: - Na Halsey Street.

- Tak, panie.

Pojazd z hałasem ruszył do przodu poprzez mgłę spowijającą ulicę.

- Oczywiście powinniśmy się z nim spotkać - oświadczyła Louisa. - Jednak musimy to przeprowadzić delikatnie. Nie możemy zdradzić, o co nam chodzi.

- Rozumiem, pani Bryce - odparł grzecznie Anthony. - Postaram się być ostrożny. Jestem pewien, że mi się to uda, jeśli pójdę za pani wspaniałym przykładem. Nie potrafię wprost wyrazić, jak bardzo jestem pani wdzięczny za nauki, którymi mnie pani łaskawie obdarza.

Louisa zmarszczyła nos.

- Proszę mi wybaczyć. Nie powinnam była pana pouczać.

Obawiam się, że nie jestem przyzwyczajona do współpracy z kimkolwiek.

- Wygląda na to, że oboje musimy się do tego przyzwyczaić

- rzucił pojednawczym tonem.

- Chyba tak.

Wyciągnął nogi przed siebie i skrzyżował ręce na piersi.

- Pani bardzo poważnie traktuje swój zawód, prawda? To nie jest dla pani żart albo zabawa.

- A panu tak się wydawało? - spytała.

- Trudno pojąć, dlaczego kobieta w pani sytuacji chciałaby robić karierę reporterki.

- Ta praca sprawia mi wiele satysfakcji - wyjaśniła Louisa.

- Tak, widzę. Czy ma pani innych informatorów niż panna Fawcett?

- O, tak- odparła. - Miranda jest oczywiście bardzo pomocna.

Widział pan też, że mogę korzystać z towarzyskich koneksji Emmy **109**

i jej wiedzy o arystokracji. - Urwała. - Od czasu do czasu polegam także na innych źródłach.

- To znaczy?

- O pewne sprawy wypytyuję Robertę Woods. Ta dama pomaga kobietom, z różnych powodów zmuszonym zarabiać na życie na ulicy. Prowadzi schronisko na Swanton Lane, gdzie rozdaje im posiłki. Te, które proszą o pomoc, kieruje do miejsca, zwanego przez nią Agencją.

- Czym się zajmuje Agencja? - spytał.

- Uczą tam kobiety posługiwania się nowym urządzeniem, zwanym maszyną do pisania. Słyszał pan o niej?

Uśmiechnął się.

- Mój ojciec nawet jedną wynalazł. I nadal ją ulepsza. Uważa, że ta maszyna pod wieloma względami zrewolucjonizuje przemysł

i handel.

- Ma rację. - Louise nagle ogarnął entuzjazm. - To wspaniałe urządzenie. Ludzie z Agencji mówią, że wkrótce w każdym kantorze czy biurze będzie maszyna do pisania. Oczywiście to oznacza, że wzrośnie zapotrzebowanie na osoby, które potrafią się nią posługiwać.

- Rozumiem. Agencja zatem dostarcza pracodawcom maszynistek.

- Tak. Umiejętność pisania na maszynie jest obecnie tak rzadka, że wiele firm chętnie zatrudnia osoby, które mają w tym doświadczenie. Podobno profesja maszynistki otwiera szerokie perspektywy godziwej pracy dla kobiet. To bardzo ekscytujące.

- Wiem, że kobiety mają ograniczone możliwości znalezienia zatrudnienia - rzucił Anthony.

- Mało która jest na tyle zabezpieczona finansowo, by nie bać się, że w każdej chwili może znaleźć się na ulicy. Na Swanton Lane pojawiają się nawet damy z towarzystwa. Bardzo często to wdowy, które mąż zostawił bez grosza albo w długach. Są zmuszone sprzedawać się na ulicy, by mieć co jeść i gdzie mieszkać.

- Widzę, że dużo pani wie o schronisku Roberty Woods. Jak się pani o nim dowiedziała? - spytał.

**110**

- Gdy zamieszkałam z Emmą, przejęłam od niej zarządzanie inicjatywami dobroczynnymi, które wspiera. Lady Ashton od lat przekazuje fundusze na przybytek panny Woods. Dobrze się poznałyśmy z Robertą. Łączy nas wspólne pragnienie demaskowania dżentelmenów, którzy oszukują lub wyzyskują innych.

Anthony przyglądał się jej uważnie.

- Jakiego rodzaju informacje zdobywa pani w tamtym miejscu?

- spytał.

Uśmiechnęła się niewesoło.

- Zdziwiłby się pan, jak wiele uliczne kobiety wiedzą o mężczyznach z wykwintnego towarzystwa - odparła.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz widzę, że prostytutki mogą być doskonałym źródłem informacji.

Louisa spojrzała na niego.

- To właśnie na Swanton Lane dowiedziałam się kilka miesięcy temu, że Hastings jest częstym klientem Domu Feniksa. Teraz przychodzi tam regularnie co tydzień. Słyszałam, że nigdy nie odwołuje swoich wizyt.

- To ciekawe.

Zmarszczyła brwi.

- Czy nie wydaje się panu dziwne, że dżentelmen regularnie odwiedza dom schadzek?

- Obawiam się, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego - rzucił żartobliwie.

- Och! - Westchnęła.

Uśmiechnął się.

- Jeśli ma to dla pani jakieś znaczenie, to zapewniam, że ja tego nie robię.

Zaczerwieniła się.

- Niczego takiego nie sugerowałam.

Pomyślał, że już dostatecznie wprowadził ją w zakłopotanie.

- Niech mi pani opowie więcej o tym oszustwie z kopalnią w Kalifornii. Pamiętam, że reportaż J.A. Fantoma zrobił na mnie ogromne wrażenie. Jak się pani tego wszystkiego dowiedziała?

**111**

- Miranda mówiła panu, że odwiedziłam ją następnego dnia po tym, jak usłyszałam tamtą rozmowę. Właściwie nie spodziewałam się, że mnie przyjmie, a tym bardziej że uwierzy mi na słowo. Ku memu zaskoczeniu nie tylko się ze mną spotkała, ale też mnie wysłuchała. Potem ułożyliśmy plan.

- Jaki mianowicie?

- Miranda jest doskonałą aktorką. Gdy mężczyźni skontaktowali się z nią, by podpisała ostatnie dokumenty, odegrała rolę naiwnej kobietki, której robienie interesów z dwoma tak szacownymi dżentelmenami sprawiało ogromną przyjemność. Ja ukryłam się w salonie za drzwiami dla służby, słuchałam każdego słowa i robi

łam notatki.

- I co dalej? - spytał zafascynowany.

- Wysłałam telegram do redaktora gazety w Kalifornii, gdzie miała się podobno znajdować owa kopalnia złota. Był tak miły, że natychmiast odpowiedział. Napisał, że w pobliżu nie ma żadnej kopalni, że podejrzewa oszustwo i zaleca ostrożność. Dodał też, że chciałby poznać szczegóły i opublikować je w swojej gazecie.

- I to podsunęło pani pomysł, żeby zostać reporterką?

- Tak - potwierdziła. - Natychmiast umówiłam się z wydawcą „Latającego Detektywa”. Spotkaliśmy się i przedyskutowaliśmy moją propozycję napisania serii reportaży z sekretnego życia wyższych sfer. Zaczęliśmy od informacji o oszustwie popełnionym przez dwóch szacownych dżentelmenów.

- Spodziewam się, że natychmiast podchwycił tę okazję.

- Pan Spraggett nie wahał się nawet sekundy - odparła z wyraźną dumą.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Przyglądał się jej przez długą chwilę. - Jeśli to nie jest zbyt osobiste pytanie, czy mógłbym się dowiedzieć, co się stało z panem Bryce'em?

- Na moje nieszczęście zmarł na zakaźną gorączkę wkrótce po naszym ślubie - szepnęła.

Gładko powiedziane, zauważył. Z odpowiedzią nutką żalu.

- Moje kondolencje, madame.

**112**

- Dziękuję. Minęło już kilka lat. Ból po stracie nieco zelżał.

- Wyżej podsunęła okulary na nosie i zrobiła stanowczą minę.

- Musimy się zastanowić, jak przeprowadzić spotkanie z panem Thurlowem.

- Najlepiej będzie, jeśli pani zostanie w powozie, a ja się z nim rozmówię.

- Absolutnie się nie zgadzam.

Pokiwał głową, godząc się z tym, co nieuchronne.

- Czuję, że pani to powie.

**18**

Halsey Street okazała się ciasną uliczką w skromnej dzielnicy.

Skąpana we mgle wydawała się oderwanym od świata miejscem.

Louisa patrzyła na okolicę przez okno dorożki. Ulica zdawała się opustoszała. Żadnych przechodniów czy pojazdów.

Anthony kazał zatrzymać dorożkę, otworzył drzwi, wyskoczył

na chodnik i rozłożył schodki. Dziewczyna opuściła woalkę i wysiadła, wspierając się na jego ramieniu.

- Poczekaj tu na nas - polecił Anthony woźnicy.

- Ta jest. - Mężczyzna rozsiadł się wygodnie i wyciągnął butelkę z kieszeni płaszcza. - Będę tutaj, gdy wielmożni państwo zechcą zabrać się z powrotem.

Stalbridge podał Louisie ramię. Podeszli razem do drzwi domu, w którym mieszkał Thurlow

Anthony zapukał energicznie. Cisza. Żadnej reakcji.

- Dziwne - powiedziała dziewczyna. - Thurlow mógł oczywi

ście wyjść, ale spodziewałabym się, że ma jakąś służbę.

Anthony przyglądał się taksująco ciężkim zasłonom w oknach.

- Jeśli ma gospodynię, to może wyszła po sprawunki - rzucił.

Jakaś nuta w jego tonie zwróciła jej uwagę.

- Co pan ma myśli?

## 113

- Najwyraźniej będziemy musieli przyjechać innym razem.

- Ujął ją pod łokieć i pociągnął w kierunku dorożki. - Chodźmy, pani Bryce. Odwiozę panią do domu.

- Akurat. - Zatrzymała się nagle. Anthony chcąc nie chcąc, również przystanął. - Niech pan nie myśli, że tak łatwo mnie oszukać.

Knuje pan, jak się mnie pozbyć, żeby potem wrócić na Halsey Street, włamać się do mieszkania Thurlowa i rozejrzeć się samemu, prawda?

- Madame, pani mnie rani takim brakiem zaufania - powiedział z wyrzutem w głosie.

- Jeśli będzie pan próbował dokonać tego za moimi plecami, nie tylko pana zranię, ale zrobię coś znacznie gorszego.

- Pani chyba oszalała, jeśli myśli, że pozwolę jej włamać się ze mną do domu Thurlowa. Nie chcę, by aresztowano panią za współudział we włamaniu.

Louisa rozejrzała się wymownie po pustej uliczce.

- Nigdzie w pobliżu nie widzę konstabla. Jeżeli zachowamy ostrożność, uda się nam uniknąć aresztowania. Nikt nie zwróci na nas uwagi, jeśli wejdziemy frontowymi drzwiami. Ktokolwiek nas zauważy, pomyśli, że gospodarz sam nam otworzył.

- Drzwi od frontu są na pewno zamknięte.

- Ktoś, kto potrafi włamać się do sejfu Apollo, nie będzie miał

większych trudności ze zwykłym zamkiem w drzwiach. Stanę z przodu i pana zasłonię, a pan zrobi to, co do niego należy.

- A jeśli ktoś zapyta, co robimy w tym domu? - spytał.

- Powiemy, że jesteśmy przyjaciółmi pana Thurlowa i mamy powody martwić się o jego zdrowie.

- No, no... - Anthony zamyślił się na chwilę. - Nieźle. Całkiem nieźle.

- Weszliśmy, żeby sprawdzić, czy nie jest chory - ciągnęła gładko. - Któż mógłby temu zaprzeczyć?

- Sam gospodarz, jeśli przyłapie nas na przeszukiwaniu jego mieszkania? - zasugerował Stalbridge.

- Na pewno nie wezwie konstabla, skoro ujawnimy, że wiemy o jego udziale w szantażu.

Anthony błysnął zębami w wilczym uśmiechu.

**114**

- Pani Bryce, pod pewnymi względami pani i ja stanowczo myślimy w podobny sposób.

- O, tak. - Uśmiechnęła się, czując ogarniające ją podniecenie.

- Czy teraz zajmie się pan drzwiami?

- To nie potrwa długo. - Chwycił klamkę i nacisnął na próbę.

Drzwi otworzyły się bez oporu.

Louisa zmarszczyła brwi.

- Thurlow, wychodząc, chyba zapomniał zamknąć za sobą drzwi - powiedziała.

Anthony otworzył drzwi szerzej. Zobaczyli pusty hol. Dziewczynie nie podobała się cisza panująca w domu. Czują, jak włosy jeżą się jej na karku.

Mężczyzna bezszelestnie wśliznął się do ciemnego holu. Poruszał się cicho i zwinnie niczym drapieżnik. On także wyczuwał, że coś jest nie w porządku. Louise przesyłał dreszcz lęku.

Weszła za Anthonyem do środka, uniosła woalkę i rozejrzała się dookoła.

Mieszkanie Thurlowa prezentowało się dosyć skromnie. Zajrzała do małego, po spartańsku umeblowanego salonu. Korytarz prowadził do kuchni i drzwi, które zapewne wychodziły na jakąś boczną alejkę. Wąskie schody wiodły na pogrążone w mroku piętro.

Anthony zatrzasnął drzwi.

- Halo, jest tu kto? - zawołał na tyle donośnym głosem, by usłyszano go na piętrze.

Echo odbite w martwej ciszy zabrzmiało niemal ogłuszająco.

Louisa przesunęła palcem po stole w holu. Na rękawiczce został kurz.

- Wygląda na to, że zatrudniasz jakąś służbę, ale chyba nie na stałe

- stwierdziła.

- Co mogłoby wyjaśniać, dlaczego jej dzisiaj nie ma - powiedział Stalbridge.

Wszedł do salonu i zaczął otwierać szuflady biurka. Wyjął teczkę z papierami i szybko ją przejrzał.

- Coś ciekawego? - spytała.

## 115

- Rachunki od krawca i innych rzemieślników. Żaden nieopłacony. - Anthony odłożył papiery i sięgnął po mały notes. Przerzucił

kilka kartek. - Wygląda na to, że Thurlow był nałogowym hazardzistą.

- Co pan tam ma? - Próbowała zajrzeć mu przez ramię.

- Spis osób, którym jest winien pieniądze. - Przerzucił kilka stron. - Najwyraźniej regularnie popada w długi, a potem jakimś cudem udaje mu się spłacić wierzycieli.

- Może od czasu do czasu wygrywa? - zasugerowała Louisa.

- Ten rejestr sięga trzy lata wstecz. Kilka długów jest całkiem sporych. W niektórych przypadkach nawet do kilku tysięcy funtów.



Anthony odłożył notes do szuflady biurka.

Przeszli razem przez pomieszczenia na parterze. Wszystko było na swoim miejscu. Zdawało się, że Thurlow wyszedł zaledwie kilka minut przed ich przybyciem.

Wrócili do holu. Stalbridge ruszył schodami na górę. Louisa pospieszyła za nim. Nie opuszczało jej złe przeczucie.

Anthony zatrzymał się na podeście schodów i spojrzał na zamknięte drzwi na końcu krótkiego korytarza. Dziewczyna stanęła tuż za nim. Nagle zrobiło się jej zimno.

- Co teraz? - spytała.

- Proszę tu poczekać - powiedział cicho. - Thurlow może jeszcze spać. Nałogowi hazardziści często wracają do domu dopiero nad ranem.

Louisa zignorowała polecenie Anthony'ego, ale trzymała się kilka kroków za nim.

Stalbridge niemal nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Skupił uwagę na zamkniętych drzwiach na końcu korytarza. Zapukał, a gdy nikt nie odpowiedział, nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się z przeciągłym, żalobnym skrzypieniem zawiasów. Stał w wejściu i wpatrywał się w otulone zasłonami, pogrążone w półmroku wnętrze. Nie poruszył się.

Louisa zadrżała z lęku. Zmusiła się, by podejść kilka kroków bliżej. Z pokoju napływał zapach krwi i śmierci.

## 116

- Niech pani tu nie wchodzi - ostrzegł Stalbridge chłodnym, beznamiętnym tonem.

Wyjęła z mufki chusteczkę i przyłożyła do nosa. Potem ponad ramieniem Anthony'ego zajrzała do pokoju.

Na łóżku, odkryty do pasa, leżał na wznak mężczyzna. Jego głowa wyglądała okropnie. Biała powłoczka na poduszce była przesiąknięta krwią.

Nagle wróciło do niej straszne wspomnienie. Właśnie tak wyglądał lord Gavin, gdy leżał na podłodze jej sypialni.

- Louiso? - odezwał się Anthony ostrym tonem. - Czyba pani nie zemdleje?

- Nie. - Z wysiłkiem wzięła się w garść. - Nie zemdleję.

Ręka trupa była zgięta w łokciu, dłoń znajdowała się tuż przy głowie. Martwe palce otaczały kolbę pistoletu.

- Dobry Boże - szepnęła. - Odebrał sobie życie.

Stalbridge wszedł do pokoju i pochylił się nad ciałem.

- To ci dopiero ciekawostka - rzucił.

Louisa była zszokowana kompletną obojętnością jego tonu.

Anthony mówił tak, jakby komentował pogodę. Zauważyła jednak, że twarz miał bardzo poważną, a spojrzenie kamienne.

- O co panu chodzi? - wykrztusiła.

- To dość dziwny zbieg okoliczności, że dwaj współpracownicy Hastingsa popełniają samobójstwo w ciągu zaledwie dwóch tygodni

- powiedział.

**19**

Anthony obserwował, jak Louisa odwraca wzrok od łóżka i leżącego na nim trupa.

- Jest pani pewna, że nie zemdleje? - spytał.

- Nic mi nie będzie.

117

- Proszę zejść na dół - powiedział łagodnie. - Nie ma potrzeby, by pani została w tym pokoju.

Zignorowała jego sugestię.

- Ten człowiek odpowiada opisom z dzienników owych młodych panien. Był niezwykle przystojnym mężczyzną. I wygląda na jakieś trzydzieści lat.

Anthony odwrócił się, by uważnie przyjrzeć się ciału. Kula poważnie uszkodziła czaszkę Thurlowa. Jasne włosy były przesiąknięte krwią. Jednak twarz pozostała prawie nietknięta. Rzeczywiście była to twarz, która musiała przyciągać uwagę kobiet.

Zerknął na Louise. Patrzyła na kartkę, leżącą na komodzie.

- Czy pan Grantley zostawił list? - spytała cicho.

- Według informacji od Fowlera, tak.

Podszedł do komody, podniósł kartkę i przeczytał głośno:

- „Nie mogę znieść wstydu, który mnie czeka. Przepraszam moją rodzinę”.

- Jakiego wstydu? - Louisa spojrzała na Anthony'ego. - Myśli pan, że chodziło mu o długi z hazardu?

- Zdaje się, że do tej pory niezbyt się nimi przejmował. Dlaczego teraz miałby się z ich powodu zabić?

Kiwnęła głową.

- Dobre pytanie.

- To nie było samobójstwo - powiedział Stalbridge, rozglądając się po pokoju.

- Też tak uważam.

- Zastanawiam się, czy to Hastings pozbył się obydwu swoich współpracowników - rzucił Anthony. - A jeśli tak, to z jakiego powodu?

- Może się ich obawiał - zasugerowała. - Może wydawało mu się, że coś przeciw niemu knują. To by z pewnością wyjaśniało, dlaczego wynajął dwóch strażników.

- Tak.

Spojrzała na niego posępnie.

- Co teraz zrobimy? - spytała.

**118**

- Natychmiast przekażę wiadomość Fowlerowi. Powinien się jak najszybciej dowiedzieć o tym nowym obrocie wypadków.

Louisa zacisnęła ręce na czarnej mufce.

- Tak, oczywiście.

- Ale najpierw odeślę panią dorożką do domu. Nie ma potrzeby, by pani tu pozostawała do chwili przybycia Fowlera. Sam mu wszystko opowiem - powiedział.

Zanim dziewczyna zapanowała nad sobą, na jej twarzy przez moment odbiła się ulga.

- Jest pan pewien? - spytała.

- Tak.

Spojrzała na niego ostrożnie.

- Czy zamierza pan wymienić moje nazwisko?

- Nie widzę potrzeby - odparł.

- Po prostu chcę chronić swoją tożsamość. Nie mogę oznajmić całemu światu, że pisuję reportaże jako J.A. Fantom -wyjaśniła gładko.

- Rozumiem.

Odłożył list na komodę, przeszedł przez pokój i ujął Louisę pod ramię.

- Chodźmy. Powinna pani stąd odjechać - powiedział.

Sprowadził ją po schodach na dół. Zatrzymał się na chwilę w saloniku, by napisać parę słów.

- Jest pan pewien, że będzie tu bezpieczny? - spytała. - A jeśli zabójca powróci?

Strach w jej głosie go wzruszył. Uświadomił sobie, że Louisa naprawdę się o niego niepokoi.

- Zabójca może, ale nie musi to być Hastings. - Anthony zło

zył kartkę. - Tak czy inaczej nie sądzę, żeby zaryzykował powrót na miejsce zbrodni. A przynajmniej nie wcześniej niż zostanie odkryte ciało i rozejdą się o tym wieści.

- Skąd ta pewność?

- Ktokolwiek to zrobił, wiele ryzykował. Nie będzie się ponownie narażał bez potrzeby. Teraz będzie myślał o własnym bezpieczeństwie.

## 119

- Panie Stalbridge, proszę być ostrożnym - poprosiła Louisa, przejęta nagłym lękiem.

- Tak - obiecał, dziwnie wzruszony. - Dorożka odwiezie panią do domu. Przyjadę po panią dzisiaj o ósmej wieczorem.

Zesztywniała.

- Po co?

- Jesteśmy zaproszeni na przyjęcie do Lorringtonów, nie pamięta pani?

Louisa się wzdrygnęła.

- Zapomniałam. Pan wybaczy, ale nie jestem w nastroju, by dziś wieczorem udzielać się towarzysko.

- Myślę, że powinniśmy dziś wieczorem pokazać się razem na przyjęciu. To ważne, byśmy się zachowywali, jakby nic nadzwyczajnego się nie stało.

Zawahała się, a potem niechętnie przytaknęła.

- Chyba ma pan rację. Dobry Boże! Myśli pan, że Hastings też tam będzie?

- Nie wiem. Ale powinno być mnóstwo gości, więc jeśli nawet przyjmie zaproszenie Lorringtonów, z pewnością uda się nam uniknąć spotkania z nim.

- Jeśli teraz wrócę do domu, zdążę jeszcze napisać reportaż o tej śmierci dla pana Spraggetta. Będzie miał dość czasu, by umieścić go w jutrzejszym wydaniu „Latającego Detektywa”.

Anthony zastanowił się krótką chwilę.

- Świetny pomysł. Skoro zabójca przeczyta w gazecie, że policja się zastanawia, czy samobójstwo nie zostało upozorowane, na pewno się zdenerwuje - rzucił.

- Tyle tylko, że policja nie rozważa tej możliwości - zauważyła Louisa sucho. - Nawet jeszcze nie wiedzą, że pan Thurlow nie żyje.

- Czy kiedykolwiek taki drobny szczegół jak ten powstrzymał

nieustraszoną przedstawicielkę prasy przed zrelacjonowaniem faktów? - spytał.

Uśmiechnęła się z przekąsem.

- Racja. Zawsze mogę zasugerować, że było to morderstwo. -

Zawahała się. - Myśli pan, że to Hastings zabił Thurlowa, prawda?

**120**

- Sądzę, że to możliwe - odpowiedział spokojnie. - Potrzebujemy więcej informacji.

- Główny problem z całym tym śledztwem to brak informacji.

Opuściła woalkę tak, by zakrywała jej twarz.

- Nie będę się z panią sprzeczał - powiedział cicho.

Odprowadził ją na zewnątrz i pomógł wsiąść do dorożki. Gdy usiadła, zamknął drzwiczki i podał woźnicy liścik.

- Gdy już odwieziesz panią do domu, pojedź do Scotland Yardu i dopilnuj, by ta wiadomość trafiła do detektywa Fowlera.

- Ta jest. - Woźnica schował kartkę.

- Jest przeznaczona tylko dla Fowlera - powiedział z naciskiem Anthony i podał woźnicy pieniądze. - Czy to jasne? Jeśli będzie trzeba, to na niego poczekaj.

Woźnica przeliczył monety i skwapliwie przytaknął.

- Niech się pan nie obawia. Dopilnuję, by pana list dotarł do tego Fowlera.

- Dziękuję.

Woźnica trzepnął konia po zadzie lejcami i powóz ruszył z miejsca. Prawie natychmiast zniknął we mgle.

Anthony wrócił do domu Thurlowa i powoli wspiął się na piętro.

Zmuszał się do każdego kroku. Atmosfera śmierci wisiała w powietrzu.

Gdy znalazł się w sypialni, podszedł najpierw do szafy. Surduty i spodnie zostały uszyte zgodnie z ostatnią modą. Wykonane na zamówienie koszule były idealnie wykrochmalone i uprasowane.

Na komodzie stała skórzana kasetka na biżuterię. W środku było kilka par drogiej spinek do mankietów, kunsztownie grawerowany złoty kieszonkowy zegarek i spinka do krawata ozdobiona perłą. Obok kasetki leżały oprawione w srebro grzebień i szczotka, a przy nich stał słoik z pomadą. Thurlow najwyraźniej bardzo dbał

o swój wygląd.

Anthony podszedł do łóżka i uważnie przyjrzał się ciału. Starał

się nie zwracać uwagi na krew i analizować szczegóły. Włosy i wąsy były modnie przystryżone. Koszulę nocną ozdabiał haft.

Pomyślał o tym, co powiedziała Louisa. To rzeczywiście był przystojny mężczyzna.

**121**

Stalbridge zaczął starannie, metodycznie przeszukiwać pokój.

Rozglądał się za miejscami, gdzie Thurlow mógł coś schować.

W szafie, za podwójną ścianą znalazł sejf. Zamek był skomplikowany, skonstruowany przez najlepszych ślusarzy w Willenhall. Nie był

to jednak sejf Apollo. Włamanie się do niego zabrało Anthony'emu zaledwie piętnaście sekund.

W środku znajdował się tylko notes. Zawierał rejestr, który na pierwszy rzut oka wydawał się spisem dużych sum, uzyskanych z hazardu. Jednak liczył zaledwie pięć pozycji. Dаты przy nich pochodziły sprzed około trzech lat. Przy każdej sumie zapisano inicjały, które pasowały do szantażowanych młodych dam. Anthony uświadomił

sobie, że patrzy na spis kwot, które Thurlow otrzymał w zamian za uwiedzenie i oddanie owych ofiar w szpony Hastingsa.

Schowwał notes do kieszeni i stanął nieruchomo, po raz ostatni rozglądając się po pokoju. Coś mu tu nie pasowało. Przez dłuższą chwilę patrzył na przedmioty na komodzie, usiłując zrozumieć, co go zaniepokoiło. Tylko niewyraźne smugi w cienkiej warstwie kurzu i kilka byle jak zwiniętych chusteczek, wciśniętych w szufladę szafy, burzyło porządek. Cały czas zastanawiając się nad tym, co nie daje mu spokoju, Stalbridge zszedł na dół.

Pod wpływem impulsu zdecydował się znów przeszukać biurko, tym razem dokładniej. Otworzył teczkę z niezapłaconymi rachunkami i nagle zrozumiał, co się nie zgadza. Rachunki były pomieszane. Wszystko w mieszkaniu Thurlowa było pedantycznie uporządkowane, tylko rachunki zebrano w teczce bez ładu i składu.

Wyglądały, jakby ktoś je przeglądał w wielkim pośpiechu.

Kierując się tą wskazówką, przeszukiwał dom dalej. Gdy skończył, był już pewien wniosków.

Chwilę później na ulicy z łoskotem zatrzymał się powóz.

Anthony podszedł do okna, odsunął zasłonę i zobaczył krępa postać Harolda Fowlera, wysiadającego z dwukółki.

Otworzył drzwi, zanim Fowler zdążył zapukać.

- Panie Stalbridge, dostałem pański liścik. - Fowler wszedł do holu. Zdjął kapelusz i rozejrzał się dookoła ze stoickim spokojem **122**

człowieka nawykłego do tego, że jest wzywany z niezbyt przyjemnych powodów. - O co chodzi?

- Lokator tego domu, niejaki Benjamin Thurlow, leży martwy w sypialni na górze. Wygląda na to, że zrozpaczony swoimi długami z hazardu przyłożył sobie pistolet do skroni. Zostawił list pożegnalny. Napisany drukowanymi literami.

- Drukowanymi literami, powiada pan? - Fowler szarpnął obfite bokobrody i zmrużył oczy. - Tak samo jak list Grantleya.

- Tak. - Anthony podał policjantowi list. - Drukowane litery uniemożliwiają rozpoznanie charakteru pisma. Podejrzewam, że to nie Thurlow napisał ten list.

Fowler chwycił kartkę wielką dłonią i przyglądał się jej przez kilka sekund. Potem spojrzął na Stalbridge'a z ponurą miną.

- Zgadzam się z panem. Nigdy jednak nie udowodnimy, że napisał go zabójca.

- Jeszcze jedno - dodał Anthony. - Tego też nie da się udowodnić, ale przysięgłbym, że przed moim przyjściem ktoś przeszukał

dom.

- Rozumiem. - Fowler skrzywił się lekko. - Co pana tutaj sprowadziło?

- Doszły mnie słuchy, że Thurlow, podobnie jak Grantley pozostawał na usługach Hastingsa. Zdaje się, że Hastings od czasu do czasu przekazywał mu duże sumy pieniędzy. Chciałem z nim pomówić.

- Myśli pan, że to on go zabił?

- Uważam to za prawdopodobne - odparł Stalbridge. - Niestety nie wiem, jak mogłoby się to wiązać ze śmiercią Fiony Risby Poza tym że kolejna osoba, która mogłaby odpowiedzieć na moje pytania, nie żyje.

Ponura twarz Fowlera złagodniała.

- Panie Stalbridge, uprzedzałem pana, że szanse na znalezienie jakichkolwiek nowych poszlak po tak długim czasie są doprawdy znikome. Radziłbym panu zostawić tę biedną dziewczynę i pozwolić jej spoczywać w pokoju.

**123**

- Pan nie rozumie - powiedział Anthony. - To ja nie mogę znaleźć spokoju. Muszę się dowiedzieć, dlaczego została zabita.

- Z własnego doświadczenia wiem, że powodów morderstwa jest tylko kilka. Zwykle to chciwość, zemsta, chęć ukrycia czegoś albo szaleństwo.

**20**

Dobrze się pani czuje? - spytał Anthony cicho.

Louisa spojrzała na oświetlony księżycem ogród. Tu i tam ozdobne lampiony kołysały się na wietrze. Na prawo znajdowała się oranżeria o fantazyjnym kształcie. Za ich plecami rozbłyskiwa

ła światłami sala balowa. Z szeroko otwartych drzwi balkonowych dobiegały śmiech i muzyka.

- Tak, oczywiście - odparła, z trudem opanowując kolejny dreszcz.

Przez ostatnie dwie godziny udawała, że dobrze się bawi. Wywo

lane tym zmęczenie zaczęło jednak dawać o sobie znać. Czowała, jak jej twarz niemal zastyga w groteskowym uśmiechu. Chciała znaleźć się z powrotem na Arden Square i wypić dużą szklanekę brandy.

- Czy możemy już wrócić do domu?

- Za chwilę - obiecał Anthony i ujął ją pod ramię. - Przejdźmy się po ogrodzie.

- Cóż, przynajmniej wiemy, jakiego rodzaju usługi Thurlow świadczył Elwinowi - odezwała się po



dłuższej chwili. - Uwodził ofiary, a potem kradł ich pamiętniki lub listy i przekazywał je Hastingsowi.

- Był nałogowym hazardzistą. To oznacza, że nieustannie potrzebował pieniędzy, by spłacać długi. A Elwin dobrze płacił za przedmioty, służące potem do szantażu. Grantley zapewne zajmował się wymuszaniem pieniędzy. Nie sądzę, żeby Hastings się do tego zniżył.

Zeszli schodami z tarasu i ruszyli żwirową ścieżką, wijącą się po pięknie zaprojektowanym ogrodzie. Louisa zauważyła, że nie są **124**

jedyną parą, która uciekła z dusznej i gorącej sali balowej. Z mroku dobiegały stłumione głosy. Jakiś mężczyzna roześmiał się cicho.

Tu i tam suknie i klejnoty połyskiwały w świetle księżyca i niknęły w ciemności.

Dzisiejszego wieczoru nie miała ochoty iść na przyjęcie. Rozumiała jednak argumenty Anthony'ego. Muszą się zachowywać, jakby tego popołudnia nic nadzwyczajnego się nie stało. Stalbridge nie miał z tym chyba najmniejszej trudności. Louisa jednak przez całe popołudnie i wieczór usiłowała opanować paraliżujący lęk.

Odkrycie ciała Thurlowa wstrząsnęło nią o wiele bardziej, niż sobie wcześniej uświadamiała.

Przypomniała jej się tamta okropna noc sprzed ponad roku. Nie mogła się uwolnić od widoku ciała lorda Gavina. Wiedziała, że dzisiejszej nocy nie zaśnie, niezależnie od tego, jak późno położy się spać i ile brandy wypije. Pomyślała, że to może nawet dobrze. Gdyby udało się jej zasnąć, pewnie śniłyby się jej koszmary.

Anthony zatrzymał się w pobliżu wejścia do oranżerii. Światło księżyca odbijało się w szklanych ścianach.

- Tutaj nikt nie powinien nam przeszkadzać - rzucił cicho.

Louisa opadła na marmurową ławeczkę i ułożyła fałdy sukni.

Spojrzała w mrok i zadrżała.

- Zimno pani? - spytał.

- Troszkę. - Nie mogła mu powiedzieć, jak bardzo nią wstrząsnęło dzisiejsze odkrycie. Doszedłby do wniosku, że brak jej hartu ducha, by kontynuować śledztwo. - Co teraz zrobimy? Victoria Hastings, Thurlow i Grantley niestety nie żyją, więc tropy się urywają. Nie został chyba nikt, kto znałby tajemnice Hastingsa.

Anthony oparł stopę na ławeczce i pochylił się nad Louisą.

- Jedyne co możemy zrobić, to nadal szukać odpowiedzi na pytania - odparł.

Dziewczyna starała się skupić na jego słowach.

- Przyszło mi do głowy, że jest miejsce, gdzie moglibyśmy poznać sekrety Hastingsa - rzuciła.

Spojrzał na nią.

**125**

- Mianowicie?

- Dom schadzek, który odwiedza regularnie co tydzień - powiedziała.

- Dom Feniksa? - umilkł na chwilę, a potem pokiwał głową.

- To interesujący pomysł.

Zmarszczyła nos.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że zamierza osobiście złożyć tam wizytę, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat Hastingsa.

Uśmiechnął się lekko.

- Wątpię, czy to by cokolwiek dało. Żadna z pracujących tam kobiet nie zacznie mi się zwierzać już przy pierwszym spotkaniu. Pani natomiast zdobyła zaufanie osoby, która zna kobiety z tego kręgu.

- Ma pan na myśli Robertę Woods ze Swanton Lane.

- Tak.

- Poproszę ją, żeby dyskretnie zasięgnęła informacji - obiecała Louisa.

- Świetnie. A tymczasem mogę tylko mieć nadzieję, że Clement Corvus w końcu się do mnie odezwie. Na pewno sporo wie o interesach Hastingsa.

- Nie wydaje mi się, by król przestępczego światka chciał z nami współpracować.

- Zobaczymy.

Louisa uniosła brwi.

- Naprawdę sądzi pan, że się do nas odezwie? - spytała.

- To niewykluczone.

- A dlaczego miałby to robić? - zdziwiła się.

Anthony uśmiechnął się od niechcienia.

- Ten człowiek prowadzi interesy, nieważne czy legalne, czy nie. Ma opinię osoby, która kieruje się surowym kodeksem honorowym. Słyszałem, że zawsze spłaca swoje długi.

- Kto panu tyle powiedział o Corvusie?

- Detektyw Fowler. Corvus i Scotland Yard znają się nie od dziś - wyjaśnił Stalbridge.

Znów ten Fowler. Louisa opanowała drzenie.

## 126

- Myśli pan, że Clement Corvus poczuje się zobowiązany, gdyż za pośrednictwem Mirandy ostrzegł go pan, że współnicy będą chcieli go oszukać?

- Tak, choć równie dobrze może zażądać od mnie więcej informacji. W tej sprawie nic nie jest pewne - powiedział Anthony.

Louisa objęła się rękami.

- Jeśli się nie mylimy w naszych domysłach, Elwin zabił nie raz, a być może nawet cztery razy. Fiona Risby, pierwsza żona Hastingsa, Grantley i Thurlow. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś mógłby popełnić tyle zła.

- Niewątpliwie po pierwszym zabójstwie każde kolejne przychodzi coraz łatwiej - stwierdził Stalbridge.

Louisa z wysiłkiem powstrzymała się, by nie zerwać się na nogi i nie zacząć krzyczeć, że się myli. Zabicie istoty ludzkiej, nieważne jak bardzo usprawiedliwione, było strasznym doświadczeniem, które prześladowało zabójcę do końca życia.

Niespodziewanie Anthony chwycił ją za łokieć i pociągnął do góry.

- Cicho - rozkazał, z ustami tuż przy jej wargach.

Louisa chciała spytać, co do diabła robi. Zanim jednak zdążyła wykrztusić choćby jedno słowo, przycisnął ją do piersi i zamknął jej usta mocnym, natarczywym pocałunkiem.

Znieruchomiła. Upomniała się, że przecież podjęła decyzję.

Nie powinni się już więcej całować. Tak będzie lepiej. Ale nawet gdy powtarzała sobie wszystkie rozsądne argumenty, wiedziała, że dzisiejszego wieczoru nie zdoła się oprzeć pokusie. Była zbyt roztrzęsiona. Pragnęła się zatracić w płomiennej namiętności i zapomnieć to, co zobaczyła w sypialni Thurlowa.

Objęła mężczyznę za szyję i przylgnęła do niego całym ciałem.

A potem usłyszała w mroku gwar głosów. Jakaś para zbliżała się do oranżerii. Anthony znów

całował ją tylko po to, by stworzyć wrażenie, że łączą ich romans. Ogarnęła ją frustracja. Chciała, żeby poca

łował ją naprawdę, a nie tylko dla pozorów.

Usłyszeli śmiech mężczyzny.

**127**

- Zdaje się, że musimy poszukać innego zakątka. Ten jest już zajęty.

Kobieta odpowiedziała coś ledwie słyszalnym szeptem. Louisa zdała sobie sprawę, że głosy cichną, a para odchodzi w inne miejsce. Przestała zwracać na nich uwagę. Myślała tylko o uścisku ramion Anthony'ego. Zrobiło się jej gorąco. Nieważne, że pocałował ją po to, aby zachować pozory, że coś ich łączy. Efekt przypominał uderzenie pioruna. Jej rozedrgane nerwy i całe ciało nagle stanęły w ogniu.

- Anthony! - Westchnęła tuż przy jego ustach.

Jęknął gardłowo i przytulił ją mocniej do siebie. Nagle jego wargi stały się zaborcze i zuchwałe. Teraz całował ją naprawdę tak, jak pragnęła. Powietrze między nimi iskrzyło. Niemal ją dziwiło, że wokół nich nie zapalają się błyskawice. Mężczyzna przesunął

dłonie na jej plecy i przyciągnął ją do siebie.

Drżała z pragnienia, ogarnięta nieznanym szaleństwem. Porwana niepohamowanym pożądaniem, które tylko niejasno pojmowała

ła, z całej siły chwyciła się ramion Anthony'ego i odwzajemniła jego pocałunki.

Oderwał się od niej i ujął jej twarz w dłonie.

- Powtórz moje imię - poprosił.

W słabym świetle chwiejącego się lampionu w jego twarzy nie zobaczyła zwyczajnej sympatii, tylko gorące, niepowstrzymane po

żądanie, równie silne jak to, które ją ogarnęło.

- Anthony. - Zadrżała już nie ze zdenerwowania, tylko w gorączkowym oczekiwaniu. - Anthony...

Odsunął ręce od jej twarzy i objął ją w talii. A potem pochylił

głowę i wilgotnymi, spragnionymi ustami zaczął całować i kąsać jej szyję. Rozkoszne podniecenie niemal odebrało jej oddech. Właśnie tego potrzebowała. Ta desperacka, wszechogarniająca namiętność zatrze w jej pamięci wspomnienie zakrwawionej głowy Thurlowa i lorda Gavina. Przynajmniej na jakiś czas.

Anthony wziął ją na ręce i podszedł do drzwi oranżerii.

- Otwórz - szepnął.

**128**

Odnalazła klamkę i nacisnęła. Drzwi się otworzyły. Owiało ich ciepłe powietrze. Louisa wdychała zapach kwiatów, zieleni i wilgotnej ziemi. Zapach życia, a nie śmierci.

Mężczyzna wniósł ją do środka i postawił na ziemi tuż przy stole do przesadzania roślin. Odsunął się nieco i zamknął drzwi na klucz. Potem odwrócił się do niej i na powrót przyciągnął do siebie.

Sięgnął do zapięcia jej sukni.

Zdumiała się, gdy uświadomiła sobie, że jego ręce, tak pewne przy otwieraniu zamków, teraz drżą. Czowała jego gorący, zdyszany oddech. Przesunęła dłońmi po okrytych surdudem, napiętych mięśniach ramion.

Zapaliła się w niej iskra nadziei. Kochał swoją najdroższą Fionę, ale może w jego sercu znajdzie się też miejsce dla innej kobiety.

Rozpiął stanik jej sukni. Louisa cieszyła się, że otacza ich półmrok. Tylko cienka koszulka osłaniała jej piersi.

Pochylił głowę i znów pocałował ją w szyję. Pogłaskał kciukiem sutek. Przeszył ją dreszcz. Chwyliła Anthony'ego za ramiona, by zbadać drzemiacą w nich siłę i poznać go bliżej, ale nie dał jej szansy.

- Louiso, co ty ze mną robisz? Tak bardzo cię pragnę i potrzebuję - szepnął.

Niespodziewanie uniósł ją do góry i posadził na brzegu stołu.

Wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Nie mogła myśleć.

Poczuła, że jego usta zajęły miejsce dłoni na jej piersi. Zwilżył

językiem materiał koszulki.

Louisa wplotła palce we włosy Anthony'ego. Narastało w niej pożądanie. Westchnęła głośno, gdy zacisnął zęby na jej sutku. Uniósł

szybko głowę i uciszył ją gorącym pocałunkiem.

Chwylił spódnicę sukni i podciągnął powyżej kolan. Położył

dłonie na jej udach i rozsunął je szeroko.

Krew zaczęła w niej szaleńczo pulsować. Za ledwie zdążyła się przyzwyczaić do intymnego dotyku jego dłoni, gdy nagle wsunął

palce w pęknięcie jej przybranej koronką bielizny. Dotknięcie jego **129**

rozpalonej ręki w najbardziej sekretnym miejscu wydało się jej zuchwałe, a jednocześnie niesamowicie podniecające.

- Pragniesz mnie - szepnął ochryłym głosem. - Powiedz to.

Pragniesz mnie tak mocno jak ja ciebie.

- Tak. - Zaciśnęła palce w jego włosach. - O, tak!

Kręciło się jej w głowie. Świat na zewnątrz oranżerii zniknął.

Tak właśnie wyglądała wszechogarniająca namiętność. Louisa rozkoszowała się cudownym wrażeniem. Autorzy powieści i sztuk scenicznych się nie mylili. To właśnie dla takich przeżyć ludzie

żowali się w sekretne romanse.

- Jesteś taka gładka - powiedział, pieszcząc ją między udami.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Dziewczyna uświadomiła sobie, że Anthony rozpina spodnie.

Zerknęła w dół i zobaczyła jego dłoń zaciśniętą na członku. Mężczyzna wyjął z kieszeni białą, płócienną chusteczkę i rzucił na stół

obok niej.

Zafascynowana, chciała go dotknąć, ale już zaczął się wsuwać w jej rozpalone wnętrze. Ucisk był rozkoszny. Pragnęła więcej.

W rozgorączkowaniu przyciągnęła go bliżej siebie.

Anthony chwycił ją za pośladki i wszedł w nią do końca jednym gwałtownym ruchem.

Przeszył ją nagły, dotkliwy ból. Pragnienie niemal nie do zniesienia przerodziło się nagle w coś nieprzyjemnego. Zdumiona, jęknęła i zastygła w bezruchu.

- Niech to diabli porwą! - Anthony też znieruchomiał. - Jesteś dziewicą!

- Tak. Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

- Do wszystkich diabłów! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wydawał się rozwścieczony. Kto dał mu prawo się na nią złościć? To przecież ona cierpiała.

- Uważałam, że to nie powinno nikogo interesować - odparła, czując, jak narasta w niej gniew.

- Jak możesz mówić, że to nie powinno mnie interesować?

Ogarnęła ją złość, przytłumiając nieco ból.

## 130

- Chyba nie spodziewasz się, że zacznę omawiać intymne szczegóły mego życia z kimś, kogo prawie nie znam? - parsknęła.

Spojrzał na nią z dziwną miną.

- Właśnie kochasz się z człowiekiem, którego prawie nie znasz.

- My się nie Kochamy - powiedziała oschle. Nie chciała się przyznać, jak bardzo ją to raniło. - My tylko ulegliśmy sekretnej namiętności.

- Rozumiem. Jesteś ekspertem w tej dziedzinie?

- Taka namiętność, jak sama nazwa wskazuje, jest sekretna.

Nie mam obowiązku zwierzać się komukolwiek ze spraw osobistych.

- Nie mogę uwierzyć, że wygłaszasz wykład na temat tego, jak powinien wyglądać romans.

Louisa się skrzywiła.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli się... hm, ze mnie wysuniesz.

Sam widzisz, że do siebie nie pasujemy.

- Skąd wiesz? - spytał, nie poruszając się nawet odrobinę.

- To chyba oczywiste. Jesteś za duży.

- Moim zdaniem pasujemy doskonale.

Zaczął się z niej wysuwać. Wstrzymała oddech.

Zatrzymał się na progu jej ciała, a potem powoli i pewnie wsunął się z powrotem.

- To chyba nienajlepszy pomysł - jęknęła.

- Nic a nic się na tym nie znasz.

Pocałował ją głęboko, uciszając wszelkie argumenty.

Powtórnie wysunął się z niej niemal do końca i powrócił głębokim pchnięciem. Tym razem wrażenie nie było bolesne, ale też niezupełnie przyjemne. Wypełniał ją tak ciasno, że niemal nie mogła oddychać. Jednak... Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Skoro zaszliśmy już tak daleko, równie dobrze możemy dokończyć dzieła - stwierdziła.

- Uważaj, moja miła. Zaraz zemdleję od tych twoich słodkich słówek.

## 131

Poczuła wstyd. Potem ogarnęła ją wściekłość. Gwałtownie chwyciła go za ramiona i przyciągnęła do siebie.

- Do diabła! Skończ z tym wreszcie - syknęła.

Wymamrotał pod nosem coś, czego nie zrozumiała i zaczął się poruszać szybkimi, ostrymi pchnięciami. Louisa już się przyzwyczaiła do obecności Anthony'ego w swym wnętrzu. Wrażenia, które odczuwała, nie były tak rozkoszne, jak się spodziewała, ale też niezupełnie nieprzyjemne.

Jeśli jemu sprawiało to przyjemność, to ona jakoś wytrzyma to doświadczenie.

- Niech to wszyscy diabli porwą. - Anthony z trudem oddychał. - To twoja wina...

- Jak śmiesz...

- Obiecałaś nic nie mówić - odparł przez zaciśnięte zęby. - Do diabła!

Zaniepokojona cichym, gardłowym jękiem, który towarzyszył

przekleństwu, otworzyła oczy.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Nie odpowiedział. Nagle wysunął się z niej gwałtownym szarpnięciem, chwycił chusteczkę i zakrył nią członek.

W słabym świetle zauważyła, że Anthony zamknął oczy. W cichym jęku rozchylił usta, odsłaniając zęby. A potem wszystko się skończyło. Oparł się na stole i oddychał ciężko, nie otwierając oczu.

- Do diabła - powtórzył, tym razem bardzo cicho.

## 21

Czekała, niepewna co się robi w takiej sytuacji. Autorzy powieści sensacyjnych tę część pomijali milczeniem.



Zaniepokojona, delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Anthony?

**132**

Otworzył oczy.

Zadrżała z niepokoju, gdy zobaczyła, jak na nią patrzy.

- Źle się czujesz? - spytała.

- Ciekawe pytanie.

Wyprostował się i odwrócił, szybko doprowadzając spodnie do porządku. Louisa zeskoczyła ze stołu. To był błąd. Nogi tak jej dygotały, że musiała się chwycić blatu, żeby zachować równowagę.

Trzęsącymi się rękami poprawiła spódnicę sukni, czując dziwnie niemiłe wrażenie między udami.

- Zechcesz mi wybaczyć - rzuciła szorstko.

Odwrócił się do niej, zdumiewająco chłodny i opanowany.

- Ze pozwoliłaś mi wierzyć, iż jesteś kobietą światową?

- Nie. To, że kilka minut temu sama cię zachęciłam. Choć na swoją obronę mogę powiedzieć, że spodziewałam się nieco innego przeżycia.

- Właściwie czego się spodziewałaś?

Machnęła ręką, zadowolona, że mrok skrywa jej rumieniec.

- Jestem pewna, że mnie rozumiesz. Tyle się słyszy o rozkoszach zakazanej namiętności, prawda?

- Nic o tym nie wiem.

- Pewnie nie czytujesz powieści? - spytała.

- Nie.

- Ale z pewnością widziałeś sztuki swojej siostry?

- Wjej sztukach zakazane namiętności i sekretne romanse zawsze źle się kończą - odparł.

- Nie o to chodzi. - Louisa desperacko szukała właściwych słów. - Na podstawie tego, co czytałam w książkach i widziałam na scenie, spodziewałam się bardziej, jakby to powiedzieć, niezmiernego przeżycia.

- Nieziemskiego przeżycia - powtórzył bezbarwnym tonem.

- Właśnie tak jest opisywana zakazana namiętność. - Westchnę

ła. - Powinnam się była domyślić, że musi istnieć jakiś powód, który powstrzymuje większość kobiet w Anglii przed angażowaniem się w sekretny romans.

**133**

- Louiso, to był twój pierwszy raz. Pierwszy raz zawsze jest trudny.

Nagle przyszło jej coś do głowy, ale powstrzymała się od komentarza i tylko bąknęła coś pod nosem.

Chwyił ją pod brodą i uniósł jej twarz do góry, tak by móc spojrzeć jej w oczy.

- Co to niby miało znaczyć? - spytał.

- Nic takiego - odparła pośpiesznie.

- Biorąc pod uwagę to, co się właśnie stało, chyba zasługuję na odpowiedź?

- Dobrze, skoro nalegasz. Przyszło mi do głowy, że może to ty stanowisz problem, a nie ja.

- Winisz mnie za to, że nie doświadczyłaś nieziemskiego przeżycia?

- Nie, oczywiście, że nie. To znaczy, niezupełnie - Louisa odchrząknęła. - To z pewnością nie twoja wina, że natura postanowiła cię tak hojnie w pewnych miejscach wyposażać. - Urwała i rozważała tę kwestię głębiej. - Może z jakimś mniejszym mężczyzną...

Pochylił się nad nią.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział złowieszczo.

Cofnęła się szybko i dotknęła plecami stołu.

- Uspokój się. W tej chwili oboje jesteśmy poruszeni. To był bardzo trudny dzień.

Podszedł i stanął blisko niej. Oparł ręce na blacie za nią, unieruchamiając ją w swoich ramionach.

- Pozwól, że coś wyjaśnię - mówił, nadal tym samym spokojnym tonem. - To twoja wina, nie moja. To ty wprowadziłaś mnie w błąd, udając wdowę. Odegrałaś swoją rolę aż nazbyt dobrze. Powinnaś była powiedzieć mi prawdę.

- Bzdura. Gdybym powiedziała, nawet byś mnie nie pocałował, a cóż dopiero posiadał.

- Chciałaś, bym cię posiadał?

- Tak, właśnie. - Znów odżyły w niej złość i frustracja. - Dzisiejszego wieczoru pragnęłam, by ktoś mnie posiadał.

Anthony zmrużył oczy.

**134**

- Czy to była decyzja podjęta pod wpływem chwili?

- W żadnym razie. - Zadarła podbródek. - Tak się składa, że ostatnio dużo o tego typu rzeczach myślałam.

- Cóż za zbieg okoliczności - rzucił. - Ja też.

Zignorowała jego słowa.

- Oczywiście, aż do dzisiaj doskonale panowałam nad swoimi emocjami - ciągnęła.

- Oczywiście.

- Muszę jednak z żalem przyznać, że scena w domu Thurlowa nieco wytrąciła mnie z równowagi.

- W jakim sensie?

- Nie umiem tego wyjaśnić. Przez całe popołudnie byłam podenerwowana i czułam się nieswojo. Serce tak we mnie kołatało.

Nie mogłam się uspokoić.

W półmroku wpatrywał się w jej twarz.

- Chyba cię rozumiem - powiedział.

- Gdy mnie pocałowałeś, miałam wrażenie, że rozszalała się burza. Nagle porwał mnie wir doznań.

- Poniósł cię gorący wicher namiętności - podsunął usłużnie.

- Dokładnie tak.

- Spadła na ciebie nawałnica rozszalałego pożądania?

Naprawdę rozumiał! Louisa od razu poczuła się różnie.

- Właśnie takie uczucie próbuję opisać. - Urwała, nagle pełna nadziei. - Czy czułeś to samo?

- O, tak. - Pochylił się nad nią. - Ale potem zaczął padać ten przekłety śnieg.

- Tak, cóż, to najwyraźniej był okropny błąd. Jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałabym wrócić do domu. Muszę się napić brandy.

- Ja też.

- Jesteś rozdrażniony i wcale się nie dziwię. - Nagle przyszła jej do głowy niepokojąca myśl. - Mam nadzieję, że nie pozwolisz, by ten niefortunny incydent zmienił naszą umowę, dotyczącą śledztwa.

Ku jej konsternacji nie kwapił się z odpowiedzią.

- Nie - odparł w końcu. - Nasza umowa nadal obowiązuje, jeśli tego sobie życzysz.

**135**

- Tak - zapewniła.

- Zanim zechcesz kontynuować naszą współpracę, powinnaś się jednak zastanowić nad pewną kwestią.

- Mianowicie jaką? - spytała ostrożnie.

- Jeśli będziemy dalej pracować razem, najprawdopodobniej czekają nas kolejne ogniste nawałnice, podobne do tej, która właśnie przeszła.

Wbrew woli jej serce mocniej zabiło. Poczła gorący dreszcz.

Stłumiła go w sobie z wysiłkiem. Wyprostowała się.

- Oboje mamy silną wolę - powiedziała stanowczo. - Jestem pewna, że zdołamy powstrzymać nasze instynkty.

- Mów za siebie, Louise

Poprowadził ją z powrotem przez ogród. Na widok jasnych świateł sali balowej Louise ogarnęła panika.

- Czy musimy wchodzić do środka? - spytała z niepokojem.

Anthony zaśmiał się posępnie.

- Moja słodka, urok sekretnego romansu tkwi w tym, by stawić czoło światu i zachowywać się tak, jakby absolutnie nic niezwykłego się nie działo.

Miał rację. Zadarła podbródek i się wyprostowała.

- Doskonale - szepnął jej do ucha.

Na szczęście nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi. Przeszli przez zatłoczoną salę, witani zdawkowymi skinieniami głowy, napotkawszy zaledwie kilka zaciekawionych spojrzeń.

Gdy dotarli do głównego holu, Anthony kazał wezwać powóz.

Zeszli po schodach, Louisa trzymała go pod rękę. Lokaj otworzył

drzwiczki. Zaledwie kilka kroków dzieliło ich od bezpiecznego schronienia. Dziewczyna rozluźniła się i odetchnęła z ulgą.

W tym momencie podjechał następny powóz i zatrzymał się tuż za ich pojazdem. W otwartych drzwiczkach pojawił się mężczyzna w czarnym stroju wieczorowym i zeskoczył na chodnik. Zachwiał

się lekko i chwycił się drzwi, by utrzymać równowagę.

Na widok Anthony'ego jego przystojną twarz wykrzywił grymas wściekłości.

- No, no, czy to nie Stalbridge? - wymamrotał, lekko bełkocząc. - A to, jak mniemam, jest wdówka z Arden Square, o której tyle ostatnio słyszałem. Nie przedstawiśz mnie tej damie?

- Nie - odparł Anthony. Przesunął się tak, by znaleźć się między Louisą i nieznajomym.

Była tak zszokowana obcesową odmową, że potknęła się na ostatnim schodku. Upadłaby, gdyby Anthony jej nie podtrzymał

i nie pomógł wsiąść.

- Pani Bryce, nazywam się Julian Easton. - Mężczyzna zerwał

z głowy kapelusz z szyderczą galanterią. - Niezmiernie miło mi panią poznać. Słyszałem, że Stalbridge zabawia się z jakąś dziwną kobietą, ale dopiero teraz mam okazję zobaczyć tę skromną, prowincjonalną myszkę.

Anthony podszedł do niego.

- Wystarczy. Jesteś pijany i robisz z siebie durnia.

Easton nie zwrócił na niego uwagi. Spojrzał na Louise.

- Pani Bryce, chyba zdaje sobie pani sprawę, że ten drań panią wykorzystuje. Widzi pani, nie jest pani w jego typie. W klubach gadają, że Stalbridge chędoży cudzą żonę i, by to ukryć, chowa się za pani spódnice.

Anthony znalazł się tuż przy nim. Easton musiał się zorientować, że znalazł się w niebezpieczeństwie, ale było już za późno.

Mężczyzna zaatakował błyskawicznie. Chwycił Eastona za rękaw i wystawił nogę. Ten, zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje, już opadł ciężko na chodnik i siedział, rozglądając się błędnym wzrokiem.

- Arden Square - rzucił Anthony stangretowi i wskoczył do powozu, który natychmiast ruszył.

Louisa wyrzała przez okno w stronę rezydencji Lorringtonów.

Julian Easton jeszcze nie wstał z chodnika. Zmieszanie i zaskoczenie na jego twarzy ustąpiły miejsca furii.

Odwróciła się do Anthony'ego.

- Kim jest Julian Easton?

- Należymy do tego samego klubu - powiedział Anthony niepokojąco obojętnym tonem.

- Najwyraźniej nie jesteście przyjaciółmi.

- Nie - odparł. - Nie jesteśmy przyjaciółmi.

Niemal usłyszała świst noża, którym uciął dalsze pytania. Postanowiła spróbować z innej strony.

- Jak to zrobiłeś, że zanim tamten się obejrzał, błyskawicznie zważyłeś go z nóg? - spytała.

- To sztuczka, której nauczyłem się za granicą. Od czasu do czasu bardzo mi się przydaje.

Po tych słowach Anthony skupił uwagę na nocnej scenerii za oknem. Milczał przez resztę drogi.

Pożegnał się pod jej drzwiami i życzył dobrej nocy.

- Przykro mi, że musiałaś być świadkiem tej sceny - powiedział.

Głos miał posępny i dziwnie zmęczony. Nagle wezbrała w niej czułość. Dotknęła dłonią jego policzka.

- Niepotrzebnie przepraszasz - powiedziała łagodnie. - To Easton zawinił. Och, Anthony, tak wiele wycierpiałeś od śmierci Fiony.

Mam nadzieję, że znajdziesz odpowiedzi na dręczące cię pytania.

Odwróciła się i weszła do domu.

22

Louisa obudziła się przerażona. Serce waliło jak oszalałe, brakowa

ło jej tchu. Nienawidziła tego wrażenia, które zawsze towarzyszyło koszmarom. Odsunęła pościel i usiadła. Musiała się ruszyć, wstać, chodzić, robić cokolwiek, by uwolnić się od nerwowego drżenia, które pozostawił po sobie straszny sen.

Wstała i jęknęła cichutko, czując lekkie otarcia między udami. Wspomnienia schadzki w oranżerii napłynęły szeroką falą i na szczęście przesłoniły okropności koszmaru. Ale obudziły też lęk.

Wstała i włożyła szlafrok. Wsunęła stopy w ranne pantofle i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem. Co ona najlepszego zro-

biła? Jak to się stało, że wplątała się w romans z człowiekiem, który mógł ją zniszczyć? Przecież Anthony przyjaźnił się z detektywem, który prowadził śledztwo w sprawie morderstwa lorda Gavina! Co się z nią działo?

Zatrzymała się nagle. Znała odpowiedź na to pytanie. Anthony ją zauroczył. Już od pierwszej chwili, na balu u Hammondów, gdy spojrzał na nią, jakby znał jej najgłębsze tajemnice. Straciła dla niego głowę. Było już za późno.

Nie myśl o tym. Ta miłość nie ma przyszłości. Nigdy nie powiesz mu prawdy o sobie, a nie wyjdiesz za mąż, jeśli nie wyjawisz ukochanemu mężczyźnie swojej tajemnicy. To byłoby nie w porządku.

Dzientelmen o tak wysokiej pozycji towarzyskiej jak on nie poślubi morderczyni. Pominąwszy wszystko inne, musi mieć na względzie dobre imię swojej rodziny.

Zresztą mało prawdopodobne, że w ogóle się w niej zakocha.

Oddał przecież serce Fionie Risby. Kiedyś na pewno się ożeni, gdyż wymaga tego jego pozycja. Gdy jednak przyjdzie na to czas, na pewno poszuka kogoś lepszego niż kobieta bez majątku i przeszłości.

Chwytaj to, co jest. Tu i teraz. Ciesz się każdą chwilą, bo na nic więcej nie możesz liczyć.

Zatrzymała się na środku sypialni i pomyślała o jeszcze jednej szklance brandy. Tamta, którą wypła po powrocie z przyjęcia u Lorringtonów, okazała się zdumiewająco skuteczna. Louisa obawiała się, że dziś nie zaśnie. Jednak dramatyczne wypadki dnia i wieczoru najwyraźniej wyczerpały ją bardziej niż sobie uświadamiała. Brandy zapewniłaby jej jeszcze kilka godzin snu.

Podeszła do okna i zapatrzyła się w noc. Ulicę oświetlały latarnie i blady księżyc. Na wprost wejścia do domu pod numerem 12 stała postać w płaszczu, z twarzą osłoniętą czarnym welonem.

Wydawała się zjawą, która wynurzyła się spomiędzy spowitych mgłą drzew.

Biedna, zdesperowana wdowa, zmuszona do prostytucji znów się tu pojawiła. Louisa zdziwiła się na jej widok. Najwidoczniej ta 139

kobieta nie pojęła jeszcze, że klienci chętni kupić to, co ona oferowa

ła, nie przychodzą tutaj. A może bała się stanąć w bardziej uczęszczanej dzielnicy. Zapewne trudniła się nierządem dopiero od niedawna.

Wiedziona impulsem Louisa zakręciła się na pięcie i wyszła na korytarz. Zeszła na palcach na dół i wśliznęła się do gabinetu. Zapaliła lampę i wyjęła z szuflady pieniądze, które Emma trzymała tutaj na nieprzewidziane domowe wydatki. Wsunęła je do koperty.

Chwyliła pióro i na jej odwrocie napisała adres.

W holu wejściowym narzuciła na siebie płaszcz, uchyliła drzwi i wyjrzała na dwór.

Kobieta w czarnym płaszczu i welonie nadal stała w cieniu pod drzewem. Znieruchomiała, gdy w świetle latarni zobaczyła ją na progu domu.

- Dobry wieczór - powiedziała cicho Louisa.

Kobieta zareagowała gwałtownie, jakby ujrzała zjawę. Wzdrygnę



ła się ze strachu, odwróciła na pięcie i oddaliła szybkim krokiem.

- Proszę, niech pani zaczeka. - Dziewczyna pobiegła z nią. -

Nie zamierzam wzywać konstabla. Chciałam tylko dać pani trochę pieniędzy.

Kobieta najwyraźniej doszła do wniosku, że nie zdoła uciec. Zatrzymała się i odwróciła niczym osaczone zwierzę.

Louisa stanęła kilka kroków od niej i wyjęła kopertę.

- Tu jest dość pieniędzy, by mogła się pani utrzymać przez miesiąc, jeśli będzie pani nimi oszczędnie gospodarować. Na kopercie jest adres. Jeśli się pani tam uda i poprosi o pomoc, otrzyma ją bez żadnych pytań. To schronisko prowadzone przez osobę, która pragnie pomóc kobietom takim jak pani.

- Kobietom takim jak ja? -Wdowa zeszywniała.

- Kobietom, które życie zmusiło do wyjścia na ulicę - wyjaśniła Louisa.

- Jak pani śmie sugerować, że jestem zwykłą prostytutką? Za kogo się pani uważa?

Ciche, pełne furii słowa zostały wypowiedziane melodyjnym głosem dobrze wychowanej damy z wyższych sfer.

**140**

- Przepraszam - powiedziała skonsternowana Louisa. - Nie chciałam pani obrazić.

Kobieta bez słowa odeszła w noc, szeleszcząc fałdami czarnego, aksamitnego płaszcza.

Louisa patrzyła za nią, dopóki nie znikła. Potem wróciła do domu i zamknęła drzwi na klucz.

Rzuciła kopertę na stół w holu i ruszyła schodami na górę.

W uszach brzmiały jej słowa tamtej kobiety. „Za kogo się pani uważa?”

Wdowa powiedziała dokładnie to samo, co lord Gavin owej fatalnej nocy, ale nie o to chodziło. Zwrot był przecież dosyć popularny. „Za kogo się pani uważa?” Ludzie często tak mówili. To wściekłość, wibrująca w głosie tej kobiety, przejęła Louise lodowatym dreszczem.

Ona mnie chyba nienawidzi. Jak to możliwe? Jestem pewna, że nigdy dotąd jej nie spotkałam.

**23**

Louisa Bryce wzięła ją za uliczną dziwkę. Opanował ją gniew.

Chciała wrócić na Arden Square i zabić tę głupią kobietę. Powoli jednak wrócił jej zdrowy rozsądek. Zaczęła głęboko oddychać. Furia znikła.

Zajmę się nią, gdy przyjdzie na to pora.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę ulicy, gdzie łatwo mogła znaleźć dorożkę. Noc zawsze budziła wspomnienia.

Efekt działania chloroformu powoli mijał. Czowała się zdezorientowana, miała lekkie mdłości. Wydawało się jej, że się porusza. Najpierw nic nie rozumiała. Potem uświadomiła sobie, że jakiś mężczyzna niesie ją na rękach. Nie miała sił mu się wyrwać. Może to i lepiej. Instynkt podpowiadał jej, że bezpieczniej będzie udawać bezwładną i omdlałą.

**141**

Uchyliła jednak powieki. Nic nie widziała. Twarz miała zakrytą jakąś grubą tkaniną. Nagle zdała sobie sprawę, że cała jest nią ciasno owinięta. Nie mogłaby się poruszyć, nawet gdyby miała dość sił.

Poprzez tkaninę czuła na twarzy wilgoć i zapach rzeki. Ogarnęła ją panika.

Niosący ją mężczyzna stęknął z wysiłku. Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Zaczęła spadać głową w dół. Mimo materiału uderzenie o taflę wody było bolesne, jakby wpadła na kamienny mur.

Znalazła się pod wodą, czując lodowate zimno, przenikające ją do szpiku kości. Tkanina, którą ją owinięto, nie była chyba dobrze przywiązana. Poczowała, że zaczyna z niej spływać...

Dopiero później uświadomiła sobie, dlaczego Elwin nie związał

jej rąk i nóg przed wrzuceniem do wody. Chciał, by wszyscy sądzili, że popełniła samobójstwo. Gdyby wyciągnięto jej ciało z rzeki z więzami na rękach i nogach, nikt by w tę bajkę nie uwierzył.

Tamtej nocy sprzyjało jej szczęście. Hastings uciekł z miejsca zbrodni, gdy tylko pozbył się ofiary. Nie wiedział, że ktoś mu się przyglądał. Oblakany włóczęgą, gnieźdzący się w rozchwianej ruderze na brzegu rzeki, zobaczył wielki tobół, wrzucany w nurt. Zaciekawiony, podpłynął łodzią, by sprawdzić, czy nie znajdzie w nim czegoś, co mu się przyda.

Udało się jej wypłynąć na powierzchnię. Dziękowała Bogu, że w młodości nauczyła się pływać. Niewiele kobiet opanowało tę umiejętność. Ocaliło ją także to, że miała na sobie koszulę nocną.

Na szczęście spała, gdy Elwin rzucił się na nią z chloroformem.

Gdyby była ubrana w modną suknię, ciężar spódnicy i gorsetu pewnie pociągnąłby ją na dno.

Gdy wypłynęła na powierzchnię, zauważyła zarys łódki. Potem ktoś wyciągnął do niej wiosło.

Chwyciła je obiema rękami.

Jej wybawiciel był obłąkany. Twierdził, że słyszy anielskie głosy.

Ludzie go unikali, a i on rzadko z kimś rozmawiał. Dzięki temu nikt nie wiedział, że tamtej nocy ją uratował.

**142**

Pomylenie, przekonany, że jest niebiańską istotą powierzona jego opiece, traktował ją z najwyższą czcią. Pielęgnował ją w tajemnicy, dopóki nie doszła do siebie. Została u niego kilka tygodni, korzystając z jedzenia i dachu nad głową, które jej zapewnił, i snuła plany na przyszłość.

Oczywiście musiała się zabezpieczyć, więc zanim opuściła rudere, otruła starego głupca arszenikiem. W końcu nie mogła ryzykować. Zbyt wiele miała do stracenia. Nic nie mogło pokrzyżować jej planu...

Z determinacją porzuciła myśli o przeszłości. Zauważyła na ulicy dwukólkę. Wsiadła do niej i podała adres. Damy zwykle nie jeździły dwukólką. Powóz był zgrabny i lekki i dziwnym trafem kojarzono go z paniami lekkich obyczajów. Na szczęście w żałobnej sukni i welonie mogła zachować anonimowość. Nikt, kto znał ją jako żonę Elwina Hastingsa, teraz jej nie rozpozna.

Usiadła wygodnie i zacisnęła ręce w pięści. Jak Louisa Bryce śmiała uznać ją za tanią uliczną dziwkę?!

**24**

Dwukółka Hastingsa stała zaparkowana na końcu ciemnej ulicy.

Anthony siedział nieopodal w dorożce. Od prawie godziny obserwował drzwi klubu dla dżentelmenów, czekając, aż pojawi się w nich Elwin. Dochodziła trzecia nad ranem. Pogłoski o śmierci Thurlowa już chyba zaczęły krążyć. Jak zwykle najpierw pojawią się w klubach.

Anthony chciał zobaczyć, jak Hastings zareaguje na te wieści.

Nie spuszczał oka z drzwi, jednak myślami był przy Louisie.

Spodziewała się nieziemskiego przeżycia. Nie najlepiej się spisał

i mógł mieć o to pretensje tylko do siebie. Z drugiej strony z rozmysłem go oszukała, z tajemniczych powodów udając wdowę.

Gdyby jednak zachował choć odrobinę opanowania, uświadomiłby sobie, że całuje niedoświadczoną kobietę.

**143**

Niestety, gdy dzisiejszego wieczoru pocałował Louisę w ogrodzie Lorringtonów, jego opanowanie znikło. Na początku wmawiał sobie, że zrobił to, by ją uciszyć. Musiał też wobec nadchodzącej pary podtrzymać pozory, że łączy ich romans. Prawda jednak była taka, że pożądał jej od pierwszej chwili, gdy ją poznał.

Ognista reakcja Louisy odebrała mu resztki rozsądku. Świadomość, że go pragnie, wzbudziła w nim euforię. Jedyne, o czym my

ślał, to znaleźć jakieś ustronne miejsce, gdzie będą ze sobą sam na sam.

Z perspektywy czasu musiał przyznać, że stół do przesadzania roślin w oranżerii nie był specjalnie romantycznym miejscem. Nie ulegało też wątpliwości, że się haniebnie pośpieszył. Nawet bywa

ła w świecie kobieta miałaby w tych okolicznościach powody do narzekania. Niedoświadczona dama, która wiedzę o namiętności czerpała jedynie z romantycznych lektur i sztuk teatralnych, tym bardziej mogła poczuć rozczarowanie.

Po raz kolejny w ciągu ostatnich trzech kwadransów drzwi klubu się otworzyły. Pojawił się w nich Elwin. Znajoma postać w długim płaszczu i meloniku oderwała się od barierki, o którą była wsparta.

Mężczyzna odrzucił papierosa i zbliżył się do Hastingsa.

- Chce pan wracać? - spytał Quinby.

- Sprowadź dwukółkę - wychrypiął Hastings. - Dostałem wiadomość. Musimy natychmiast ruszać.

Anthony zastukał cicho w ścianę dorożki.

- Śpisz, człowieku?

- Nie - mruknął woźnica. - Tylko na chwilę przymknąłem oczy.

Quinby gwizdnął na dwukółkę. Gdy podjechała i stanęła przy frontowych drzwiach klubu, obaj mężczyźni szybko do niej wsiedli.

- Jedź za tą dwukółką w pewnej odległości - powiedział Stalbridge do woźnicy. - Nie chcę, żeby pasażerowie się zorientowali, że ich śledzimy, ale też nie możemy ich zgubić. Czeka cię spory napiwek, jeśli ci się uda.

- Niech się pan nie martwi. Na pewno nas nie zauważą.

**144**

Woźnica trzepnął konia po zadzie lejcami. Duża dorożka raczej nie nadażyłaby za dwukółką. Ale ta była lekka, więc pewnie i zgrabnie poruszała się po ulicy.

Po kilku zakrętach dorożka Hastingsa wjechała w starą dzielnicę z ciasnymi, słabo oświetlonymi

ulicami. Okna w domach były ciemne. Jedyne jaśniejszy punkt, mała tawerna, promieniowała żółtym światłem.

Co mogło skłonić Elwina do wyprawy w jeden z bardziej niebezpiecznych rejonów miasta?

Dwukółka zatrzymała się przed tawerną. Dorożka Anthony'ego stanęła w pewnej odległości od niej.

Hastings i Quinby wysiedli, nie zwracając uwagi na pojazd Anthony'ego. Strażnik wsunął rękę do kieszeni płaszcza. Anthony uświadomił sobie, że Quinby najwyraźniej nigdy nie rozstaje się z pistoletem.

- Miał czekać na końcu alejki. - Hastings zatrzymał się u wylotu ciemnej, wąskiej uliczki, biegnącej między tawerną i sąsiednim budynkiem. - Zapal latarnię. Pójdiesz pierwszy.

Mężczyzna bez słowa zapalił latarnię. Płomień oświetlił jego zimną, posępną twarz. Anthony patrzył, jak strażnik czujnie rozgląda się dookoła i zerka na dorożkę. Wiedział, że Quinby na pewno nie zauważy go w ciemności, a jednak to spojrzenie zjeżyło mu włosy na karku.

W końcu strażnik doszedł do wniosku, że dorożka nie stanowi na razie zagrożenia. Wyciągnął pistolet i poprowadził Hastingsa ciemnym przejściem.

Anthony wyjął z kieszeni pieniądze i podał je woźnicy.

- Oto obiecany napiwek - powiedział. - Dostaniesz następny, jeśli tu na mnie poczekaasz.

Dorożkarz sprawnie złapał pieniądze i schował do kieszeni.

- Poczekaam, bez dwóch zdań.

Stalbridge wysiadł i podszedł do wylotu alejki, w której zniknęli. Na jej końcu zobaczył słaby żółtawy odbłask latarni, trzymanej przez strażnika. Zauważył trzy postaci. Hastingsa, Quinby'ego **145**

i jeszcze jakiegoś osobnika. Dało się słyszeć przytłumiony szmer głosów, jednak nie można było zrozumieć słów.

Chwilę później latarnia zgasła. Rozległ się tupot butów na bruku. Hastings i Quinby wracali szybkim krokiem.

Anthony przyłgnął plecami do wnęki w murze. Elwin wypadł

z alejki niemal biegiem. Strażnik, który szedł za nim, w przeciwieństwie do swego pryncypała wydawał się spokojny.

Wsiedli do dwukółki. Woźnica ruszył i szybko odjechał.

Anthony odczekał jeszcze chwilę. Potem wyjął z kieszeni pistolet i ostrożnie wszedł w alejkę.

Na drugim końcu ponownie zapaliła się latarnia, oświetlając sylwetkę mężczyzny. Postać ruszyła szybkim krokiem ku wylotowi uliczki. Stalbridge szedł za nią, starając się poruszać jak najciszej.

Tamten musiał jednak coś usłyszeć albo po prostu się zdenerwował.

Odwrócił się nagle i wyjął papierosa z ust.

- Kto tam? - zapytał. Uniósł wysoko latarnię i rozejrzał się w półmroku. - To znowu pan, panie Hastings? Czego pan jeszcze chce? Powiedziałem już wszystko, co wiem. Przysięgam.

- Możesz więc też powiedzieć to mnie - rzucił Anthony i wszedł w krąg światła, by tamten mógł zobaczyć broń. - Zapłacę ci tyle samo albo i więcej niż Hastings.

Twarz mężczyzny wykrzywiła się ze strachu.

- Nic nie zrobiłem. Dlaczego chce mnie pan zabić? - spytał.

- Nie mam takiego zamiaru - odparł. - Broń wziąłem tylko na wszelki wypadek. Odniosłem wrażenie, że to niezbyt bezpieczna okolica. Jak się nazywasz?

Cisza.

- Naprawdę dostanę tyle, co od Hastingsa? - zapytał w końcu mężczyzna.

- Tak. - Anthony sięgnął do kieszeni, wyjął kilka monet i rzucił je na ziemię. Pieniądze zadźwięczały na kamieniach i błysnęły w świetle latarni. - Dostaniesz więcej, jeśli odpowiesz na moje pytania.

Mężczyzna spojrzawszy taksująco na monety.

**146**

- Co chce pan wiedzieć? - spytał.

- Przede wszystkim, jak się nazywasz?

- Mówią na mnie Slip\*.

- Dlaczego? - zdziwił się Anthony.

Mężczyzna wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu.

- Bo potrafię się prześlizgiwać niezauważony.

- Czy do tego wynajął cię Hastings? - spytał Anthony.

- Tak. Jestem, że tak powiem, zawodowcem. Wszyscy mnie tu znają. Hastings dał znać, że chce wynająć kogoś takiego jak ja. Zapłata mi odpowiadała, więc zgodziłem się wziąć tę robotę.

- Gdzie musiałeś się prześlizgiwać? - spytał Stalbridge.

- Robota była prosta - odparł Slip. - Miałem mieć na oku pewnego gościa. Patrząc, gdzie chodzi, obserwować, kto go odwiedza i takie tam.

- Gdzie mieszka ten dżentelmen?

- Na Halsey Street. Oszczędź pan sobie trudu i nie chodź tam.

Dziś po południu zabrano jego ciało. Zdaje się, że się zastrzelił. Powiadają, że nie mógł spłacić swoich długów.

- Czy Hastings wydawał się tym zdenerwowany? - spytał

Anthony.

- Gdy tu przyszedł, wiedział już o śmierci Thurlowa. Powiedział, że usłyszał o tym w klubie. O tak, był mocno poruszony.

Pewnie ma słabe nerwy.

- Posłałeś dziś Hastingsowi wiadomość do klubu - rzucił Stalbridge.

- Tak. Prosiłem o spotkanie, żeby przekazać ostatnie informacje na temat Thurlowa i zainkasować pieniądze.

- Co mu powiedziałaś? - spytał Anthony.

- Niewiele tego było. Ostatnią noc Thurlow spędził przy kartach, zresztą jak zwykle. O świcie wrócił do domu, pijany jak świnia. Widziałem, jak wszedł do środka. Potem wróciłem do siebie *Slip* - z ang. prześlizgnąć się, wślizgnąć (przyp. red.).

**147**

i pojawiłem się na Halsey Street dopiero o drugiej po południu. Pomyślałem, że Thurlow wstanie dopiero w południe albo i później, więc mam dużo czasu.

Slip pojawił się już po tym, jak wraz z Louisą opuścili dom Thurlowa, stwierdził Anthony. To dobrze. To znaczy, że ich nie widział.

- A co z gospodynią? - Spytał Stalbridge. - Wychodziła, gdy obserwowałeś dom Thurlowa?

- Nie, nie było jej w domu. Miała dziś wychodne.

- Co robiłeś, gdy dziś po południu wróciłeś na Halsey Street?

- Zobaczyłem konstabla przy drzwiach i tłum na ulicy. Ktoś powiedział, że jest tam też detektyw ze

Scotland Yardu, więc się ulotniłem. Mam zasadę, żeby nie kręcić się w pobliżu policji. To się zwykle źle kończy.

- Myślisz, że Thurlow rzeczywiście się zabił z powodu długów?

- Nie sądzę - odparł Slip. - Ostatniej nocy wygrał dużo pieniędzy i wracał do domu w doskonałym humorze. Musiał mieć inny powód, by się zastrzelić.

- Jak długo pilnowałeś go dla Hastingsa?

- Jakiś dzień czy dwa.

- Czy w tym czasie miał jakichś gości? - spytał Anthony.

- Jeśli miał, to chyba od tyłu.

- Proszę?

- To chyba jasne - powiedział Slip. - Stałem po drugiej stronie ulicy i miałem oko na dom. Ale stamtąd nie widać tylnego wejścia, nie?

Anthony zrozumiał, że zabójca musiał wejść kuchennymi drzwiami. Być może poprzedniej nocy śledził Thurlowa, a może znał go i wiedział, że tamten wróci do domu kompletnie pijany.

Thurlow położył się do łóżka otumaniony wypitym alkoholem.

Pewnie nawet się nie obudził, gdy zabójca wszedł do jego sypialni.

Morderca przystawił mu pistolet do głowy i pociągnął za spust.

Potem upozorował samobójstwo, zostawiając list pożegnalny. Dokładnie przeszukał dom i wyszedł tylnym wyjściem.

Skoro jednak Hastings wynajął Slipa, by pilnował Thurlowa, to nie on był mordercą. Anthony zamyślił się nad tym odkryciem.

**148**

**25**

Najwyraźniej poczuła się upokorzona, gdy zaoferowałaś jej pomoc - powiedziała Emma. - Z twego opisu wynika, że kiedyś musiała być szanowaną damą z dobrej rodziny. Niewątpliwie resztki dumy kazały jej odrzucić twoją hojność i przyjazny gest.

- Chyba masz rację - odparła Louisa, myśląc o spotkaniu z prostytutką ubiegłej nocy. - Wydawała się bardzo obrażona.



Siedziały w bibliotece i piły herbatę. Poranek wstał słoneczny, jednak wczesnym popołudniem napłynęła mgła, spowijając tumanem mały park i uliczki wokół Arden Square.

- To smutna i wcale nierzadka historia. - Emma sięgnęła po imbryk. - Często się o tym czyta w brukowej prasie. Tyle jest powodów, które zmuszają damy do wyjścia na ulicę. Śmierć albo choroba męża, bankructwo, długi, rozwód, brak rodziny. Każdy z nich może sprawić, że kobieta znajdzie się bez środków do życia.

- Wiem - odparła Louisa cicho.

- Tak, moja droga. - Przyjaciółka zmarszczyła brwi. - Nie zapominaj jednak, że choć dwa razy znalazłaś się w dramatycznej sytuacji, zdołałaś stanąć na nogi, nie uciekając się do prostytucji.

- To kwestia szczęścia - szepnęła Louisa.

- Nie - odparła stanowczo Emma. - Moja droga, to wcale nie było szczęście. Jesteś bardzo pomysłową kobietą. Gdy po śmierci ojca wierzyciele zabrali ci wszystko prócz jego książek, żeby się ratować, zajęłaś się handlem. A po tym okropnym wypadku z lordem Gavinem znów dałaś sobie radę. Zmieniłaś nazwisko, napisałaś sobie fikcyjne referencje i zwróciłaś się do agencji pośrednictwa pracy.

To nie szczęście, tylko twoja determinacja i pomysłowość uchroniły cię przed najgorszym. Nigdy o tym nie zapominaj.

Louisa uśmiechnęła się blado.

- Ty zawsze potrafisz poprawić mi humor.

Emma spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- Dlaczego kobieta, którą widziałas w parku zeszłej nocy, tak cię niepokoi?

**149**

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Wydaje mi się, że znalazła się w trudnej sytuacji zupełnie niedawno. Jej płaszcz był w dobrym gatunku i całkiem modny, podobnie jak welon i rękawiczki. Skoro po śmierci męża znalazła się w trudnej sytuacji finansowej, dlaczego wydała tyle pieniędzy na stroje żałobne?

- Być może dowiedziała się o swoim katastrofalnym położeniu dopiero jakiś czas po pogrzebie. To się często zdarza. Mężczyźni nigdy nie rozmawiają z żonami o sprawach finansowych. Wdowy dowiadują się o bankructwie poniewczasie.

- Tak. Cóż, w tej sprawie nic już nie można zrobić. - Louisa odstawiła filiżankę i otworzyła notes. - Jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałabym zadać ci jeszcze kilka pytań na temat Victorii Hastings.

- Proszę bardzo. - Emma przechyliła pytająco głowę. - Dlaczego się nią interesujesz?

- Pan Stalbridge podejrzewa, że Hastings zamordował nie tylko Fionę Risby, ale także ją. Przyszło mi do głowy, że skoro nie bardzo umiemy znaleźć motyw śmierci Fiony, może powinniśmy poszukać powodów, dla których Elwin zabił swoją żonę. Wydaje mi się, że musi być jakieś ogniwo, które łączy oba te morderstwa.

26

Tego popołudnia Louisa wybrała się do księgarni Digby'ego. Mgła zgęstniała jak mleko, ograniczając widoczność, jednak dziewczyna знаła drogę na pamięć.

Szła przez duży park i cieszyła się, że ma go dla siebie. W taki dzień jak ten nie było w nim dzieci z latawcami i niań z maluchami w wózkach.

Gdy wyszła z parku, znalazła się na mało ruchliwej ulicy. Powozy i tramwaje konne przesuwały się powoli we mgle niczym turkocząca flota statków widm. Niemal nie było widać przechodniów.

150

Przeszła pospiesznie przez ulicę i weszła do księgarni, przygotowana na ukłucie melancholii i lodowaty dreszcz, które zawsze czuła w tym miejscu. Widok półek zastawionych książkami i zapach skórzanych okładek nieodmiennie budziły stare wspomnienia i niedawne lęki.

Albert Digby, niewysoki, zgarbiony i łysiejący, odłożył ostatnie wydanie „Latającego Detektywa” i spojrzał na Louise sponad okularów. Jak zwykle wydawał się zirytowany wtargnięciem klienta.

- Ach to pani, pani Bryce - powiedział.

Louisa zwróciła się ze swoim zamówieniem do Digby'ego z dwóch powodów. Po pierwsze, był świetnie zorientowanym księgarzem, z rozległymi kontaktami wśród bibliofilów. Po drugie, w ciągu dwóch lat, gdy była właścicielką antykwariatu, nigdy go nie spotkała. Nie mógł więc jej rozpoznać.

- Dzień dobry, panie Digby. - Podeszła do lady. - Dostałam pańską wiadomość. Bardzo się cieszę, że w końcu udało się panu zdobyć dla mnie *Arystoteles* Woodsona.

- Niełatwo było uzyskać akurat ten egzemplarz, o który pani chodziło. A jednak, nie chwaląc się, udało mi się i to za całkiem dobrą cenę.

- Panie Digby, podziwiam pańską umiejętność targowania się.

- Przesadza pani. Młodego Glenninga książki w ogóle nie obchodzą i nie zamierza się nimi interesować. Z radością sprzedaje każdy tom, odziedziczony po ojcu. Zależy mu tylko na pieniądzach, które znalazły się w jego posiadaniu, gdy jego stary rozstał się z tym światem.

Digby kucnął za ladą. Gdy się wyprostował, trzymał w ręce paczkę, owiniętą papierem. Położył ją na drewnianej ladzie i powoli rozwinął, ukazując tomik oprawiony w czerwoną skórę.

Louisa poczuła dreszcz emocji. To chyba naprawdę była ta książka, o którą jej chodziło. Podniosła ją

i zaczęła przeglądać, niemal bojąc się uwierzyć swemu szczęściu.

Zyskała pewność, gdy zobaczyła notatki na marginesach. To nie był pierwszy z brzegu egzemplarz *Arystoteles* Woodsona, ale ten **151**

należący do jej ojca, który musiała sprzedać w zeszłym roku. Jedna z dwóch książek, które włożyła do walizki tamtej okropnej nocy.

Louisa zamknęła tom, starając się nie okazywać podniecenia.

- Bardzo się cieszę. Jak się panu udało go odnaleźć?

Digby spojrzał na nią z przebiegłą miną.

- Pani Bryce, w naszej branży mamy swoje sposoby.

- Rozumiem, to tajemnica. A w kwestii Milтона...

- Niech pani o nim zapomni. Mówiłem już, nowy właściciel oświadczył, że sprzeda go tylko za odpowiednią cenę. Pani Bryce, tak między nami, nie stać pani na tę książkę.

- Cóż, sytuacja może ulec zmianie. Tak jak w przypadku Glenninga. Zmarł, zostawiając *Arystoteles* synowi, który nie zna wartości tej książki i chce się jej pozbyć. Będę niezmiernie wdzięczna, jeśli od czasu do czasu przypomni pan właścicielowi Milтона, że ma klienta zainteresowanego tym woluminem.

- Pani Bryce, zrobię, jak sobie pani życzy, ale to strata mego czasu.

Louisa uśmiechnęła się do niego z determinacją.

- Dziękuję. - Spojrzała na leżącą na ladzie gazetę. - Widzę, że czyta pan „Latającego Detektywa”.

Digby się skrzywił.

- To brukowiec, taki jak inne. Z wyjątkiem „Timesa”, oczywi

ście. Kupuję go tylko wtedy, gdy jest w nim reportaż J.A. Fantoma.

- Aha.

- Dzisiaj Fantom opisuje fascynujący przypadek śmierci młodego dżentelmena. Okoliczności wskazują, że odebrał sobie życie.

Podobno był hazardzistą i miał ogromne długi. Fantom wspomina jednak, że według krążących plotek, mogło to być morderstwo.

Człowiek się zaczyna zastanawiać, ileż to morderstw pozostaje nie-wykrytych tylko dlatego, że

okoliczności wskazują na samobójstwo ofiary.

- To prawda.

Louisa zapłaciła za książkę i wyszła na ulicę. Mgła zrobiła się tak gęsta, że niemal nie było widać drzew w parku. Zaniepokoiła **152**

się, czy się nie zagubi. Pocieszyła się jednak, że niepotrzebnie się martwi. Wystarczy, że będzie się trzymać ścieżki i na pewno trafi do domu.

Przeszła przez ulicę i zanurzyła się we mgle.

Była już chyba w połowie drogi przez park, gdy usłyszała za sobą odgłos kroków na żwirowej ścieżce. Dłonie zrobiły się jej nagle lodowate. Dreszcz przebiegł jej po plecach i zjeżył włosy na karku.

Zatrzymała się i odwróciła szybko, wpatrując w bezkształtną, szarą mgłę. Nie widziała nic poza niewyraźnymi zarysami kilku najbliższych drzew. Słuchała uważnie przez kilka chwil, ale nie usłyszała żadnych kroków.

Ruszyła dalej, przyspieszając nieco kroku. Zaczynała ją ogarniać panika. Co się z nią dzieje? Ktoś szedł za nią ścieżką. I co z tego?

Park był ogólnodostępny.

Louisa zastanawiała się, czy jej przesadna reakcja nie oznacza, że nerwy zaczynają ją zawodzić. Powinna się wziąć w garść.

Znów usłyszała za sobą kroki. Próbowwała zachować spokój, jednak poczuła jeszcze większy lęk. Instynkt podpowiadał jej, by rzucić się do ucieczki. Jeśli jednak szedł za nią jakiś mężczyzna i zdecydowałby się ją gonić, na pewno nie zdołałaby mu uciec. Ubrana w suknię, nawet tak lekką jak ta, nie mogła biec szybciej niż on.

Olśniło ją nagle, że ten, kto za nią idzie, również jej nie widzi. Ta myśl powstrzymała narastającą falę paniki. Najrozsądniej będzie zejść ze ścieżki, schować się wśród drzew i poczekać, aż ten ktoś ją minie.

Jeśli był to niewinny przechodzień, tym lepiej. Jeśli to ktoś, kto chciał

wyrządzić jej krzywdę, zapewne uzna, że Louisa nadal znajduje się przed nim i pójdzie dalej. Tak czy inaczej, będzie bezpieczna.

Zeszła ze ścieżki i ruszyła ku ciemniejącym zarysom drzew. Wilgotna trawa tłumiła jej kroki. Dziewczyna schowała się za pnem i spojrzała na ścieżkę. Z mgły wynurzyła się złowroga postać, odziana w ciemny płaszcz, w kapturze nasuniętym na głowę.

Kobieta w czerni zatrzymała się, jakby nasłuchując. Po ciągnącej się w nieskończoność chwili

obróciła się i odeszła ścieżką, którą przyszła. Niemal natychmiast pochłonęła ją mgła.

**153**

Louisa długi czas stała nieruchomo. To chyba nie była ta sama kobieta, którą ubiegłej nocy widziała na Arden Square. Wszystkie czarne płaszcze są do siebie podobne. Nie mogła jednak uwolnić się od myśli, że tamta parająca się prostytutką wdowa dzisiaj ją śledziła.

Gdy już się uspokoiła, wyszła spomiędzy drzew, wróciła na ścieżkę i ruszyła w kierunku Arden Square.

Przeszła zaledwie kilka metrów, gdy zobaczyła kolejną postać, materializującą się w oparach mgły. Tym razem mężczyznę w ciemnoszarym płaszczu.

- Lady Ashton powiedziała, że najpewniej będziesz wracać ścieżką w parku - rzucił Anthony, podchodząc do niej. - Pomyśla

łem, że wyjdę ci naprzeciw.

Louisa poczuła niewysłowioną ulgę. Chwilę potem ogarnęła ją euforia. Wydawał się taki krzepki, pewny siebie i wspaniały. Elegancki wilk. Miała ochotę rzucić mu się na szyję.

- Wielkie nieba! Ależ mnie przestraszyłeś - powiedziała, opanowując targające nią emocje.

Anthony zatrzymał się przy niej i uniósł pytająco brwi.

- Przepraszam. Istotnie wyglądasz na zaniepokojoną. Czy coś się stało?

- Nie. - Louisa obejrzała się przez ramię. Po postaci w żałobie nie było śladu. - Przed chwilą widziałam pewną kobietę, ale już znikła. To zresztą nieważne.

- Pozwolisz, że to poniosę. - Mężczyzna wziął paczkę, którą trzymała pod pachą. - Lady Ashton mówiła, że poszłaś po zakupy.

Widzę, że kupiłaś książkę.

- Tak.

- Powieść sensacyjną, w której roi się od schadzek, sekretnych romansów i tym podobnych? - zasugerował.

- Nie. - Rozdrażniona kpina, Spiorunowała go wzrokiem. - Co tutaj robisz?

Ujął ją pod ramię.

**154**

- Mężczyzna, który nie odwiedza damy następnego ranka, nie ma prawa uważać się za dżentelmena - powiedział.

- Następnego ranka po czym? - spytała, nadal myśląc o kobiecie w żałobie.

Anthony zrobił smutną minę.

- Louiso, jestem zdruzgotany. To chyba niemożliwe, żebyś już zapomniała naszą schadzkę w oranżerii Lorringtonów? - rzucił.

Zabrakło jej tchu. Poczowała rumieniec na policzkach.

- Ach, tamto - wykrztusiła.

- Moja słodka, zachowuj się tak dalej, a zapadnę się pod ziemię, przytłoczony brzemieniem upokorzenia.

- Na litość boską... Myślę, że powinniśmy zmienić temat.

- Jeśli twoim celem jest uzmysłowienie mi ogromu mojej porażki, zapewniam, że dalsze słowa są zbędne. Jestem w pełni świadom, jak bardzo się nie popisałem. Przyszedłem dzisiaj między innymi po to, by prosić o wybaczenie.

- Nie powinieneś się winić - odparła Louisa rzeczowo. - Dużo myślałam o tym incydencie i zdaję sobie sprawę, że w dużej mierze to ja jestem winna.

- Bo nie ostrzegłaś mnie, jak bardzo jesteś pod pewnym względem niedoświadczona? - spytał.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Nie. Chodzi mi o to, że chyba zbyt wiele się spodziewałam.

Obawiam się, że zbyt wiele zawierzyłam płomiennym opisom autorów powieści i sztuk teatralnych. Wszystkie te śliczne bzdury o najwyższym uniesieniu i niebiańskiej rozkoszy. Powinnam była wiedzieć, że rzeczywistość im nie dorówna.

- Moim zdaniem powinnaś się powstrzymać od wniosków, dopóki nie przeprowadzisz jeszcze kilku eksperymentów.

- Hm - bąknęła Louisa.

Anthony chwycił ją mocno za ramię.

- I nalegam, byś eksperymentowała tylko ze mną.

Z nieznanых powodów groźny ton jego głosu bardzo ją ucieszył. Czyżby był odrobinę zazdrosny?

- Dlaczego? - spytała niewinnie. - Wykażę się chyba bardziej naukowym podejściem, jeśli powtórzę doświadczenie z szeregiem innych dżentelmenów.

Zatrzymał się nagle i odwrócił do niej.

- Drwisz sobie ze mnie - powiedział Anthony spokojnie.

- Oczywiście.

- Przestań. Żadnych kpin w tej kwestii.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się lekko.

- Jeśli się mylę, ubiegłego wieczoru odniosłem wrażenie, że **nie** miałaś nic przeciwko moim pocałunkom.

Louisa się zarumieniła.

- Nie. Pod tym względem nasza schadzka była bardzo przyjemna.

- Miło mi to słyszeć.

Silną, ciepłą dłonią objął dziewczynę za szyję, powoli przyciągnął

ją do siebie i pocałował. Niespiesznie, namiętnie rozpałał pocałunkiem wszystkie jej zmysły. Ogarnęło ją podniecenie. Objęła go ręką za szyję i poddała się rozkosznym wrażeniom, przenikającym całe jej ciało. Potrzebowała pocałunków Anthony'ego jak powietrza.

Chwilę później ją uwolnił. Znów brakowało jej tchu, choć tym razem nie ze strachu.

- Być może autorzy powieści mylą się co do finału całej sprawy.

Mają jednak absolutną rację, gdy piszą o rozkoszy zakazanych poca

łunków - oznajmiła zachwycona.

Anthony uśmiechnął się do niej tajemniczo.

- Uznaję to za znak, że nasz romans przybiera lepszy obrót.

- Ujął ją pod ramię i poprowadził ścieżką w kierunku domu. - Dalsze eksperymenty muszą jednak poczekać. Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie.

- Nasze śledztwo?

- Tak, to też. Przy okazji, mam powody wierzyć, że Hastings nie zamordował Thurlowa - powiedział.

- Co takiego?

- Wynajął człowieka, by miał go na oku. Nie sądzę, by to robił, gdyby miał zamiar go zabić - wyjaśnił Stalbridge.

**156**

- Dobry Boże - westchnęła. - To oznacza, że albo Thurlow naprawdę odebrał sobie życie, albo...

- Albo zamordował go kto inny. Zakładam to drugie, ale najpierw musimy się uporać z pewnym zaproszeniem.

Prychnęła ze zniecierpliwieniem.

- Kolejna nudna impreza towarzyska?

- Nie. Nie mogę pani zagwarantować dobrej zabawy. Obiecuję jednak, że na pewno nie będzie się pani nudzić.

- Do licha, o czym pan mówi? - spytała zdumiona.

- Moja matka zaprasza panią na podwieczorek jutro po połu

dniu - odparł.

Louisa zatrzymała się gwałtownie, absolutnie przerażona.

- Pańska matka? To niemożliwe.

- To było nieuniknione. Doszły do niej plotki o nas - powiedział.

- Ale nas łączy romans - zaprotestowała. - Matki nigdy nie goszczą u siebie kobiet, z którymi ich synowie utrzymują potajemne kontakty.

- Nie zna pani mojej matki.

**27**

Anthony poczekał, aż jedyny poza nim klient w księgarni Digby'ego wyjdzie. Odłożył książkę, którą przeglądał i podszedł do lady.

Digby siedział za biurkiem. Nie podniósł oczu sponad katalogu białych kruków.

- Czego pan sobie życzy? - mruknął.

- Chciałbym kupić książkę dla mojej drogiej przyjaciółki, która się tu zaopatruje - odparł Stalbridge.

- To ma być niespodzianka na specjalną okazję. Moja przyjaciółka ma doskonałe rozeznanie w



rzadkich książkach. Niestety, mnie tej wiedzy brakuje. Pomyśla

łem, że mógłby mi pan pomóc wybrać coś, co ją naprawdę ucieszy.

Digby tylko parsknął i przewrócił stronę.

- Jak się nazywa pańska przyjaciółka? - mruknął.

**157**

- Louisa Bryce.

Digby niechętnie odłożył katalog i westchnął poirytowany.

- Och! Ta dama jest prawdziwym utrapieniem.

- Dlaczego?

Digby szerokim gestem wskazał półki z książkami.

- Nic w moim sklepie jej nie interesuje. Ona czyta tylko romanse sensacyjne. Tu takich nie ma. Ja handluję rzadkimi, cennymi książkami.

- Myślałem, że przychodzi tu właśnie po to, by kupować rzadkie książki.

- Dla niej liczą się tylko dwie książki. Obie niezwykle trudne do zdobycia - powiedział ponuro Digby. - Jest bardzo wybredna.

I wymagająca. Mało, że pierwsze wydanie, to jeszcze konkretne pierwsze wydanie. Akurat ich nie mam.

- Mniemam, że jednak się panu poszczęściło. Pokazała mi egzemplarz książki o Arystotelesie, którą pan dla niej zdobył.

Digby z irytacją szarpnął bokobrody.

- Udało mi się skłonić jej właściciela do sprzedaży tylko dlatego, że nie interesuje się rzadkimi książkami i nie wiedział, ile ta książka jest warta. Z właścicielem Milтона nie poszło mi tak łatwo. Nawet jeśli zdołałbym go przekonać do sprzedaży, to, według jego słów, cena stanowczo przekraczałaby możliwości pani Bryce.

- A gdybym sam porozmawiał z tym kolekcjonerem, może udałoby mi się skłonić go, by sprzedał tę książkę mnie - zasugerował Anthony. - Zechce pan zdradzić mi jego nazwisko?

Digby zerknął podejrzliwie.

- Pani Bryce mnie zleciła zdobycie dla niej owej książki. Niech mnie diabli, jeśli powierzę tę

sprawę panu.

- Oczywiście zapłaciłbym panu prowizję, w uznaniu jego nieocenionej pomocy.

Digby nie wydawał się zachwycony.

- Nawet jeśli podam panu nazwisko tego kolekcjonera, mało prawdopodobne, że zdoła pan skłonić go do sprzedaży książki.

**158**

- Zapłacę prowizję bez względu na to, czy uda mi się nabyć tę książkę dla pani Bryce - rzucił Anthony.

Digby zmarszczył brwi ponad okularami.

- Będzie ją pan musiał zapłacić, zanim podam panu nazwisko właściciela.

- Oczywiście - zgodził się Stalbridge.

Półtorej godziny później Anthony został wprowadzony do biblioteki tak zastawionej stosami książek, że z trudem odnalazł jej właściciela. Gospodyni znikła, zanim zdążył poprosić o wskazówki.

- Lordzie Pepper? - powiedział głośno w przestrzeń.

- Tutaj - odezwał się mrukliwy głos spoza ogromnego regału.

- Przy oknie.

Anthony przecisnął się przez labirynt ułożonych na dywanie stosów książek i minął kilka rzędów półek.

Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna wstał zza wielkiego mahoniowego biurka. Miał na sobie schludne, choć nieco staromodne ubranie. Jego siwiejące włosy i bokobrody od dawna nie widziały fryzjera. Uśmiechnął się szeroko, błyskając złotym zębem.

- Panie Stalbridge, jak miło pana widzieć. - Wskazał krzesło, na którym piętrzyły się oprawne w skórę tomy. - Niech pan siada, niech pan siada. Miejmy nadzieję, że moja gospodyni przyniesie nam herbatę.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną zobaczyć tak bez uprzedzenia. - Anthony podniósł stos książek z krzesła i spojrzał na gospodarza. - Gdzie mam to położyć?

- Gdziekolwiek na podłodze.

Łatwo powiedzieć, pomyślał Stalbridge. Znalazł w końcu skrawek dywanu niezastłany książkami i postawił na nim swój stos. Potem wrócił do krzesła i usiadł.

Lord Pepper zajął miejsce za biurkiem.

- Jak się ma pański ojciec, młody człowieku? - spytał.

- Doskonale. Prosił, bym przekazał pozdrowienia i upewnił się, że nadal jest pan zadowolony ze swego patentowanego sejfu Apollo.

**159**

Pepper uśmiechnął się z sympatią w kierunku szafy pancерnej, stojącej przy biurku.

- Ależ bardzo zadowolony. Mam do niego absolutne zaufanie.

Aczkolwiek mogę wkrótce potrzebować kolejnego. Ten jest już pełny.

- Ojciec ucieszy się, gdy się o tym dowie.

To właśnie sejf sprawił, że udało mu się przekroczyć próg domu lorda Peppera. Gdy wspomniiał ojcu nazwisko właściciela Miliona, Marcus natychmiast je rozpoznał. „Znam Peppera od lat. On uwielbia książki”, powiedział.

Pepper oparł dłonie na biurku.

- O co chodzi z tym Miltonem? Czyżby zaczął pan kolekcjonować książki?

- Nie - odparł Anthony. - Chciałbym go nabyć w prezencie dla mojej drogiej przyjaciółki.

- Ach, tak. - Pepper zrobił chytrą minę. - Cóż, chyba nie mogę pomóc panu w tej kwestii. Ta książka to jeden z moich najcenniejszych tomów. Trzymam ją w moim sejfie.

Stalbridge spodziewał się takiej odpowiedzi. Rozsiadł się wygodniej, zdecydowany uzyskać to, po co tak naprawdę tu przyszedł, a mianowicie informacje.

- Rozumiem - powiedział. - Najwyraźniej będę musiał gdzie indziej poszukać prezentu dla mojej przyjaciółki.

- Nie znajdzie pan drugiego egzemplarza pierwszego wydania Miliona w tak dobrym stanie - oznajmił z dumą Pepper i kiwnął

głową w kierunku sejfu. - Zdobyć go zajęło mi całe lata.

- Zechce pan zaspokoić moją ciekawość i opowie, jak to się sta

ło, że trafił w pana ręce? - spytał Anthony.

W oczach Peppera zaśniął błysk zadowolenia.

- Doszły mnie słuchy, że znajduje się w prywatnej kolekcji pewnego dżentelmena, niejakiego

George'a Barclaya. Raz czy dwa kontaktowałem się z nim za jego życia, jednak odmawiał sprzedaży.

- I co się stało?

**160**

- To bardzo smutna historia. Barclay odebrał sobie życie, pozostawiając masę długów. Córka była jego jedyną krewną i wszystko po nim odziedziczyła. Musiała sprzedać dom i ruchomości, ale udało się jej zatrzymać książki po ojcu. Dzięki temu, o czym mało kto wie, ta młoda dama otworzyła niewielki antykwariat.

Anthony'ego przeszył lodowaty dreszcz. Zamarł w bezruchu.

- Antykwariat? Czy przypadkiem nie Antykwariat Barclaya?

- Ach, widzę, że zna pan część tej historii. Oczywiście miejsce stało się sławne, gdy został tam zamordowany lord Gavin. - Pepper rozparł się na krześle i pokręcił ze smutkiem głową. - To naprawdę straszne.

- Morderstwo?

- To też. Ale miałem na myśli nędzny koniec panny Barclay.

Barclayowie to stara, szacowna rodzina. Nie wątpię, że George Barclay przewracał się w grobie, gdy jego córka upadła tak nisko i zajęła się handlem.

- Zdaje się, że nie zostawił jej wielkiego wyboru - powiedział

Anthony obojętnie. - Po spłaceniu długów ojca miała niewiele możliwości utrzymania się.

- Tak, w zasadzie ma pan rację. Tym niemniej wielka szkoda.

Myślałem, że młoda dama będzie się bardziej szanować.

A co miała zrobić? - zastanawiał się Stalbridge. Wyjść na ulicę?

Skończyć w przytułku? Skazać się na nędzne, ale dumne życie guwernantki albo damy do towarzystwa?

Z wysiłkiem opanował gniew. Upomniał się, że przyszedł tu, by zdobyć informacje, a nie dyskutować o niesprawiedliwości spo-

łecznej.

- Proszę, niech pan kontynuuje. Przyznaję, że bardzo mnie pan zaciekał.

- Gdzie to ja skończyłem? Ach, tak, na Antykwariacie Barclaya. Mieścił się w biednej części miasta. Panna Barclay miała jednak ogromną wiedzę na temat rzadkich książek dzięki ojcu, który był zapalonym kolekcjonerem. Jej sklep przyciągał więc zamożną klientelę i po jakimś czasie zaczął nawet przynosić **161**

zyski. Potem niestety zamordowała swojego kochanka, lorda Gavina i popełniła samobójstwo. - Pepper cmoknął z dezaprobatą.

- Straszna tragedia.

- Czy pan znał pannę Barclay?

- Nie. Barclayowie nie obracali się w towarzystwie. Nie mia

łem okazji jej poznać.

- A lord Gavin? Czy jego pan znał?

- Niezbyt dobrze. Był członkiem mojego klubu, ale rzadko go widywałem. O ile dobrze pamiętam, miał upodobanie do siedemnastowiecznych książek, ale nie jestem pewien.

**28**

Anthony wysiadł z dorożki, zapłacił woźnicy i wszedł po schodach Muzeum Straszliwej Zbrodni należącego do J.T. Tuttingtona.

Nad wejściem widoczny był też mocno wyblakły szyld „Antykwariat Barclaya”.

Pchnął przeszkłone drzwi. Zadźwięczał dzwonek.

Wnętrze było dosyć ciemne. Na regałach stało jeszcze kilka ksią

żek. Wyższe półki zasnuwały już pajęczyny. Za ladą siedziała młoda kobieta w skromnej sukni i gustownym, białym czepku. Przyjrzała się jego kosztownemu ubraniu i szybko odłożyła tanią powieść sensacyjną.

- J.T. Tuttington? - spytał grzecznie Anthony.

Dziewczyna zachichotała.

- To mój ojciec. Ja nazywam się Hannah Tuttington. Opiekuję się muzeum, gdy nie ma ojca.

Stalbridge kiwnął głową.

- Miło mi panią poznać, panno Tuttington.

Hannah Tuttington zarumieniła się, słysząc tak uprzejme powitanie.

- W czym mogę panu pomóc?

162

- Jak rozumiem, rozegrała się tu skandaliczna zbrodnia.

Kobieta szeroko otworzyła oczy.

- Tak jest. To straszne, krwawe wydarzenie. W tym właśnie domu kobieta z zimną krwią zamordowała swego kochanka. Życzy pan sobie, żebym go oprowadziła?

- Tak, proszę. - Anthony wyjął z kieszeni kilka monet i położył

na ladzie.

Hannah zgarnęła pieniądze.

- Proszę tędy. Zaczniemy od tylnego wejścia. Tymi drzwiami wchodził przystojny lord Gavin, gdy odwiedzał swą kochankę późną nocą.

Dziewczyna wyszła zza lady i poprowadziła Anthony'ego na tyły dawnej księgarni.

Stalbridge zerknął przelotnie na książkę, którą czytała Hannah Tuttington. Na okładce widniał ponury rysunek martwej kobiety, leżącej u stóp schodów. U ich szczytu stał groźnie wyglądający mężczyzna z ociekającym krwią nożem w ręce. Tytuł brzmiał: *Historia straszliwego morderstwa Frances Hades, prostytutki.*

Powoli przeszedł do tylnego wejścia, rozglądając się po domu i chłonąc atmosferę tego miejsca.

- Widzę, że zachowali państwo książki po poprzednim właścicielu - powiedział na widok schowanych pod schodami pudeł

z zakurzonymi tomami.

- Niewiele już zostało. Tata sprzedał większość, jak tylko objął sklep. Przez pierwsze kilka dni po morderstwie przychodziło tu mnóstwo dziwnych ludzi i chciało kupować książki.

Spojrzał na nią pytająco.

- Jak to dziwnych?

Hannah skrzywiła się w grymasie.

- Mówili tacie, że są kolekcjonerami. Nie uwierzy pan, jakie ceny gotowi byli płacić za stare, zakurzone książki. Kto by pomyślał, że są chętni na takie rzeczy? Tata miał nadzieję, że po miesiącu będziemy bogaci, ale wkrótce te cudaki przestały przychodzić.

- I zostały tylko te książki? - Wskazał pudła.

163

Hannah spojrzała na nie posępnie.

- Czasami ktoś kupi którąś na pamiątkę, ale nie płaci tyle, co tamci. Większość książek sprzedaje się za grosze.

- Czy dużo macie zwiedzających?

- Teraz już o wiele mniej niż w ciągu pierwszych kilku miesięcy po morderstwie - westchnęła kobieta. - Ostatnio interes kiepsko idzie. Tata dwoi się i troi, żeby przyciągnąć ludzi do muzeum, ale mamy coraz większą konkurencję. Nie ma tygodnia, żeby gazety nie pisały o kolejnym skandalicznym morderstwie albo samobójstwie. Tata zastanawia się, czy nie zmienić branży.

- To dobry pomysł - rzucił Anthony. - Proszę mi opowiedzieć o morderstwie.

Hannah odchrząknęła i zaczęła dramatycznym tonem:

- Morderczyni nazywała się Joanna Barclay. Była bardzo piękna, miała długie blond włosy i śliczne niebieskie oczy. Przystojny i zawsze elegancki lord Gavin był jej kochankiem.

- Skąd pani wzięła opisy ich wyglądu? - spytał.

Kobieta zamrugła ze zdumienia.

- No, oczywiście z gazet i powieści sensacyjnych. Zapewniam pana, że każdy szczegół jest oparty na faktach.

- Oczywiście. Proszę kontynuować.

- W noc owych straszliwych wypadków Joanna Barclay usłysza

ła, jak przystojny lord Gavin puka trzy razy do kuchennych drzwi.

Hannah zastukała pięścią w drzwi, starając się, by zabrzmiało to odpowiednio złowrogo.

- Skąd pani wie, że zapukał trzy razy? - spytał Anthony.

- To był ich sekretny szyfr.

- Jeśli był sekretem, to jak pani się o nim dowiedziała?

Kobieta zmarszczyła brwi, znów zbita z tropu pytaniem.

- Tata przeczytał o takim szyfrze w powieści sensacyjnej.

Anthony pokiwał głową.

- To takie wiarygodne źródło informacji.

- Panna Barclay zeszła na dół, by powitać swego przystojnego kochanka, ubrana tylko w koszulę nocną, szlafrok i ranne pantofle

- ciągnęła Hannah grobowym tonem.

**164**

- Skąd pani wie, co miała na sobie? Czy informację o tym zaczerpnęła pani z brukowej prasy?

- Tata mówi, że zwiedzający lubią, gdy im się opowiada takie szczegóły - wyznała kobieta. - Więc niektóre sama wymyślam.

Dzięki temu historia staje się ciekawsza.

- To bardzo pomysłowe z pani strony.

- Dziękuję - ucieszyła się Hannah. - Jak mówiłam, śliczna Joanna Barclay zeszła po schodach, gotowa na schadzkę pełną zakazanej namiętności. Otworzyła te właśnie drzwi, by powitać swego eleganckiego kochanka.

Anthony obejrzał zamek. To był stosunkowo nowy model, sprzedawany dopiero od niedawna. Zainteresowały go ślady na drewnie wokół zamka. Zauważył rysy, dziury i zarys poprzedniego, o wiele większego mechanizmu.

- Czy to ten zamek znajdował się na drzwiach, gdy popełniono morderstwo? - spytał.

- Nie, nie. - Hannah zmarszczyła brwi, najwyraźniej zdumiona pytaniem. - Gdy tata wynajął ten sklep, musiał zamontować nowy, bo stary został wyłamany.

- Czy wiadomo, jak to się stało? - spytał.

Kobieta bezradnie pokręciła głową.

- Skąd ja mam to wiedzieć?

- Nieważne.

Hannah odchrząknęła i po raz kolejny podjęła opowieść.

- Owej fatalnej nocy, wpuściwszy do środka swego przystojnego kochanka, Joanna Barclay obdarzyła lorda Gavina niezwykle namiętym pocałunkiem, wzięła go za rękę i poprowadziła schodami na górę. Nie wiedział, że idzie na spotkanie ze śmiercią.



- O tak, wątpię, czy przeczuwał, jaki spotka go los - zgodził się Anthony, oglądając schody.

- Proszę za mną. Pokażę panu ich miłosne gniazdko.

Hannah ruszyła schodami, prowadzącymi do pokoi na górze.

Anthony szedł za nią, wsłuchując się w skrzypienie starych stopni.

Ta kobieta wcale nie zeszła na dół, by otworzyć Gavinowi drzwi.

Słyszała, jak rozbił zamek, a potem jego kroki na schodach, pomyślał.

## 165

Na piętrze Hannah wskazała dłonią przytulny salonik. Anthony zauważył, że był skromnie umeblowany. Fotel do czytania, stół, lampa i ciężki kufer. Mały pokój samotnej osoby.

- Wszystko ustawione tak jak w noc morderstwa - zapewniła kobieta. - Jak już mówiłam, Joanna Barclay przyprowadziła swego nieszczęsnego kochanka właśnie do tego pokoju, posadziła go wygodnie i podała mu kieliszek wina.

Stalbridge spojrzał na stół.

- Nie widzę kieliszka. Skąd pani wie, że dała mu coś do picia?

- Kochankowie zawsze piją razem wino.

Anthony pokiwał głową.

- Powinienem o tym pomyśleć.

- A potem wybuchła gwałtowna kłótnia. - Hannah zniżyła głos do teatralnego szeptu.

- Czy ten fragment też pani wymyśliła?

- To zupełnie logiczne, że się pokłócili - wyjaśniła cierpliwie kobieta. - Z jakiego innego powodu miałyby go zamordować?

- Doskonałe pytanie. Czy ktoś słyszał krzyki?

Hannah westchnęła.

- Nikt wtedy tu obok nie mieszkał.

- A dlaczego się pokłócili? - spytał Anthony.

- Prasa podała, że lord Gavin powiedział panie Barclay, iż chce ją rzucić, gdyż znalazł sobie inną - ciągnęła.

- Ale dlaczego znalazł sobie inną?

- Dlaczego? - powtórzyła Hannah skonsternowana. - Bo...

bo pewnie się mu znudziła, tak myślę. Była przecież jego kochanką. A dżentelmenom kochanki szybko się nudzą. Wszyscy o tym wiedzą.

- Proszę mówić dalej.

- Dobrze. - Kobieta wyprostowała się i dramatycznym gestem wskazała przejście ukryte za zasłoną. - Joanna Barclay po raz ostatni zaprosiła lorda Gavina do swej alkowy. Wszedł tam, nie wiedząc, że nie opuści tego pokoju żywy.

## 166

Anthony podszedł i odsunął zasłonę. Stała tam mała toaletka i szafa; obok wąskie łóżko. Pościel i narzuta zostały odrzucone na bok i odpowiednio skłębione, zapewne by zasugerować żywiołowe, namiętne uściski. Na dywanie widać było wyblakłe, rdzawe plamy.

- Po ostatnim namiętym uścisku lord Gavin zasnął - wyjaśniła Hannah. - Joanna Barclay wstała z łóżka, podniosła pogrzebacz, który pan widzi tam obok koszuli nocnej, i brutalnie uderzyła w głowę swego nieszczęsnego kochanka.

W nogach łóżka leżała pomięta skromna koszula nocna z białego batystu, przybrana wąską koronką.

- Czy pani zmieniała pościel? - spytał.

- Nie. Gwarantuję, że wszystko w tym pokoju wygląda tak, jak zastał to mój tata, i nic się nie zmieniło od chwili otwarcia muzeum. Od czasu do czasu strzepnę pościel i koszulę nocną i odkurzę meble, ale to wszystko.

Anthony podszedł do łóżka i pochylił się nad nim.

- Na pościeli nie ma śladów krwi. Czy pani je sprząła?

- Nie. - Hannah zmarszczyła brwi. - Nie przypominam sobie żadnych śladów na pościeli.

- Pewnie dlatego, że są na dywanie - rzucił Stalbridge od niechcienia.

Kobieta zastanawiała się chwilę nad tą nieścistością, a potem się rozpromieniła.

- Pewnie lord Gavin obudził się w chwili, gdy Joanna Barclay zamierzyła się na niego i zsunął się z łóżka na dywan, na próżno usiłując uniknąć ciosu.

- To rzeczywiście przekonująca teoria.

Otworzył szafę. Znalazł w niej dwie spłowiałe suknie i parę butów.

Wrócił do salonu i przykucnął obok kufra. Solidny zamek nie był zamknięty. Anthony uniósł wieko i zajrzał do środka. Kufer był

pusty.

- Co znajdowało się w kufrze? - spytał.

167

Hannah zmarszczyła brwi i zamyśliła się głęboko.

- Jeśli coś w tym kufrze było, znikło, zanim tata wynajął to miejsce. Dlaczego pan pyta?

- Z ciekawości. Zresztą to nieistotne.

- No cóż, gdy Joanna Barclay zamordowała lorda Gavina w ten przerażający sposób, załamała się nerwowo i gorzko zaszlochiała

- podjęła opowieść Hannah.

Joanna Barclay wyposażyła kufer w kosztowny zamek. Cokolwiek się w nim znajdowało, musiało być dla niej bardzo cenne. Zamek nie został wyłamany, tylko otwarty przez kogoś, kto albo miał

klucz, albo wytrych, snuł dalej swoje rozważania Anthony.

- Podobno popełniła samobójstwo - rzucił i się wyprostował.

- Właśnie dochodziłam do tego momentu. - Kobieta wzdrygnęła się teatralnie. - Jak już mówiłam, Joanna Barclay po zamordowaniu swego przystojnego kochanka załamała się. Ogarnęła ją czarna rozpacz. Poszła nad rzekę, rzuciła się z mostu i utonęła. Znaleziono jej kapelusz z piórem, zaczepiony o jakąś wystającą z wody gałąź.

- Ale ciała nigdy nie odnaleziono - zauważył Stalbridge.

- Nie. Nie odnaleziono.

- Dziękuję, panno Tuttington. Ta wycieczka była bardzo pouczająca.

- Cieszę się, że się panu podobała - powiedziała Hannah.

Chwilę później Anthony opuścił muzeum Tuttingtona. Zastanawiał się, co znajdowało się w tamtym kufrze i dlaczego kobieta, która zamierzała odebrać sobie życie, zadała sobie trud, by zabrać ze sobą jego zawartość. Pomyślał, że od ponad roku obsesyjnie szukał

odpowiedzi na pytania związane ze śmiercią Fiony. Nadal ich nie znalazł. Teraz z jakiegoś powodu jego uwagę zaczęła pochłaniać zagadka, dotycząca innej kobiety.

Wpływy i wydatki za cały miesiąc pięknie się zbilansowały, znów wykazując spory zysk. Madame Phoenix odłożyła pióro i zamknęła księgę rachunkową. Ulepszenia, które poczyniła dzięki funduszom od nowych inwestorów, zaczynały się spłacać, tak jak przewidziała.

Zbliżała się północ. Z dużego salonu na dole dochodziły rubaszne męskie śmiechy. Panowie raczyli się doskonałym szampanem i brandy, pieczoną kaczką, kanapkami z homarem i innymi smakowitymi przekąskami oraz trunkami, dzięki którym Dom Feniksa stał się najelegantszym domem schadzek w Londynie.

Nie tylko jedzenie przyciągało uwagę bogatych, znudzonych mężczyzn, którzy przychodzili tu każdej nocy. Madame Phoenix doskonale zdawała sobie sprawę, że główną atrakcją były wykwintne kurtyzany, z którymi się tu do woli zabawiali.

Kobiety zatrudnione w Domu Feniksa nie były zwykłymi ulicznicami. To wykształcone damy o nienaganych manierach. Większość pochodziła z dobrych domów. Wdowy i panny, które zostały bez środków do życia lub usiłowały spłacić długi po mężu. Łączyło je jedno. Wszystkie z takich czy innych powodów stanęły wobec perspektywy skrajnej nędzy. Zamiast ulicy czy rzeki wybrały Dom Feniksa.

Ktoś zastukał trzy razy do drzwi.

- Wejść - powiedziała madame i odwróciła się do drzwi.

W progu stanęła młoda, ładna pokojówka, ubrana w obcisłą suknię i podkreślający piersi gorset. Dygnęła wdzięcznie.

- Madame, przybył klient, o którego pani pytała, i jest właśnie prowadzony do pokoju.

- Dziękuję, Betsy. Możesz wrócić do gości.

- Tak, madame. - Dziewczyna dygnęła i znikła.

Madame Phoenix poczekała, aż zamkną się za nią drzwi i podeszła do stojącego pod ścianą regału.

Pociągnęła ukrytą dźwignię. Część półek odchyliła się na bok, odsłaniając wąskie przejście oświetlone wątym płomieniem kinkietu. Weszła do środka i zamknęła ściankę za sobą.

Pierwszy właściciel domu kazał zbudować ukryte przejścia, bo nie lubił, gdy służba kręciła się po schodach i korytarzach. Dzięki nim służba mogła bez przeszkód poruszać się po domu, nie wchodząc

w drogę gospodarzowi i jego gościom.

Poprzednia właścicielka domu publicznego wykorzystała ukryte przejścia w inny sposób. Pozbywszy się swojej poprzedniczki, madame Phoenix kontynuowała tę tradycję. W korytarzach tu i tam wycięto w ścianach niewielkie otwory, dzięki którym można było zajrzeć do przyległych pomieszczeń. Po drugiej stronie otwory sprytnie zamaskowano. Goście w pokojach nie mieli pojęcia, że czasami dostarczają rozrywki tym, którzy zapłacili za podglądanie.

Tylko najlepszych klientów informowano o możliwości popatrzenia, jak inni goście oddają się cielesnym uciechom. Opłata była oczywiście słona, jednak jak dotąd wszyscy, którym zaoferowano tę usługę, uznali, że warto za nią zapłacić.

Madame zeszła wąskimi schodkami na końcu korytarza. Skręci

ła w kolejny korytarz i zatrzymała się przy otworze w ścianie.

Pokój po drugiej stronie oświetlała mocno przykręcona lampa gazowa. Ściany i sufit obito czarnym aksamitem. Na środku stało łóże, zasłane prześcieradłami z czarnego jedwabiu. Z czterech słupów, podtrzymujących baldachim, zwisały obszyte czarnym aksamitem kajdany.

Pod jedną ze ścian stała przeszklona szafka. Znajdował się w niej zestaw pejców i różne dziwne akcesoria.

Drzwi do pokoju się otworzyły. Prowokacyjnie ubrana pokojówka wprowadziła klienta do środka.

- Panna Justine rozkazała, że ma się pan rozebrać, złożyć porządnie ubranie, położyć się na łóżku twarzą w dół i czekać, aż ona raczy przybyć - powiedziała pokojówka.

- Tak jest. - Klient ochoczo pokiwał głową.

**170**

Pokojówka wyszła, zamknęła drzwi i z głośnym szczękiem przekręciła klucz w zamku.

Klient rozebrał się z wyraźnym entuzjazmem. Złożył równo ubranie i położył je na komodzie. Był już w pełni podniecony. Nie ociągając się, położył się na łóżku twarzą w dół.

Klucz w zamku znów zazgrzytał. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich wysoka kobieta w skromnej, ciasno zasznurowanej sukni.

Wyglądała jak guwernantka.

- Stań obok łóżka - powiedziała kobieta oschłym, znudzonym tonem.

- Tak, panno Justine.

Klient posłusznie wstał.

- Podejdz do szafki z przyborami wychowawczymi i wybierz pejcz. Myśle, że tym razem jakiś duży. Widzę, że nie złożyłeś swego ubrania tak porządnie, jak powinienes. Należy cię ukarać.

- Tak, panno Justine.

Mężczyzna otworzył szafkę i wyjął dyscyplinę.

- Pocałuj pejcz i podaj mi go. A potem zasłoń sobie oczy.

- Tak, panno Justine.

Klient posłusznie pocałował rączkę dyscypliny i podał ją kobiecie. Potem podszedł do stołu, wziął z niego szarfę z czarnego jedwabiu i zawiązał ją wokół głowy, zasłaniając oczy.

- Połóż się na łóżku. Twarzą w dół.

- Tak, panno Justine.

Mężczyzna po omacku dotarł do łóżka i położył się na czarnych prześcieradłach. Gdy już zamarł w bezruchu, kobieta powoli obesła łóżko, zatrzymując się przy każdym słupie, i zapięła mu kajdany na rękach i nogach. Potem ujęła pejcz.

Madame Phoenix odwróciła się od wizjera w ścianie i ruszy

ła z powrotem do swego gabinetu. Nie znajdowała przyjemności w obserwowaniu, jak kobieta wymierza karę Elwinowi Hastingsowi.

Temu draniowi sprawiało to zresztą rozkosz. I słono za to płacił.

Madame przeszła ukrytym korytarzem do swoich prywatnych apartamentów.

**171**

W Domu Feniksa wszystko układało się doskonale. Na horyzoncie pojawił się jednak pewien problem. Chyba trzeba się będzie zająć Louisą Bryce. Zadawała zbyt wiele pytań.

Madame otworzyła drzwi swego apartamentu. Mężczyzna czekał już na nią, takjak się spodziewała.

- Kochanie - westchnęła i z uśmiechem rzuciła mu się w ramiona.

Pocałował ją namiętnie i żarłocznie. Palcami odnalazł zapięcie jej sukni. Parę minut później pociągnął ją na łóżko.

**30**

Wybrali tę karczmę ponad rok temu, gdyż znajdowała się na uboczu i mogli się w niej spotykać niezauważeni. Jak zwykle usiedli przy stoliku w najdalszym końcu sali. Z tego miejsca Anthony i

Fowler mogli swobodnie obserwować wejście.

W karczmie serwowano wyśmienitego kurczaka w czerwonym winie. Lista trunków również była znakomita. Główną zaletą tego lokalu było jednak to, że znajdował się na małej, nieuczęszczanej uliczce, oddalonej od Scotland Yardu. Fowler nie musiał się obawiać, że zauważą go tu koledzy z policji.

- Mówiłem już panu w zeszłym roku, że zamordowanie Gavina i samobójstwo panny Barclay nie mają związku ze śmiercią panny Risby i pani Hastings - rzucił Fowler i nadział na widelec kawałek kurczaka.

Anthony uświadomił sobie, że musi bardzo uważać przy zadawaniu pytań. Między nimi nawiązała się nić przyjaźni. Fowler nie przestawał jednak być detektywem.

- Na pewno ma pan rację - powiedział. - Tym niemniej wydaje mi się intrygujące, że w ciągu zaledwie miesiąca tyle kobiet zdecydowało się rzucić do Tamizy. Co pan wie o lordzie Gavinie?

Fowler prychnął pogardliwie.

**172**

- Moim zdaniem dobrze, że nie ma go już wśród żywych. Moi koledzy też tak sądzą. Wygląda także na to, że wdowa po Gavinie jest zachwycona, iż uwolniła się od tego łajdaka.

Anthony'ego zdumiał zapalczywy ton detektywa. Powoli opuścił widelec.

- Nic pan o tym nie wspominał, gdy rozmawialiśmy o Gavinie w zeszłym roku - powiedział.

- Bez obrazy, ale wtedy jeszcze dobrze pana nie znałem. - Fowler sięgnął po kieliszek i wypił łyk wina. - Niech pan pamięta, że dopiero co się spotkaliśmy. Powiedziałem panu tyle, ile było trzeba, by udowodnić, że między sprawą Gavina i śmiercią Fiony Risby nie ma żadnego związku.

- Rozumiem. Teraz wzbudził pan moją ciekawość. Dlaczego cieszy pana, że Gavin już nie żyje?

Fowler uniósł pytająco brwi.

- Pan go znał?

- Tylko przelotnie - odparł Anthony. - Widywałem go od czasu do czasu w klubach, ale się nie przyjaźniliśmy.

Detektyw zerknął na sąsiednie stoliki, by się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

- Powiedzmy, że lord Gavin był znany policjantom, prowadzącym dochodzenia w sprawie morderstw - rzucił.

Anthony'emu nagle zrobiło się zimno.

- Nie słyszałem żadnych plotek na ten temat - powiedział.

- Oczywiście, że nie. Moi zwierzchnicy bardzo uważali, żeby zachować wszystko w tajemnicy. Gavin byłby wściekły, gdyby wyszło na jaw, że go podejrzewamy. Poleciałyby głowy. Wszyscy związani ze sprawą zostaliby zdegradowani.

- Rozumiem.

- To, co panu za chwilę powiem, to tajemnica - ostrzegł Fowler.

- Daję panu moje słowo.

Detektyw kiwnął głową.

- W porządku. Kilka miesięcy przed śmiercią Gavina właścicielka sklepiku z rękawiczkami, młoda wdowa, która odziedziczyła **173**

interes po mężu, została zgwałcona i niemal śmiertelnie pobita.

Ekspedientka znalazła ją w stanie szoku i wezwała policję.

- Proszę mówić dalej.

- Kobieta jako napastnika wskazała lorda Gavina - ciągnął Fowler.

Stalbridge znieruchomiał.

- Prasa nic o tym nie wspominała.

- Oczywiście, że nie - parsknął policjant. - Sprawa została natychmiast zatuszowana. Właścicielka sklepiku nie była zbyt wiarygodnym świadkiem. Miała romans z żonatym mężczyzną i słyszano, jak kłóciła się ze swoim kochankiem.

Anthony odłożył widelec na talerz.

- Uznano więc, że to on pobił ją w ataku zazdrości. A kobieta wolała wskazać lorda Gavina jako winnego niż ujawnić nazwisko swego kochanka - dopowiedział Stalbridge.

- Właśnie - zgodził się Fowler. - W końcu ofiara załamała się i przyznała, że skłamała, iż to Gavin ją zaatakował.

- Chyba nie powie mi pan, że przypadkiem usłyszała jego nazwisko i dlatego je podała? - spytał Anthony.

- Nie. Gavin był jednym z jej klientów. W tygodniu poprzedzającym napaść kupił u niej dwie pary rękawiczek.



- Rozmawiał pan z Gavinem?

- Poprosiłem go o rozmowę, ale odmówił. Nie miałem dowodów, a jedyny świadek zmienił zeznania, nie mogłem więc nic zrobić.

- Przeczuję, że na tym opowieść się nie kończy - powiedział

Anthony.

- Niestety, nie - odparł detektyw z posępną miną. - Miesiąc później pewna niezamężna, samotnie mieszkająca kobieta została znaleziona martwa w mieszkaniu nad jej sklepem. Została zgwałcona, pobita i zakłuta nożem.

Stalbridge odsunął talerz. Stracił apetyt.

- Prasa pisała o tym morderstwie. O ile pamiętam, nikogo nie aresztowano - rzucił.

**174**

- Bo nie było dowodów. Ofiara nie mogła nam niczego powiedzieć, bo nie żyła. Mnie jednak zaniepokoiły podobieństwa do poprzedniej sprawy. W końcu znalazłem świadka, który widział mężczyznę, odpowiadającego rysopisowi Gavina, jak raz czy dwa wchodził do sklepu w dniach poprzedzających zbrodnię. Ale to było za mało, żeby móc działać.

- Co pan zrobił? - spytał Anthony.

Fowler rozłożył ręce.

- Chciałem skierować policjanta, by przez jakiś czas miał Gavina na oku. Moi przełożeni obawiali się jednak, że lord to zauważy i poskarży się, gdzie trzeba.

- I co dalej?

- Miesiąc później miało miejsce kolejne, podobne morderstwo.

Anthony uniósł brew.

- Kolejna samotna właścicielka sklepu?

- Tak. Tym razem mieliśmy zeznania sąsiadki ofiary. Podobno w tygodniach poprzedzających zabójstwo sklepikarka zwierzała się jej, że jeden z kupujących dżentelmenów napawa ją lękiem. Czynił

się niestosowne awanse, a gdy go odtrąciła, bardzo się rozgniewał.

Potem zaczęły się różne drobne incydenty.

- Jakie?

- Owa kobieta znalazła, wsunięty pod drzwi, obrzydliwy rysunek nagiej dziewczyny rozplątanej nożem.

- Łajdak - powiedział cicho Anthony.

- Innym razem ofiara odkryła w swoim łóżku szczura z odciętą głową. Pościel była przesiąknięta jego krwią.

- Przypuszczam, że powiązanie tych incydentów z Gavinem było niemożliwe?

Fowler pokręcił głową.

- Niestety.

- Niech mi pan opisz miejsce zabójstwa Gavina - poprosił

Stalbridge.

**175**

- Gdy dotarły do mnie informacje, że odkryto jego ciało w mieszkaniu nad Antykwariatem Barclaya, natychmiast się tam udałem. Znalazłem list pożegnalny panny Barclay.

- Coś jeszcze? - spytał Anthony.

- Pogrzebacz ze śladami krwi i włosów.

- To wszystko?

- Jeszcze jedno - wycedził Fowler i starannie odłożył widelec.

- Prasa o tym nie pisała, bo zatailiśmy ten fakt przed reporterami.

Na podłodze obok łóżka leżał nóż. Oczywiście można uznać, że to panna Barclay, rozbiwszy Gavinowi głowę pogrzebaczem, zamierzała jeszcze zakłuć go nożem. Naturalnie, by mieć pewność, że nie wyjdzie z tego żywy.

- Pan tak jednak nie uważa - rzucił Anthony.

- Nie. Przypuszczam, że nóż wypadł z ręki napastnika, gdy kobieta uderzyła go pogrzebaczem.

Obraz Joanny Barclay walczącej o życie z mężczyzną, uzbrojonym w nóż, przejął Anthony'ego lodowatym dreszczem. Uświadomił sobie, że zaciska ręce w pięści. Z wysiłkiem rozluźnił palce.

- Poszedł tam, żeby ją zgwałcić i zabić - powiedział cicho.

- Jestem tego pewien. Przejrzałem kwity i księgę przychodów panny Barclay. Gavin kupił u niej trzy książki przy trzech różnych okazjach. Widzi pan, działał według pewnego schematu. Wybierał samotne kobiety, które w nikim nie miały oparcia. Sklepiarki, których jego zdaniem nikt specjalnie nie będzie żałował. Kobiety o skromnych dochodach, których pozycja w hierarchii społecznej była o wiele niższa niż jego.

- Łajdak.

- A także niebezpieczny szaleniec - dodał Fowler. - Miałem już z takimi do czynienia wcześniej. Myślę, że na początku tylko bił

swoje ofiary, ale potem przestało mu to wystarczać do zaspokojenia niezdrowej żądz.

- Więc zaczął je mordować.

- I robiłby to nadal, gdyby panna Barclay go nie powstrzymała

- rzucił detektyw. - Moim zdaniem wysyłając Gavina na tamten **176**

świat, ta kobieta wszystkim nam wyświadczyła ogromną przysługę.

Szkoda, że nie żyje. Zapewne odebrała sobie życie, bo obawiała się, że zostanie skazana za morderstwo.

- I nie były to obawy nieuzasadnione, jeśli wziąć pod uwagę jej niską pozycję społeczną. - Anthony spojrział Fowlerowi prosto w oczy. - Obaj wiemy, że gdyby rodzina Gavina zażądała dla niej wyroku śmierci, to na pewno na tym by się skończyło.

Detektyw uniósł krzaczaste brwi.

- Niestety panna Barclay nie mogła wiedzieć, że żona Gavina za nim nie przepadała. A jego rodzina w skrytości ducha cieszy się, że drań już nie żyje. Podejrzewam, że mieli powody obawiać się jego napadów szaleństwa.

- Skąd pan to wie? - spytał Anthony.

- Rozmawiałem ze służbą. Dopóki żył Gavin, w jego domu dziwnie często zmieniały się służące.

**31**

Anthony wyszedł z klubu krótko po północy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wezwać dorożki, ale porzucił tę myśl. Mgła sprawiła, że pojazdy poruszały się w żółtym tempie. W taką pogodę i szybkie dwukółki z trudem przedzierały się przez gęste, nieprzeniknione opary.

Piechotą szybciej dotrze do celu. Zresztą najlepiej mu się myślało, gdy spacerował, a dzisiejszego wieczoru musiał przemyśleć wiele rzeczy.

Postawił kołnierz płaszcza i zaczął schodzić po schodach. Tuż przed nim zatrzymała się dwukółka. Chwiejąc się na nogach, wysiadła z niego znajoma osoba. Julian Easton, pijany jak zwykle.

Fatalne wyczucie czasu, pomyślał Anthony. Powinienem był wyjść z klubu pięć minut wcześniej.

- Stalbridge! - Julian chwycił się żelaznej poręczy schodów, by utrzymać równowagę. - Już wychodzisz? Nie musisz uciekać z mojego powodu.

**177**

- Nie uciekam.

Ruszył w dół schodów. Julian stanął przed nim, zagradzając mu przejście.

- Wybierasz się do wdówki na Arden Square? - Twarz Eastona wykrzywił szyderczy uśmiezek. - Bądź łaskaw pozdrowić ją ode mnie.

Anthony zatrzymał się w pół kroku.

- Stoisz mi na drodze. Byłbym wdzięczny, gdybyś się odsunął.

- Widzę, że ci śpieszno, by się z nią zobaczyć. - Julian zachwiał

się na nogach. - Zastanawiam się, jak szybko się zorientuje, że wykorzystujesz jej naiwność.

- Dlaczego nie wejdiesz do środka i nie wypijesz kolejnej butelki wina?

- To nie w porządku, że używasz jej jako przykrywki dla romansu z cudzą żoną, nie sądzisz?

- Sądzę, że powinieneś te dywagacje zachować dla siebie - powiedział cicho Anthony.

- Dlaczego miałbym to robić, gdy tylu ludzi chce rozwiązać pewną zagadkę? - Julian spojrzał na niego chytrze. - W niemal każdym klubie na St. James są przyjmowane zakłady. Zdumiewające, jak wielu dżentelmenów jest ciekawych, z czyją żoną się zabawiasz, równocześnie chowając się za niemodną spódnicę pani Bryce.

- Zejdź mi z drogi.

Twarz Eastona wykrzywiła się gniewem.

- Nie próbuj mnie znów atakować, łajdaku. Mam przy sobie pistolet! Umiem się obronić.

- Lepiej uważaj. W takim stanie prędzej odstrzelisz sobie nogę.

A teraz nalegam, byś zszedł mi z drogi.

- Niech mnie diabli, jeśli się ruszę.

Anthony chwycił Juliana za ramię i odepchnął go na bok.

Easton wpadł na poręcz schodów. Uchwycił się jej pospiesznie, żeby nie upaść. Gdy odzyskał równowagę, Stalbridge zszedł już na chodnik.

**178**

Podjechał następny powóz, z którego wysiadło trzech mężczyzn w strojach wieczorowych. Przyglądali się scenie z zaciekawieniem i rozbawieniem.

- Czyja to żona? - zawołał Julian głośno, z rosnącą furją. -

Komu w tym klubie przyprawiasz rogi?

Anthony się nie obejrzał. Spokojnym krokiem ruszył przez spowite mgłą ulicę.

W tej części miasta paliły się liczne latarnie. Ich światła jarzyły się jak żółte kule, ale w mglistą noc nie na wiele się zdały. Powozy i dorożki na ulicach pojawiały się i znikwały. Nawet stukot kopyt i turkot kół był przytłumiony. Mgła pochłaniała światło i tłumiła dźwięki.

Anthony pomyślał, że dobrze by było opowiedzieć Louisie o zakładach, robionych w klubach. Zatrzymał się na rogu i sprawdził, która godzina. Pewnie już śpi, ale chyba życzyłaby sobie, by ją obudził i przekazał jej tę najświeższą informację. Zawsze mu przecież mówiła, że powinni ze sobą ściśle współpracować.

Zastanawiał się, jak będzie wyglądała o tej porze, ubrana w szlafrok i pantofle, z włosami wsuniętymi pod mały biały czepik albo może rozpuszczonymi na ramiona. Uśmiechnął się do siebie. Skręcił za róg i ruszył w kierunku Arden Square.

Nie od razu zwrócił uwagę na echo kroków za plecami. W pobliżu klubu na ulicy było wielu pieszych, jednak w spokojniejszej okolicy już zdecydowanie mniej.

To nie odgłos kroków go zastanowił, ale fakt, że ktoś szedł za nim w tym samym tempie co on. Ktokolwiek to był, utrzymywał

między nimi pewną odległość. Anthony stanął, żeby to sprawdzić.

Osoba za nim przeszła jeszcze kilka kroków i nagle się zatrzymała.

Ruszył dalej. I znów dał się słyszeć odgłos kroków.

Stalbridge skręcił za róg i znalazł się na Arden Square. Słaby blask ulicznych latarni oświetlał fronty domów. Mały park pośrodku placu tonął w ciemnościach.

Zatrzymał się. Idąca za nim osoba również. Przeszedł przez ulicę i ruszył do parku, dyskretnie

oglądając się przez prawe ramię.

Zobaczył postać w długim płaszczu i meloniku.

179

Anthony wszedł do parku i skierował się na żwirową ścieżkę.

W zamglonym świetle księżyca widać było tylko ciemne pnie drzew i zarysy krzewów.

Usłyszał za sobą pospieszne kroki. Chwilę później rozległ się chrzęst żwiru.

Stalbridge zdjął płaszcz i kapelusz. Gdy dotarł do posągu nimfy na środku parku, zarzucił płaszcz na ramiona figury i włożył jej kapelusz na głowę.

Wszedł na trawnik i ukrył się w cieniu. Spojrzał na swoje dzieło.

Za dnia nikt nie dałby się nabrać, ale w bladej poświacie księżyca ubrana w płaszcz i kapelusz rzeźba wyglądała jak mężczyzna, który zatrzymał się na chwilę, by sobie ulżyć.

Czekał. Kroki były teraz szybsze i nieco nerwowe, jakby śledzący mężczyzna obawiał się, że zgubił swoją ofiarę.

Wysoka postać wynurzyła się z cienia, rzucanego przez potężne drzewo. Mężczyzna zatrzymał się o kilka kroków od figury i uniósł

rękę.

Anthony zdążył tylko zauważyć, że tamten ma w ręce pistolet, gdy usłyszał szczęk odwodzonego kurka. Chwilę później rozległ się huk wystrzału, spotęgowany hałasem, gdy kula trafiła w kamień.

Napastnik przeładował broń i wystrzelił jeszcze raz. Gdy postać w płaszczu i kapeluszu nie upadła na ziemię, mężczyzna się zdenerwował. Zaczął uciekać żwirową ścieżką.

Stalbridge rzucił się za nim. Słyszając za sobą kroki, mężczyzna się zawahał, odwrócił i wystrzelił na oślep.

Pocisk trafił w pień pobliskiego drzewa. Anthony'emu przyszło do głowy, że pościg to chyba nie najmądrzejsze rozwiązanie. Miał

wprawdzie przy sobie rewolwer, ale nie zamierzał strzelać do człowieka, nie wiedząc z kim ma do czynienia. Z ociąganiem zatrzymał

się na skraju parku, patrząc, jak napastnik znika w ciemnościach.

- Niech to diabli - zaklął.

Odgłosy wystrzałów nie przeszły niezauważone. W okolicznych domach, z wychodzących na plac okien na piętrze rozległy się okrzyki przerażenia.

**180**

Anthony wrócił do kamiennej nimfy po kapelusz i płaszcz.

Kryjąc się w cieniu drzew, żeby nie dostrzegli go wyglądający przez okna mieszkańcy, przeszedł przez park i przeciął ulicę.

Pomyślał, że nie powinien iść teraz do Louisy. A jednak nogi same zaprowadziły go pod jej drzwi. Powinna przecież usłyszeć relację z przebiegu wypadków. W końcu jest reporterką. Poza tym bardzo chciał się z nią zobaczyć.

Nie musiał stukać kołatką. Zanim podniósł rękę, drzwi otworzyły się gwałtownie. W progu stała Louisa, zerkając czujnie przez szkła okularów.

- Dobry Boże, co się stało? Słyszałam strzały. Zbiegłam na dół, wyrzłam przez okno i zobaczyłam, jak przechodzisz przez ulicę.

Nic ci się nie stało? Co tu robisz? Czy ktoś cię zaatakował?

Na jej widok ogarnęła go radość.

Miałem rację, pomyślał z dziwną satysfakcją. Ubrana w szlafrok i pantofle wyglądała rozkosznie zachęcająco. I znał już odpowiedź

na najważniejsze tego wieczoru pytanie. Louisa na noc rozpuszczała włosy.

**32**

Ależ on do ciebie dwa razy strzelał. - Przerażona wpatrywała się w tył jego płaszcza. - Mogłeś zginąć.

- W chwili, gdy strzelał, nie miałem płaszcza na sobie. - Anthony podszedł do stolika, na którym stała karafka z brandy i nalał sobie szklaneczkę. Przyglądał się, jak Louisa unosi płaszcz do światła, by po raz kolejny się przekonać, że w materiale są dwie dziury. Gniew i troska dziewczyny wydały mu się dziwnie wzruszające, ale rozbawił go jej brak logiki. - Przecież mówiłem pani, że powiesiłem płaszcz na posągu.

- Uspokój się, moja droga - powiedziała Emma łagodnie. - Pan Stalbridge wyjaśnił ci już, że nie miał go na sobie, gdy do niego, a właściwie do płaszcza, strzelano.

**181**

- Nie o to chodzi. - Louisa rzuciła płaszcz na oparcie kanapy i gwałtownie odwróciła się do Anthony'ego. - Nie powinieneś być

tak ryzykować. Samotnie chodzić nocą po mieście. Czy postradałeś rozum?

Stalbridge przełknął łyk brandy i opuścił szklaneczkę.

- Sądziłem, że to spokojna okolica - rzucił.

- Owszem, spokojna, co nie oznacza, że możesz tak po prostu włóczyć się tu o każdej porze dnia i nocy, prowokując do napaści każdego rzezimieszka.

- To nie byle rzezimieszek strzelał do mojego płaszcza - powiedział cicho.

Kobiety spojrzały na niego.

- Do licha, co chcesz przez to powiedzieć? - wyszeptała Louisa.

- Jestem niemal pewien, że to był Hastings. - Anthony urwał

i zamyślił się chwilę. - Choć równie dobrze mógł to być Easton.

- Pokręcił głową. - Zdaje mi się jednak, że Julian był zbyt pijany, żeby śledzić mnie we mgle, a cóż dopiero odbezpieczyć i wycelować pistolet. Nie miałem absolutnej pewności, więc sam nie strzelałem.

- Wielkie nieba! - zawołała Louisa, szeroko otwierając oczy.

- Nosisz przy sobie broń?

- Kupiłem rewolwer, gdy byłem w Ameryce. Tam posiadanie broni jest czymś normalnym. Po przedwczesnym zgonie Thurlowa uznałem za stosowne nosić broń przy sobie. - Anthony wzruszył

ramionami. - Ale dzisiejszego wieczoru nie byłbym w stanie trafić w jakikolwiek ruchomy cel. Nie w tej mgle. W trakcie podróży po Dzikim Zachodzie wielokrotnie przekonałem się, że rewolwery są bardzo niecelne. Chyba, że strzela się z bliskiej odległości.

- Och, to bardzo niepokojący obrót wypadków. - Emma westchnęła.

- Dlaczego uważasz, że to był Hastings? - spytała Louisa.

Stalbridge zamyślił się na chwilę.

- Ten sam wzrost i sposób poruszania się. Szedł za mną od samego klubu, czekając na odpowiednią okazję.

**182**

- Okazję, żeby cię zamordować. - Zatrwożona dziewczyna opad

ła na krzesło. - Dobry Boże. On wie, że jesteśmy na jego tropie.



- Niekoniecznie - odparł Anthony. - Chyba bardziej prawdopodobne jest to, że domyślił się, iż toja zabrałem z jego sejfu naszyjnik oraz dzienniki i listy, wykorzystywane do szantażu. W tej chwili wie tylko tyle, ale to wystarczy, by się nie na żarty zdenerwował. Nie ma pojęcia, co zamierzam zrobić z naszyjnikiem i całą resztą.

Louisa zmarszczyła brwi.

- Dlaczego przyszedłeś tutaj o tak późnej porze?

- Chciałem cię ostrzec, że w klubach zawiera się pewne niewybredne zakłady.

Emma spojrzała na niego zaniepokojona.

- Jakie zakłady? - spytała.

Anthony zacisnął dłoń na szklaneczce z brandy.

- Dżentelmeni obstawiają, z którą mężatką mam **w tej chwili** romans.

Lady Ashton zmarszczyła brwi.

- Sądziłam, że wszyscy są przekonani, iż pan ma romans z Louisą.

- Easton rozpowiada, że wykorzystuję niewinną damę, to znaczy Louise, by ukryć mój prawdziwy związek z żoną jakiegoś dżentelmena - wyjaśnił cicho Stalbridge.

- To absurd - powiedziała Louisa rzeczowo. - Nie jestem przecież niewinną damą.

Anthony przyjrzał się jej uważnie. Tak samo Emma. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Dziewczyna zadarła podbródek.

- Jestem korespondentką „Latającego Detektywa”.

Kątem oka Anthony zauważył, jak lady Ashton wznosi oczy do góry. Przełknął duży łyk brandy.

- Czy moglibyśmy wrócić do ważniejszej kwestii? Ktoś do ciebie strzelał; - Louisa miała gniewny ton.

- Oczywiście. - Kiwnął głową. - Można chyba przyjąć, że to dobry znak.

**183**

- Dobry znak? -jęknęła cicho. - Ktoś próbował cię zamordować!

- I nie udało mu się. - Anthony zamyślił się na chwilę. - Uderzył na ślepo i to był błąd. Następnym razem będzie ostrożniej szy, ponieważ wie, że mam się teraz na bacności.

- Następnym razem? - Louisa zamarła z przerażenia.

- Rozchmurz się, moja słodka. - Mężczyzna odetchnął głęboko, czując dreszcz zadowolenia. - Zdaje się, że robimy postępy.

- Jak możesz nazywać robieniem postępów to, że omal nie zostałeś zamordowany? - spytała z oburzeniem.

Emma spojrzała na Anthony'ego uważnie.

- Jeśli pan się nie myli, jeśli to Hastings próbował pana dzisiaj zabić, wynika z tego, że musiał go pan wytrącić z równowagi. Jest przerażony, skoro posunął się do próby zastrzelenia kogoś tak wysoko postawionego jak pan. Zdaje sobie przecież sprawę, jakie by to wywołało poruszenie.

Stalbridge zakołysał szklaneczką z brandy.

- Taką właśnie mam nadzieję. W strachu ludzie popełniają głupie błędy.

33

Muszę pani powiedzieć, że poczuliśmy ogromną ulgę, gdy usłyszeliśmy plotki o pani i Anthony - wyznała Clarice radośnie.

Louisa potknęła się o kamień na ścieżce. Zachwiała się i zanim odzyskała równowagę, omal nie wypuściła parasolki z dłoni.

- Ulgę? - wykrztusiła, świadoma, że w pierwszej chwili musiała chyba w bardzo nieelegancki sposób otworzyć ze zdumienia usta.

Spacerowała z Clarice po rozległym ogrodzie za domem Stalbridge'ów. Anthony został w środku z rodzicami.

Nie pierwszy raz Louise speszył komentarz kogoś z tej rodziny. Działo się to nieustannie od chwili, gdy godzinę temu Anthony 184

wprowadził ją do eleganckiego salonu w swoim rodzinnym domu i dokonał prezentacji.

Nic nie odbyło się tak, jak się spodziewała. Mimo jego zapewnień obawiała się lodowatej dezaprobaty. A została powitana z niezwykłym entuzjazmem. Nikt nie wydawał się przerażony plotkami sugerującymi, że łączy ich romans. Nikogo nie szokowało, że jest korespondentką „Latającego Detektywa”. Państwo Stalbridge'owie i Clarice zachowywali się nadzwyczaj miło. Wydawali się nią wręcz zachwyceni.

Odkrycie, że obie panie są gorącymi zwolenniczkami Ruchu Na Rzecz Racjonalnego Sposobu Ubierania Się, było kolejną przyjemną niespodzianką.

Niby dlaczego oczekiwałam, że rodzina Anthony'ego będzie taka jak inne? - pomyślała Louisa. Emma

ostrzegęła mnie, że wszyscy Stalbridge'owie to ekscentrycy.

Oczywiście starała się być czujna. Ze względu na swoją przeszłość nie powinna z kimkolwiek nawiązywać bliższej więzi. Jednak nie mog

ła nic na to poradzić, że natychmiast polubiła Clarice. Już od tak dawna nie miała przyjaciółki w podobnym do niej wieku. Przyjaźń była niebezpiecznym luksusem, gdy nosiło się w sercu okropny sekret.

- Cieszymy się, że Anthony się panią zainteresował. Bardzo się o niego martwiliśmy - wyjaśniła dziewczyna. - W zeszłym roku po śmierci narzeczonej obsesyjnie uczeplił się myśli, że została zamordowana. Przez wiele tygodni był w strasznym stanie. Szczerze mówiąc, zaczęliśmy się o niego bać.

- Rozumiem.

Clarice od niechcienia zakręciła parasolką.

- Gdy po kilku miesiącach przekonano go do porzucenia śledztwa, myśleliśmy, że dał sobie wreszcie spokój. Ale dwa tygodnie temu nagle na nowo zaczął dochodzenie. Zrozumieliśmy, że nadal jest opętany myślą, iż Fiona została zamordowana. A potem usłyszeliśmy pogłoski o waszym romansie. W mamę i tatę wstąpiła nowa nadzieja. We mnie też.

- Dobry Boże.

**185**

- Teraz, gdy mieliśmy okazję zobaczyć was razem, jest dla nas oczywiste, że plotki były jak najbardziej uzasadnione. Dlatego tak się cieszymy, że panią dzisiaj poznaliśmy.

- Chyba nie do końca rozumiem - powiedziała Louisa ostrożnie. - Mój związek z pani bratem opiera się na współpracy. Jak już wyjaśnił, pomagam mu w dochodzeniu. Gdy je zakończymy, zamierzam napisać reportaż dla „Latającego Detektywa”.

- Tak, oczywiście. - Clarice uśmiechnęła się ciepło. - Jestem pewna, że będzie to rzetelne dziennikarskie sprawozdanie. Ale też jest dla nas jasne, że panią i mojego brata łączy coś więcej i bardzo się z tego cieszymy. Miło jest widzieć, jak on na panią patrzy.

Louisa westchnęła.

- Obawialiście się, że po śmierci Fiony ma złamane serce. Teraz wierzycie, że jest w stanie zainteresować się inną kobietą. Ja jednak uważam, że nie powinniście wyciągać pochopnych wniosków co do natury uczuć, które do mnie żywi.

- Bzdura. - Dziewczyna się roześmiała. - Nie da się inaczej wytłumaczyć tego, że Anthony jest w takim dobrym humorze.

- Być może jest teraz bardziej pogodny, ponieważ czuje, że zbliża się do rozwiązania zagadki śmierci Fiony.

- Po części pewnie tak. Nadal jednak uważam, że to pani jest główną przyczyną jego wyśmienitego nastroju.

- Raczej nie - odparła Louisa bez przekonania.

- Pani Bryce, pani się nie docenia. Zapewniam, że gdyby mój brat nie był panią zauroczony, nigdy nie przyprowadziłby pani do nas na podwieczorek.

Louisa przerażona zatrzymała się w pół kroku.

- Pani brat na pewno nie jest we mnie zakochany.

- Bez obaw, pani Bryce. W tej rodzinie nie musi pani udawać.

Nie bawimy się w konwenanse jak reszta wyższych sfer. W tym domu rozmawiamy ze sobą zupełnie szczerze.

- Pani wybaczy, ale obawiam się, że wszystkie te ekscytujące sztuki, które pisze pani dla teatru Olympia, nadmiernie pobudziły pani wyobraźnię.

## 186

Clarice melancholijnie pokiwała głową.

- Przyznaję, że sekretne romanse wydają mi się intrygujące. Do każdej sztuki wstawiam przynajmniej jeden.

- Widziałam kilka pani sztuk. To wspaniała rozrywka, przy okazji muszę jednak zauważyć, że sekretne romanse zawsze źle się kończą.

Panna Stalbridge skrzywiła się w grymasie.

- Tylko dlatego, że publiczność i krytyka oczekują takiego finału. Proszę zwrócić uwagę, że w czasie przedstawienia wszyscy się tymi romansami ekscytują. Jednak, żeby przyzwoitości stało się zadość, muszą się źle kończyć.

- Ach, tak. - Louisa odetchnęła głęboko i ruszyła dalej ścieżką.

- Tak samo dzieje się w powieściach.

- Właśnie. Konwenanse, konwencja literacka i krytyka mogą mieć bardzo ograniczający wpływ na sztukę - powiedziała Clarice z niezwykle mądrą miną.

- Uważa pani więc, że gdyby nie istniały konwenanse i krytyka, można by było napisać sztukę albo

powieść, w której sekretny romans skończyłby się szczęśliwie?

- Oczywiście - odparła siostra Anthony'ego z przekonaniem.

Louisa znów się zatrzymała i spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- Tak? Więc jakie byłoby to zakończenie? - spytała skwapliwie.

Clarice machnęła ręką.

- Cóż, kochankowie oczywiście wzięliby ślub i żyli długo i szczęśliwie.

- Hm - mruknęła Louisa pod nosem.

Panna Stalbridge uniosła brwi.

- Nie podoba się pani takie zakończenie?

- Zdaje się, że widzę tu pewną niekonsekwencję - odparła Louisa. - Jeśli kochankowie się pobiorą, ich związek przestanie być sekretny, prawda?

Clarice zmarszczyła brwi.

**187**

- Ach, już rozumiem. Mimo wszystko jednak małżeństwo to jedyne szczęśliwe zakończenie dla pokątnego romansu, nieprawdaż?

- Chyba tak - zgodziła się.

Ale w moim przypadku zupełnie niemożliwe, dodała w duchu.

Anthony tkwił przy oknie, założywszy ręce na plecach. Matka i ojciec stali tuż przy nim. Wszyscy troje obserwowali Louise i Clarice, spacerujące po ogrodzie.

- Wygląda na to, że doskonale się rozumieją - oświadczył Marcus z zadowoloną miną. - Muszę przyznać, że pani Bryce bardzo mi się podoba. Fascynująca młoda kobieta.

- Mówiłem ci, że jest nietuzinkowa - powiedział Anthony.

Ojciec zaśmiał się i poklepał syna po ramieniu.

- O tak, mówiłeś. I, jak rzadko kiedy, udało ci się trafić w samo sedno.

- Ładnie tak we dwie wyglądają, spacerując w słońcu z roz

łożonymi parasolkami, prawda? - zauważyła Georgiana i rzuciła Anthony'emu spojrzenie z ukosa. - Pani Bryce bardzo wcześnie owdowiała, nieprawdaż?

- Na to wygląda - powiedział ostrożnie.

- Znalazła sobie doprawdy interesującą pracę - powiedział

Marcus. - Nic dziwnego, że obie z Clarice tak się dobrze czują w swoim towarzystwie. Wiele je łączy.

- Ciekawa jestem, o czym teraz rozmawiają - rzuciła Georgiana. - Zresztą bez względu na temat są nim chyba całkowicie pochłonięte.

- Może wymieniają uwagi o pielęgnacji ogrodu? - zasugerował

Anthony, choć szczerze w to wątpił.

Sztywno wyprostowane ramiona Louisy wskazywały na to, że konwersacja dotyczy spraw osobistych.

**188**

**34**

[Godzinę później](#) odwiózł ją do domu. Dziewczyna wydawała się pogrążona w myślach. Milczała przez całą drogę. Zaniepokojony, próbował nawiązać rozmowę. Bezskutecznie.

Gdy weszli po schodach, Anthony ze zdumieniem zauważył, że Louisa wyjmuje z torebki klucz. Wziął go od niej i otworzył drzwi.

- Nikogo nie ma w domu?

- Służba ma dzisiaj wolne popołudnie. - Weszła do holu, rozwiązując wstążki kapturka. - Emma, jak co tydzień, poszła na spotkanie Towarzystwa Miłośników Ogrodów. Wróci dopiero za kilka godzin.

Stalbridge wszedł za nią do domu.

- Ach, tak.

Spojrzała niepewnie, jakby nie wiedziała, jak się wobec niego zachować.

- Poczekasz w gabinecie? - spytała.

Anthony'emu od razu poprawił się humor.

- Tak, dziękuję.

Louisa powiesiła kapturek i poprowadziła go korytarzem.

- Chyba powinniśmy wymienić spostrzeżenia odnośnie do naszego śledztwa. Analizowałam ostatnio

informacje, które uzyska

łam, jeszcze zanim nawiązaliśmy współpracę.

A tyle sobie po tej chwili obiecywał. Nie zapraszała go do gabinetu, bo pragnęła jego towarzystwa. Chciała z nim porozmawiać o tym cholernym dochodzeniu.

- Tak, oczywiście - powiedział, wchodząc za nią do gabinetu.

- Najpierw jednak chciałbym zadać ci pytanie.

- Jakie? - spytała, stojąc przy biurku.

- Ty i Clarice spędziłyście mnóstwo czasu w ogrodzie. O czym rozmawiałyście?

- Twoja siostra jest bardzo miła. - Louisa usiadła za biurkiem, zdjęła okulary i zaczęła je przecierać chusteczką. - Polubiłam ją.

**189**

- Cieszę się. - Podeszedł do biurka i spojrzał na dziewczynę z góry. - Clarice była tobą oczarowana. Nie odpowiedziałas jednak na pytanie. Moja siostra chciała się od ciebie jak najwięcej dowiedzieć o naszym związku, prawda?

- Wcale nie. Jej się wydaje, że doskonale wie, jak sprawy stoją między nami.

Anthony skrzyżował ręce na piersi.

- Podobnie jak moi rodzice - rzucił.

Louisa włożyła okulary na nos i spojrzała na niego z wyraźną podejrzliwością.

- Co im powiedziałaś? - spytała ostro.

- Tak, jak się umówiliśmy, upierałem się, że jedynie ze sobą współpracujemy.

Wykrzywiła się w grymasie.

- Nie uwierzyli, prawda?

- Nie.

- Twoja siostra także nie dała się przekonać. Uważają, że łączy nas sekretny romans.

- Ostrzegałem cię, że członkowie mojej rodziny są nieznośnie bezpośredni, a przy tym bardzo inteligentni.

- Cóż, spójrzmy na pozytywne strony całej tej sytuacji - powiedziała dziewczyna i się wyprostowała.

- Skoro twoja rodzina jest przekonana o łączącym nas romansie, oznacza to, że nasza maskarada się jednak udała, prawda?

Powstrzymał się od odpowiedzi. Zaczął w nim gwałtownie narastać gniew.

Louisa odchrząknęła.

- Chodzi mi o to, że skoro twoi krewni myślą, że mamy romans, stanowczo musi w to wierzyć również Hastings. I to jest najważniejsze, czyż nie tak?

Anthony patrzył na nią bez słowa.

Rzuciła mu zirytowane spojrzenie.

- Przestań tak na mnie patrzeć.

-Jak?

**190**

- Nie wiem. - Uniosła ręce do góry. -Jakbyś się miał za chwilę na mnie rzucić albo coś takiego. Co ci chodzi po głowie?

Opuścił ręce, oparł dłonie na biurku i pochylił się nad nią.

- Myślę, że wnioski mojej rodziny są jak najbardziej właściwe

- powiedział spokojnie. - Nas naprawdę łączy romans.

Louisa zamrugła i odchyliła się w krześle.

- Niezupełnie.

- Do diabła, co chcesz przez to powiedzieć?

- Musisz przyznać, że nasza znajomość jest nieco skomplikowana.

Tego było za wiele. Anthony wyprostował się, obszedł biurko, chwycił dziewczynę za ramiona i pociągnął do góry.

- Przyznaję, że pewne sprawy w naszym związku trudno wytłumaczyć - powiedział. - Ale nie ulega wątpliwości, że naprawdę mamy romans.

- Tak, cóż, można chyba powiedzieć, że w jakimś sensie tego słowa...

- W każdym sensie - rzucił.

Louisa się zarumieniła.



- Może wrócimy do rozmowy o śledztwie. Chciałabym się z tobą podzielić kilkoma myślami, które przyszły mi do głowy.

- Mam lepszy pomysł.

Zamrugała i szeroko otworzyła oczy.

-Jaki?

- Pokażę ci.

Wziął ją na rękę i ruszył do drzwi.

- Ale... - Chwyciła się jego ramienia. - Co ty wyprawiasz? Dokąd mnie zabierasz?

- Na górę. - Przeniósł ją ostrożnie przez próg i ruszył korytarzem. - Przypuszczam, że gdzieś tam jest jakieś łóżko.

- Z całą pewnością, ale co to ma wspólnego z...? - Urwała, nagle pojmując. - Chyba nie masz zamiaru...?

- Kochać się z tobą w wygodnym łóżku? Tak, właśnie to zamierzam zrobić. - Anthony zaczął wchodzić po schodach.

## 191

- W biały dzień?

- Sama mówiłaś, że lady Ashton i służba wrócą dopiero za kilka godzin, prawda?

- Tak, ale...

- Możemy więc skorzystać z ich nieobecności.

- Chyba nie mówisz serio.

- Dlaczego nie? Sekretni kochankowie robią właśnie takie rzeczy.

- Wcale nie. Wszyscy wiedzą, że kochankowie spotykają się potajemnie w nocy, w oświetlonym księżycem ogrodzie i tego typu miejscach.

- Tego już próbowaliśmy - powiedział. - O ile sobie przypominasz, niezupełnie nam się tam udało.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale się rozmyśliła. Zmarszczyła brwi z troską.

- Nie powinieneś nieść mnie po schodach. Możesz się przedźwigać.

- To bardzo prawdopodobne. Niewątpliwie będę miał za swoje. - Anthony nie zatrzymał się nawet

na chwilę. Podest piętra był

już blisko.

Zawahała się.

- Czy nie jestem za ciężka, żeby tak mnie nosić po schodach?

- Tak, skoro już o tym mowa. - Wszedł na piętro i odetchnął

głęboko kilka razy. - Ten wysiłek dobrze mi robi. Który pokój jest twój?

- Pierwsze drzwi na prawo.

- Całe szczęście. Nie będę musiał cię nieść na koniec korytarza.

- Doprawdy musisz tak narzekać? - Parsknęła. - Kochankowie w powieściach i sztukach nigdy tego nie robią.

- Przypuszczam, że autorzy pomijają pewne szczegóły, bo wtedy te historie gorzej by się sprzedawały.

Drzwi do jej sypialni były uchylone. Otworzył je szerzej nogą, wniósł Louise do środka i postawił na ziemi tuż przy łóżku.

## 192

Spojrzała na niego radośnie i wyczekująco. Anthony delikatnie zdjął jej z nosa okulary i odłożył je na stolik przy łóżku. Czuł, jak podniecenie ogarnia całe jego ciało.

- Masz oczy w kolorze bursztynu - powiedział cicho. - Niesamowite.

Zarumieniła się.

- Dziękuję - odparła grzecznie. Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. - A twoje są intrygującą mieszanką zieleni i złota.

Uśmiechnął się i zaczął po kolei wyjmować szpilki z jej włosów. Ciemne, jedwabiste pukle opadły jej na ramiona. Gdy skończył, niemal nie mógł opanować pożądania. A jeszcze jej nawet nie rozebrał.

- Louiso, chciałem cię taką zobaczyć od pierwszej chwili, gdy cię poznałem - powiedział.

Wydawała się zmieszana.

- Bez okularów?

Anthony się roześmiał.

- Z rozpuszczonymi włosami.

Zdjął surdut i rzucił na krzesło. Zaczął rozwiązywać krawat.

Dziewczyna nie odrywała od niego oczu. Rozbawiła go jej zaintrygowana mina.

Spojrzał na okno, wychodzące na ulicę i mały park na placu.

Uświadomił sobie, że nikt z zewnątrz nie zobaczy, co się dzieje w pokoju. Nie ma potrzeby zasłaniać okien. Mógł się cieszyć widokiem nagiej Louisy w ciepłym blasku popołudniowego słońca.

Ujął jej twarz w dłonie i powoli pocałował, tym razem skupiony nie na własnych potrzebach, ale na jej rozkoszy.

- Anthony?

- Akurat ta część nawet ci się podobała, zapomniałaś już kochana?

- Ach, tak. Racja. - Westchnęła cicho i rozchyliła wargi.

Całował ją i smakował przez dłuższy czas, świadomie powstrzymując się przed następnym krokiem. Gdy poczuł, jak zadrżała i przytuliła się do niego, przesunął ręce na haftki z przodu jej sukni.

**193**

Powoli rozpiął stanik i zsunął go z jej ramion, cały czas nie odrywając od niej ust.

Przeszył go dreszcz, gdy Louisa zaczęła mu rozpinąć koszulę.

Szamotała się chwilę, ale w końcu udało się jej odsunąć materiał

na boki. Poczuł jej ręce na swym ciele - palce przesuwające się we włosach na piersi.

Pocałował jej szyję, a potem pierś, by odwrócić jej uwagę. Po chwili wahania odchyliła głowę na jego ramię i przytknęła oczy.

Do końca zsunął z niej suknię. Louisa została tylko w cienkiej koszulce, bieliźnie, pończochach i butach.

Zakrył ustami jej wargi i delikatnie pogłębił pocałunek. Gdy poczuł, jak z zaciekawieniem dotyka jego języka swoim, nie mógł

powstrzymać niskiego, gardłowego jęku. Zachęcona tą reakcją, zacisnęła mu ręce na szyi. Pocałował ją głęboko i namiętnie.

W końcu uwolnił jej usta. Wargi miała wilgotne i nabrzmiące.

Obrysował je palcem. Zachwiała się, przejęta dreszczem. Przesunął

dłońmi po jej cieplej, cudownie gładkiej skórze.

Pochylił się i odwinął narzutę. Potem chwycił Louise w talii i położył na łóżku.

Spoglądał na nią, leżącą z ciemnymi włosami rozsypanymi na poduszce, rozchylonymi ustami i oczami przymkniętymi z pożądania. Nigdy w życiu nie widział równie oszałamiającego widoku.

Usiłował odzyskać panowanie nad sobą.

Anthony z wysiłkiem cofnął się nieco, by uwolnić się od ubrania. Gdy był już nagi, zawahał się, szukając w jej oczach aprobaty.

Louisa podparła się na łokciu i sięgnęła do nocnego stolika.

Włożyła okulary i spojrzała na niego ze zdumioną miną.

- Ojej. - Westchnęła, najwyraźniej zakłopotana. - Tamtej nocy odniosłam wrażenie, że jesteś większy niż posągi mężczyzn, które widziałam w muzeum. Nie wiedziałam jednak, że różnica będzie aż tak duża.

Anthony nie był pewien, jak ma to rozumieć.

- Chyba jeszcze nigdy dotąd nie porównywano mnie z posągiem - powiedział w końcu.

**194**

Louisa zachichotała, a potem zaczęła się otwarcie śmiać. Zakryła sobie usta ręką, ale oczy nadal iskrzyły się radością.

Znów ogarnęła go fala gorączkowego, odurzającego pragnienia.

Wyjął czystą, płócienną chusteczkę z kieszeni spodni i podszedł z powrotem do łóżka.

Po raz drugi zdjął jej okulary i odłożył je na nocny stolik. Ukląkł przy łóżku, rozsznurował jej trzewiki, zdjął i rzucił je na podłogę.

Powoli przesunął dłońmi po jej gładkich, zgrabnych nogach, zdejmując pończochy i podwiązki.

Położył się na łóżku obok niej. Westchnęła i zadrżała, gdy zdjął

jej koszulkę przez głowę. Pochylił się nad nią i całował czubki jej piersi. Jęknęła gorączkowo i wbiła mu palce w ramiona, a potem zaczęła głaskać go po plecach.

Powoli przesuwał się niżej. Rozkoszował się jej ciałem, czekając, aż Louisa oswoi się z jego dotykiem. Gdy w końcu zaczęła się niecierpliwie wić, zdjął z niej resztę bielizny. Drgnęła, gdy znikła ostatnia bariera między nimi. Zamknęła oczy, ale nie próbowała się odsunąć.

Wsunęła dłoń niżej pomiędzy nich i objęła go delikatnie. Nagły przyływ pożądania omal nie odebrał mu resztek przytomności.

Wplótł palce w miękkie, kręcone włosy u zbiegu jej ud. Odnalazł jej kobiecość i poczuł, jak bardzo jest już gorąca, wilgotna i nabrzmiała. Głaskał ją delikatnie, szukając wrażliwego pączka.

Nacisnął lekko. Louisa gwałtownie uniosła biodra.

- Anthony. -Jęknęła i wbiła mu paznokcie w ramiona.

Pieścił ją i drażnił, dopóki nie zaczęła się wić i mocniej przyciskać do jego dłoni. Spojrzał na nią. Ogarnięta namiętnością zapomniała o skrępowaniu i wszelkich wątpliwościach. Pomyślał, że nigdy dotąd żadna kobieta nie wydała mu się taka piękna.

Wsunął się między jej uda. Zanim uświadomiła sobie jego zamiary, pochylił się nad nią i pocałował w najintymniejszym miejscu.

- Do licha, co ty...?-jęknęła. -Och, nie, nie wolno ci...

W zapamiętaniu próbowała usiąść i się cofnąć. Chwycił ją za biodra, przyciągnął do siebie i mocno przytrzymał. Pochylił się **195**

i znów zaczął ją pieścić językiem. Jej smak i zapach doprowadzały go do szaleństwa.

Zacisnęła mu palce we włosach.

- Anthony?

Czuł napięcie w jej ciele i wiedział, co się za chwilę stanie.

- Och -jęknęła. - Och, Anthony!

Zabrakło jej tchu. Ogarnęła ją fala nieziemskiej rozkoszy. Mężczyzna napawał się tym widokiem.

Wsunął się w jej ciasne, gorące wnętrze, czując jeszcze lekkie pulsowanie jej ciała. Odbierało mu to resztki opanowania.

Poruszył się w niej gwałtownie zaledwie kilka razy. To wystarczyło. Dotarł do szczytu. Niemal w ostatniej chwili wysunął się z rozkosznego wnętrza Louisy i wytrysnął w chusteczkę.

Po chwili opadł na poduszkę, spokojny i pogodzony ze światem po raz pierwszy od tamtej nocy, gdy zginęła Fiona.

Louisa powoli wróciła do rzeczywistości. Przeciągnęła się i sięgnęła do nocnego stolika po okulary. Włożyła je i spojrzała na podłogę.

Jej koszulka leżała skłębiona na dywanie. Schwyciła ją i szybko włożyła przez głowę.

Od razu poczuła się trochę mniej skrępowana. Usiadła na łóżku i spojrzała na Anthony'ego. Leżał na brzuchu, zwrócony twarzą do niej. Oczy miał zamknięte, ciemne włosy potargane. Mięśnie na jego plecach i ramionach były piękne, gładkie i zdumiewająco potężne. Westchnęła cicho. Podobało się jej wrażenie zespolenia, gdy przykrywał ją całym ciałem i poruszał się w jej wnętrzu.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go delikatnie po ramieniu, tak by go nie obudzić.

- Następnym razem muszę przynieść kondomy - powiedział

Anthony w poduszkę.

**196**

Louisa podskoczyła i cofnęła szybko rękę, jakby dotknęła gorących węgli.

- Myślałam, że śpisz - powiedziała.

- Prawie zasnąłem - rzucił, nie otwierając oczu. - Zupełnie mnie wyczerpałaś.

- Co to są kondomy? - spytała z zaciekawieniem.

Anthony otworzył oczy i uśmiechnął się do niej leniwie.

- To osłonki przeciw poczęciu.

Louisa poczuła, że się rumieni.

- Ach, tak.

- Metoda, którą stosowałem do tej pory, nie jest całkowicie niezawodna.

- Ojej.

Zarumieniła się jeszcze bardziej. Upomniała się w duchu, że jako kobieta światowa, a na dodatek zaangażowana teraz w sekretny romans, powinna się przyzwyczaić do zdawkowych rozmów na tak intymne tematy.

- I cóż? - spytał, patrząc na nią przenikliwie.

Zerknęła na niego speszona.

- I cóż z czym?

Anthony przewrócił się na plecy i podłożył sobie ręce pod głowę.

- Czy tym razem było to bardziej satysfakcjonujące doświadczenie?

Zarumieniła się teraz tak ognście, że właściwie cała powinna stanąć w płomieniach.

- W samej rzeczy - odchrząknęła. - Teraz rozumiem, dlaczego sekretne romanse cieszą się popularnością.

- Hm.

Nie wydawał się już taki zadowolony jak przed chwilą. Chyba mu się nie spodobał jej komentarz.

- Anthony?

- Tak?

- Chciałabym cię zapytać o coś bardzo osobistego. Zrozumiem, jeśli mi nie odpowiesz.

**197**

Wysunął rękę spod głowy i pociągnął Louise na siebie.

- O co chodzi?

Oparła mu łokcie na piersi i podparła dłońmi brodę.

- Słyszałam pogłoski o tym, co się wydarzyło między tobą i twoją narzeczoną tuż przed jej śmiercią.

Skrzywił się w niewesołym uśmiechu.

- Wcale mnie to nie dziwi. Prasa brukowa, tanie nowele sensacyjne i plotki w wyższych sferach razem wzięte sprawiły, że niemal cały Londyn wiedział, co się stało.

- Czy cokolwiek z tego jest prawdą? Czy rzeczywiście zamierzałeś zerwać z nią zaręczyny, bo znalazłeś ją w łóżku z innym mężczyzną?

Anthony długo milczał. Myślała, że wcale jej nie odpowie.

- Tak - odezwał się w końcu. - Jednak nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Nie wiem, skąd się wzięły te pogłoski. Mogę tylko przypuszczać, że mężczyzna, z którym ją przyłapałem, zwierzył się komuś, kto zdradził tajemnicę.

- Sekretne romanse prawie zawsze wychodzą na jaw.

- To prawda.

- Musiałeś ją bardzo kochać.

Mężczyzna usiadł raptownie, opuścił nogi na podłogę i wstał.

- Moja miłość do Fiony umarła w chwili, gdy znalazłem ją w łóżku z kochankiem.

Serce jej się ścisnęło z żalu.

- To musiało być dla ciebie straszne.

- Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że chciała, bym się dowiedział o jej romansie. -Anthony przeszedł przez pokój i podniósł

swoje ubranie. - Nie miała odwagi powiedzieć mi prawdy wprost.

W głębi ducha wierzę, że w nieco dziwny sposób chciała mi wyznać, iż kocha innego. W pewnym sensie próbowała być ze mną szczerą, zanim będzie za późno.

- Nie rozumiem. Jeśli kochała innego, dlaczego ci tego po prostu nie powiedziała?

- Mówiłem ci. Nie umiała zebrać się na odwagę. - Włożył

i zapiął spodnie. -Jej rodzina byłaby zdruzgotana. Nasze zaręczyny **198**

bardzo ucieszyły zarówno jej rodziców, jak i moich. Przyjaźnili się od wielu lat.

- Innymi słowy, Fiona znalazła się pod ogromną presją.

- To dosyć częsta sytuacja. - Zapiął koszulę z posępną miną.

- Wbrew tym wszystkim powieściom i sztukom, które cię tak ekscytują, oboje wiemy, że u podstaw większości małżeństw leżą pieniądze, majątek i rodzinne koneksje.

- Tak. - Westchnęła melancholijnie. - Przypuszczam, że właśnie dlatego te powieści i sztuki są takie porywające. Miło jest obcować z prawdziwą, idealną miłością.

- Nie wiem - odparł chłodno. - Nie jestem zwolennikiem tego rodzaju rozrywek.

Louisa uśmiechnęła się, ale nie odezwała się ani słowem.

Anthony przestał się ubierać. Spojrzał na nią z groźną miną.

- Co cię rozbawiło? - spytał.

- Drobną sprzeczność. - Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. - Mów, co chcesz na temat powieści i sztuk, a prawda jest taka, że w głębi duszy sam jesteś romantycznym bohaterem.

Spojrzał na nią tak, jakby właśnie oznajmiła, że potrafi latać.



- Do diabła, o czym ty mówisz? - spytał bardzo spokojnie.

- Popatrz, z jaką determinacją szukasz sprawiedliwości dla Fiony - wyjaśniła. - Mimo że zakochała się w innym mężczyźnie, twoja miłość do niej pozostaje niezmienna.

Zacisnął ręce w pięści i zmrużył oczy.

- Louiso, pozwól, że coś ci wyjaśnię. Nie zaangażowałem się w tę aferę, ponieważ cierpię po stracie Fiony.

To ją na chwilę zastanowiło.

- Nie? - spytała ostrożnie.

- Nie zrozum mnie źle. Znałem ją od dziecka i zawsze lubi

łem. Była nie tylko moją narzeczoną, ale też przyjaciółką. Uważam za swój obowiązek znaleźć jej zabójcę, ale nie skłoniła mnie do tego moja dozągonna miłość do niej. Nie próbuj robić ze mnie romantycznego bohatera.

Louisa pokręciła głową, zupełnie zdezorientowana.

**199**

- To dlaczego zacząłeś badać okoliczności jej śmierci?

- Z początku, nieco ponad rok temu, musiałem ustalić, czy popełniła samobójstwo, bo zamierzałem zerwać nasze zaręczyny

- wycedził przez zęby. - Teraz rozumiesz? Chciałem wiedzieć, czy to ja spowodowałem jej śmierć, czy naprawdę nie mogła znieść upokorzenia odtrącenia.

- Anthony...

- Teraz, gdy wiem, że została zamordowana, muszę się dowiedzieć, czy to przeze mnie znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Czy to w ogóle możliwe, żeby stało się to z twojej winy?

- Nie wiem. Może moja decyzja o zerwaniu zaręczyn sprawiła, że Fiona naraziła się na ryzyko, którego w normalnych okolicznościach by unikała. Może ogarnęła ją desperacja. Wiem tylko tyle, że była moją przyjaciółką i narzeczoną. Muszę się dowiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy.

- Przestań. Przestań w tej chwili. - Przerazona Louisa wygrzebała się z pościeli i wstała z łóżka. Chwyciła Anthony'ego mocno za ramię, jakby chciała nim potrząsnąć. - Posłuchaj mnie uważnie.

Rzeczywiście wygląda na to, że, tak jak podejrzewasz, Fiona została zamordowana. Jednak

niezależnie od tego, czy została zabita, czy też sama odebrała sobie życie, ty nie jesteś winny.

- Nie rozumiesz. Ona była taka młoda i niedoświadczona.

- Niedoświadczona czy nie, jeśli rzuciła się do rzeki, bo obawiała się upokorzenia z powodu zerwanych zaręczyn, to była jej decyzja. Jeśli wplątała się w jakąś niebezpieczną aferę, to nie ma w tym twojej winy.

- Znalazła się pod ogromną presją, nie tylko swojej i mojej rodziny, ale także całego towarzystwa. - westchnął głośno, jakby z głębi serca. - Nikt z nas nie wiedział, jak bardzo jest nieszczęśliwa.

Gdyby wspomniała o tym choć jednym słowem...

- Zakochała się w innym mężczyźnie i sama zdecydowała się na ryzykowny krok, by nawiązać z nim romans. - Louisa urwała, uderzona nagłą myślą. - To rodzi kolejną kwestię. Jeśli miała romans z innym mężczyzną, to czy nie zamierzała wyjść za niego za mąż, gdy już zerwiecie zaręczyny?

- Właśnie z tego powodu nie wierzyłem, że popełniła samobójstwo - przyznał Anthony. - Wszystko wskazuje na to, że tamten naprawdę ją kochał. Nie był żonaty, więc mógł się z nią ożenić.

- Co się z nim stało?

- Gardzi mną i obwinia o jej śmierć.

- Julian Easton? - spytała cicho.

Anthony uniósł brwi.

- Skąd wiesz?

- Od początku było dla mnie jasne, że ma do ciebie ogromny żal.

- Nigdy nie ośmielił się otwarcie mnie oskarżyć, ponieważ nie ma dowodów. Poza tym musi być ostrożny, żeby z kolei samemu nie narazić się na plotki. Rodzina Fiony byłaby wściekła, gdyby zbrukał

jej pamięć, ujawniając, że miał z nią romans przed ślubem.

Louisa w zamyśleniu przechyliła głowę.

- Nie pomyślałeś, że to właśnie Easton zrobił jej krzywdę?

- Nie. - Anthony przegarnął włosy ręką. - Sprawdziłem tę możliwość od razu. Wiadomo, gdzie przebywał tamtej nocy i potwierdza to kilku świadków. Zniknął z sali balowej na kilka minut, ale wrócił niemal natychmiast. Później wyszedł z przyjaciółmi i udał

się do swojego klubu, gdzie grał w karty aż do świtu. Rankiem wydobyto ciało Fiony z rzeki. Miał za mało czasu, by ją zamordować i pozbyć się ciała.

- Ale teraz z wyrachowaniem cię oczernia i chce, by wszyscy myśleli o tobie jak najgorzej.

- Wierzy, że Fiona popełniła samobójstwo. A mnie obwinia, że ją do tego popchnąłem. Rozsiewanie plotek to jego zemsta.

Louisa przypomniała sobie scenę na ulicy przed domem Lorringtonów.

- Myślę, że tak naprawdę obwinia siebie.

Anthony zmarszczył brwi.

- Jak to?

- Jeśli ją kochał, być może próbuje wmówić sobie i wszystkim dookoła, że to ty jesteś winny. W ten

sposób chce uciec przed wyrzutami sumienia, że nie zdołał jej ochronić.

201

Mężczyzna wzruszył ramionami i zapiął kołnierzyk koszuli.

- Wiem tylko tyle, że mnie nienawidzi.

- Nie ma prawa robić z ciebie kozła ofiarnego - oznajmiła Louisa. - To nie w porządku. Jak to się wszystko poplątało.

Anthony wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

- Easton i Fiona najwyraźniej ulegli urokowi sekretnego romansu - zasugerował z przekąsem. - Twoim zdaniem nie ma w życiu nic bardziej ekscytującego.

- Źle mnie zrozumiałeś - rzuciła ostro. - Sekretne namiętność to rzeczywiście potężna siła, ale każdy z nas jest w stanie się jej oprzeć, jeśli tylko tego chce.

- Ach, więc teraz to jest wybór? - Uniósł brwi. - Nie wszechogarniający, przemożny zew natury?

- Proszę, nie drwij ze mnie. Mówię bardzo poważnie.

- Tak, widzę.

- Nie mamy wpływu na to, czy i kto wyda nam się pociągający.

Jeśli jednak ulegamy temu urokowi, podejmujemy świadomą decyzję i z własnej woli narażamy się na związane z tym niebezpieczeństwa. Fiona sama dokonała wyboru. Nie miałeś na to wpływu.

Spojrzał na nią z dziwną miną i otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył. Na ulicy rozległ się turkot powozu.

- Ojej, która godzina? - Louisa zerknęła w panice na zegar.

- Wpół do szóstej. O Boże, to na pewno Emma.

- Jesteś pewna? - Uniósł pytająco brew.

- Tak, musisz już iść. Nie może nas tu zastać razem, zwłaszcza że jestem w negliżu. Pospiesz się.

Sięgnął po buty.

- Zwróć uwagę na ujemne strony sekretnego romansu. Trzeba się ciągle mieć na baczności.

Chwyciła szlafrok z wieszaka.

- Nie możesz wyjść frontowymi drzwiami. Emma cię zobaczy.

Musisz zejść kuchennymi schodami i uciec przez ogród.

Wziął płaszcz i przerzucił sobie przez ramię.

- Mój kapelusz leży w głównym holu.

**202**

- Do licha, zapomniałam o kapeluszu. Musimy go zabrać. -

Rzuciła się do drzwi.

Mężczyzna wydawał się rozbawiony przekleństwem, ale się nie ościagał.

Louisa zbiegła szybko po schodach, Stalbridge tuż za nią. Na ulicy przed domem zatrzymał się powóz.

Chwyciła kapelusz, leżący na stole w holu, i rzuciła go Anthony'emu.

- Idź już - powiedziała szeptem.

Złapał kapelusz jedną ręką.

- Louiso, zanim wyjdę, jedno pytanie.

- Żadnych pytań. Nie ma czasu. - Zamachała desperacko rękami, żeby go popędzić. - Musisz się pospieszyć. Emma wejdzie tu lada chwila.

- Muszę usłyszeć odpowiedź - ostrzegł ją, ale ruszył korytarzem do drzwi kuchennych, niosąc pod pachą płaszcz i kapelusz.

- Na litość boską, mów ciszej! - syknęła, niecierpliwie postępując za nim.

Anthony otworzył drzwi i zatrzymał się w progu. Odwrócił się do niej.

- Czy dzisiejszego popołudnia przeżyłaś niezwykłe doświadczenie? - rzucił.

Przeraziła się kolejną chwilą zwłoki.

- Na litość boską, teraz nie pora o tym rozmawiać.

- Nie wyjdę, dopóki nie uzyskam odpowiedzi - upierał się.

- Tak, tak, to wszystko było cudownym, niezwykłym przeżyciem. Właśnie takim, jak opisują w książkach. A teraz idź już!

Uśmiechnął się, pocałował ją szybko i mocno w usta. I wyszedł.

Wydawało się jej, że słyszyjego pogwizdywanie.

Jak najciszej zamknęła drzwi i pobiegła na górę wąskimi schodami kuchennymi. Znalazłszy się w sypialni, zamknęła drzwi i zaczęła doprowadzać łóżko do porządku.

**203**

Postanowiła powiedzieć Emmie, że rozbolała ją głowa i musiała się na chwilę położyć. To wyjaśni, dlaczego łóżko jest niezasłane, a ona sama parady w szlafroku.

Spojrzała w lustro i z przerażeniem zauważyła, jak bardzo jest potargana i zarumieniona. Nie miała już czasu upiąć włosów.

Drzwi na dole się otworzyły. Louisa chwyciła biały koronkowy czepek, włożyła go na głowę i wsunęła pod niego włosy, a potem rzuciła się na łóżko.

Wkrótce potem Emma weszła po schodach i zapukała lekko do drzwi.

- Moja droga, odpoczywasz?

- Tak - odparła Louisa. - Popołudnie było bardzo wyczerpujące. Zejdę za chwilę na dół i wszystko ci opowiem.

- Nie mogę się już doczekać, by usłyszeć o szczegółach twego spotkania ze Stalbridge'ami. Ale nie spiesz się. Idę się przebrać.

- Kroki przyjaciółki oddaliły się w kierunku jej pokoju na końcu korytarza.

Louisa odetchnęła z ulgą i usiadła. Nadal nie mogła złapać tchu.

Niewiele brakowało.

Powoli wstała i podeszła do szafy. Katem oka zauważyła pas ciemnoniebieskiego jedwabiu, zwisający z oparcia krzesła. Halsztuk Anthony'ego. Przerażona chwyciła go, zwinęła i starannie ukryła w szufladzie.

O tak, niewiele brakowało. Dzięki Bogu, Emma nie otworzyła drzwi. Sekretne romanse były niezwykle ekscytujące, ale też, jak się okazało, bardzo wyczerpujące nerwowo.

Wspinając się po schodach do drzwi swego domu, Anthony uświadomił sobie, że chyba po raz pierwszy w życiu musiał uciekać kuchennym wyjściem. Od chwili poznania Louisy Bryce życie stanowczo zrobiło się ciekawsze.

Ich pospieszne, ukradkowe rozstanie stanowiło interesującą odmianę, ale niech go diabli, jeśli miałby się dalej chyłkiem przemykać przez alejki i ogródki. A jednak wspomnienie dziewczyny, **204**

zdyszanej i drżącej namiętnością, gdy znalazła zaspokojenie w jego ramionach, osłodziło mu gorycz

haniebnej ucieczki.

Mimo braku postępów w śledztwie czuł się pełen wigoru i nadziei. Poprawił mu się humor. Sprawily to cudowne chwile rozkosznego zbliżenia z Louisa, ale także, a może przede wszystkim, jej żarliwe zapewnienia, że bez względu na to, co się stało z Fiona, nie ponosi za to winy.

Rodzina przekonywała go o jego niewinności, ale przyjmował

to obojętnie. Oni zawsze stali przy nim murem. Gdy jednak dziewczyna z takim zapałem uwalniała go od poczucia winy, przez krótką chwilę pozwolił sobie uwierzyć, że ma rację.

Drzwi otworzyły się akurat, gdy sięgał do kieszeni po klucz.

- Witamy w domu - powiedziała gospodyni. - Kilka minut temu przyniesiono dla pana wiadomość.

- Dziękuję, pani Taylor. - Anthony wszedł do holu.

Liścik leżał na srebrnej tacy. Rozerwał kopertę. Zerknął na podpis Mirandy Fawcett i poczuł ogromną satysfakcję.

„...zapraszam Pana i Panią Bryce na spotkanie z moim dobrym przyjacielem dzisiaj o dziesiątej wieczór”.

Clement Corvus połknął przynętę.

**36**

Miranda Fawcett siedziała w leniwej pozie na obitej złocistym brokatem kanapie. Louisa pomyślała, że wygląda niezwykle atrakcyjnie w modnej sukni z bladoniebieskiego jedwabiu i granatowego aksamitu. Na jej palcach, szyi i we włosach połyskiwały perły.

- Witaj, moja droga. - Miranda uśmiechnęła się ciepło i przywo

łała ją gestem upierścienionej dłoni. - Usiądź, proszę - powiedziała i odwróciła się do Anthony'ego.

- Jak miło znów pana widzieć.

Tak się cieszę, że nie miał pan tego wieczoru innych zobowiązań.

**205**

Zdaję sobie sprawę, że wyznaczyłam bardzo bliski termin naszego spotkania.

Stalbridge pochylił się nad jej dłonią.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Nie mogę się już doczekać spotkania z pani przyjacielem.

- Clement Corvus już tu jest. - Miranda mrugnęła. - Czeka, że tak powiem, za kulisami. Ten miły

człowiek od tak dawna ze mną prze-staje, ze chyba nauczył się korzystać z atutów odpowiedniego wejścia.

Louisa przysiadła na brzegu obitego satyną krzeselka i poprawiła okulary.

To bardzo uprzejme z twojej strony, ze zaaranżowałaś to spotkanie.

Miranda zachichotała. .

- Zapewniam cię, pan Corvus sam zapragnął spotkania z panem Stalbridge'em po przeczytaniu papierów, które u mnie zostawiliście

- Istotnie - odezwał się od progu mężczyzna. - Zapragnąłem pana poznać.

Louisa odwróciła głowę i zobaczyła zdumiewająco niskiego, szczupłego mężczyznę. Nie był wyższy od niej, ale otaczała go jakaś złowieszcza aura, zamaskowana ogładą i elegancją. Corvusa nazywano Krukiem\* nie tylko ze względu na jego nazwisko. Louisę przeszył zimny dreszcz.

Posiwiwały mężczyzna był gładko ogolony i ubrany w nienagan-nie skrojony garnitur.

Anthony z szacunkiem pochylił głowę, witając Clementa Corvusa jak równego sobie.

- Dobry wieczór panu.

Starszy mężczyzna zmrużył lekko oczy. Louisa odniosła wrażenie, że spodobała mu się pełna szacunku postawa Anthony ego.

- A to jest pani Bryce, którą doskonale znasz pod pseudonimem J.A Fantom - powiedziała Miranda. - Pani Bryce, przedsta-wiam pana Corvusa.

\* *Corvus* - z łac. Kruk (przyp. red.).

**206**

Mężczyzna podszedł do dziewczyny i pochylił się nad jej dłonią.

- Pani Bryce, to dla mnie wielki zaszczyt poznać panią. Jestem wielbicielem pani reportaży.

- Dziękuję. - Louisa się uśmiechnęła. - Cała przyjemność po mojej stronie. Nareszcie mam okazję wyrazić wdzięczność za udzielone mi kilkakrotnie wskazówki, które, jak się domyśliłam, pochodziły właśnie od pana.

Corvus uśmiechnął się wielkodusznie.

- Miranda opowie pani, jaką radość sprawia mi udzielanie pomocy tak nieustraszonej korespondentce.



Aktorka się roześmiała.

- Tak naprawdę Clement chce oczywiście powiedzieć, że z przyjemnością pomaga J.A. Fantomowi pozbyć się swoich wysoko urodzonych rywali w interesach.

W oczach Corvusa zamigotał zimny, bezlitosny błysk.

- Moja droga, nie mam nic przeciwko rywalom. Jestem przecież człowiekiem interesu i lubię zdrową konkurencję. Przyznaję jednak, że żywię wyjątkową awersję do tych dżentelmenów, którzy angażują się w przedsięwzięcia zaspokajające najbardziej perwersyjne zachcianki albo wykorzystują ludzi, którzy nie pochodzą z ich sfery. Nigdy nie zniżą się do tego, by zaprosić mnie na szklaneczkę brandy, ale nie zawahają się uwalać rąk interesami, których nawet ja bym nie tknął.

Anthony uniósł brwi.

- Zgadzam się. W niektórych przypadkach ta hipokryzja przekracza wszelkie granice.

- Z pewnością tak było w przypadku skandalu Bromleya i oszustwa z kopalnią w Kalifornii - powiedział Corvus. - Czy mógłbym panu zaproponować szklaneczkę brandy? Miranda zawsze podaje wyśmienitą.

- Ponieważ kupuję ją dla ciebie, Clemencie - mruknęła aktorka.

Corvus się uśmiechnął.

- Dziękuję, moja droga - odparł, nie spuszczać oka z Anthony'ego.

**207**

- Tak, bardzo chętnie - powiedział Stalbridge.

Corvus podszedł do małego stolika w rogu pokoju i z kryształowej karafki nalał dwie szklaneczki brandy.

Przeszedł przez pokój po grubym, tłumiącym kroki dywanie i podał jedną z nich Anthony'emu. Spojrzeli sobie w oczy. Louisa miała wrażenie, że widzi dwa szacujące się nawzajem drapieżniki.

- Pańskie zdrowie - powiedział Corvus.

Stalbridge uniósł szklanekę.

- I pańskie.

Louisa przyglądała się obu mężczyznom. Corvus opuścił szklanekę. Wydawał się usatysfakcjonowany. Dziewczynie przyszło do głowy, że Anthony chyba właśnie przeszedł pomyślnie kolejny test.

- Proszę, niech pan siada - powiedział Corvus. Poczekał, aż mężczyzna usiądzie na jednym z krzeseł,

i sam zajął miejsce.

- Rozumiem, że zechciał się pan z nami dzisiaj spotkać, ponieważ przekazane panu papiery wydały się interesujące - rzucił Stalbridge.

Corvus skinął głową.

- Czego pan się najwyraźniej spodziewał - dopowiedział.

Anthony wzruszył ramionami.

- Mam trochę doświadczenia w zarządzaniu rodzinnymi finansami.

- Wiem. - Corvus się roześmiał. - Podobno pan sam, bez niczyjej pomocy, uratował Stalbridge'ów przed bankructwem.

- Jako jedyny w rodzinie nie przejawiałem żadnych talentów twórczych - powiedział Anthony. - Co oznaczało, że niestety pozostaje mi tylko zająć się finansami. Wiem dość, by się zorientować, kiedy mam do czynienia z oszustwem.

Corvus zakołysał szklanką.

- Z zasady jestem przeciwny oszustwom. Rzadko kiedy przynoszą jakiś zysk. Wydaje mi się ono szczególnie podłe, gdy to ja mam paść jego ofiarą.

Anthony uniósł w uśmiechu kąciki ust.

- Rozumiem.

208

- Jestem pana dłużnikiem, z czego, jak sądzę, doskonale zdaje pan sobie sprawę. Lubię spłacać swoje zobowiązania.

- Słyszałem, że pan wyznaje taką zasadę.

Corvus kiwnął głową.

- Tak. Nie będę nas obu krępował pytaniem, jak to się stało, że dżentelmen taki jak pan zna moje przekonania. Skupmy się na interesach. Wyświadczył mi pan ogromną przysługę. Jak mogę się panu odwdzięczyć?

- Pani Bryce i ja mamy kilka pytań odnośnie do Elwina Hastingsa - powiedział Anthony. - Zechciałby pan na nie odpowiedzieć?

- Oczywiście, jeśli tylko będę w stanie. - Starszy mężczyzna z niesmakiem wykrzywił usta. - Biorąc pod uwagę fakt, że chciał

mnie oszukać, nie jestem mu już winien lojalności, jaką zwykle zachowuję wobec ludzi, z którymi robię interesy.

Louisa z zapalem pochyliła się do przodu.

- Czy wolno spytać, dlaczego w ogóle zdecydował się pan robić interesy z panem Hastingsem?

Corvus wypił łyk brandy.

- Nieco ponad rok temu zaproponowano mi udział w jednym z jego przedsięwzięć finansowych. Inwestycja przyniosła całkiem niezły dochód. Gdy w ubiegłym miesiącu zwrócił się do mnie z podobną propozycją, naturalnie byłem skłonny spojrzeć na nią przychylnym okiem.

Anthony wydawał się zaintrygowany.

- Był pan zaangażowany w przedsięwzięcie finansowe Hastingsa mniej więcej w tym czasie, gdy zginęła jego żona?

- Tak, choć pani Hastings jeszcze wtedy żyła. - Corvus pociągnął kolejny łyk ze szklaneczki. - Oczywiście nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni, bo przecież nie obracaliśmy się w tych samych kręgach. W interesach miałem do czynienia z Hastingsem i Grantleyem, jego plenipotentem. Powinienem dodać, że właściwie głównie z Grantleyem. Był pośrednikiem. Odniosłem wrażenie, że Hastings obawia się, by nie widziano nas razem.

**209**

- Wie pan oczywiście, że Fiona Risby popełniła samobójstwo la kilka dni przed śmiercią pani Hastings, i to w podobny sposób

- powiedział Anthony.

- Jestem świadom, że pańska narzeczona zmarła w tym samym tygodniu. Moje kondolencje. Oba przypadki śmierci przez kilka dni okupowały łamy brukowej prasy. - Corvus przerwał na chwilę. -

Potem oczywiście zostały wyparte z pierwszych stron przez śmierć lorda Gavina.

Louisa siedziała bez ruchu, niemal bojąc się odetchnąć. Nikt jednak nie zwracał na nią uwagi.

- Mam powody wierzyć, że panna Risby nie popełniła samobójstwa - powiedział Anthony.

Starszy mężczyzna uniósł ciemną brew.

- Doprawdy?

- Podejrzewam, że została zamordowana przez Elwina Hastingsa. Jeśli się nie mylę, to można założyć, że zabił również swoją żonę. Dwie kobiety w tak krótkim odstępie czasu rzuciły się do rzeki. Wydaje mi się mało prawdopodobne, że to tylko zwykły zbieg okoliczności.

Corvus spojrział na niego z chłodnym zaciekawieniem.

- To interesująca teoria. Ma pan jakieś dowody?

- Tak - odparł Anthony. - W miejscu, gdzie znalazłem przekazane panu papiery, odkryłem też dowód jednoznacznie wiążący go ze śmiercią Fiony Risby.

- Rozumiem. - Corvus spojrział na Louise. - Jak przypuszczam, pani bierze udział w śledztwie, ponieważ zamierza napisać dla prasy reportaż o tajemniczej śmierci obu dam?

- Tak. - Dziewczyna poprawiła okulary na nosie. - Pan Stalbridge i ja poszukujemy rozwiązania tej zagadki.

Miranda otworzyła szeroko oczy.

- Śledztwo w sprawie morderstwa. Jakie to ekscytujące.

- Jest też pewien detektyw ze Scotland Yardu, który chciałby to i owo wyjaśnić odnośnie do wypadków tamtej nocy - rzucił

Anthony. - Zwierzchnicy zmusili go do zamknięcia dochodzenia, **210**

jednak jest gotów je wznowić, jeśli pojawi się bezsporny dowód winy Hastingsa.

- Dowody to coś, czego nie mam. - Corvus rozparł się w krze

śle. - Mogę tylko powiedzieć, co wiem. Mniej więcej dwa tygodnie temu Hastings skontaktował się ze mną i poprosił o znalezienie dwóch uzbrojonych strażników. Spełniłem jego prośbę.

- Oczywiście za okrągłą sumę - dopowiedziała Miranda.

Corvus zmrużył oczy.

- Moja znajomość z tym panem jest oparta na interesach, nie na przyjaźni. Zresztą jest bogaty i nie miał nic przeciw temu, by zapłacić za ochronę. Obecność moich ludzi wyraźnie go uspokoiła.

Odniosłem wrażenie, że się czegoś boi.

- Któregoś wieczoru natknęliśmy się w jego domu na jednego ze strażników - powiedziała Louisa.

- Tak, wiem. - Corvus się uśmiechnął. - Quinby, strażnik, którego spotkaliście, poinformował mnie o tym incydencie, a także o tym, że z sejfu Apollo zginęły jakieś przedmioty. Nie wiedział

dokładnie, co zostało skradzione, ponieważ Hastings mu tego nie powiedział. Oczywiście, gdy dostałem od Mirandy te papiery, coś zaczęło mi świtać. - Spojrział na Anthony'ego. - Zanim przejdziemy do dalszych pytań, sam chciałbym się czegoś dowiedzieć, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Stalbridge kiwnął przyzwalająco głową.

- Proszę bardzo.

- Co jeszcze zginęło z sejfu?

- Przedmioty, za pomocą których Elwin wymuszał szanta

żem pieniądze od pewnych starszych, zamożnych kobiet - odparł

Anthony.

- Szantaż. - Corvus uniósł brwi. - Nie wiedziałem, że Hastings się w to bawi. - Zawahał się chwilę. - Czy wolno spytać, co się stało z owymi przedmiotami?

- Zostały dyskretnie zwrócone ich prawowitym właścicielkom.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się lekko.

**211**

- Tak, oczywiście.

Anthony przyjrzał się swojej szklance.

- Czy pan wie, dlaczego Hastings poprosił o dwóch strażni-w? Zauważyłem, że nigdzie się bez nich nie rusza. Najwyraźniej egoś bardzo się boi.

- Powiedział mi, że Phillip Grantley, jego prawa ręka w inte-sach, zmarł w jego zdaniem dosyć podejrzanych okolicznościach odparł Corvus. - Choć według prasy Grantley popełnił samobój

o.

Louisa przyjrzała się mu uważnie.

- Ale Hastings w to nie uwierzył?

Corvus zastanawiał się chwilę.

- Odniosłem wrażenie, że chciałby wierzyć, iż było to samobójstwo, ale z jakichś względów pozostał sceptyczny. Co ciekawe, gdy ostatnio dowiedział się, że Thurlow również odebrał sobie życie, omal nie oszalał z przerażenia.

- Zarówno Grantley, jak i Thurlow pracowali dla niego - odezwał się Anthony. - Z początku sądziliśmy, że to on zamordował

obydwu. Teraz jednak nie wydaje się to prawdopodobne.

Starszy mężczyzna pokiwał głową.

- Zgadzam się. Mogę potwierdzić, że był naprawdę wstrząśnięty ich śmiercią. Jest przekonany, że coś mu grozi. Dlatego chciał mieć strażników.

- Jeśli przyjrzeć się sprawie bliżej, Hastings rzeczywiście ma powody, żeby się bać - powiedziała Louisa. - Przecież zajmował się szantażem. Może obawia się, że któraś z ofiar wysłedziła Grantleya Thurlowa, a teraz poluje na niego.

Corvus kiwnął głową.

- To bardzo rozsądny tok rozumowania, pani Bryce. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Hastings rzeczywiście tak myślał.

- Z pewnością tłumaczyłoby to jego strach - wtrącił Anthony.

- Jednak nie sądzę, żeby zabójcą była któraś z ofiar szantażu. Sprytnie je wybierał. To były starsze damy, usiłujące ochronić młode, na-wne krewne.

**212**

Miranda rzuciła mu filuterne spojrzenie.

- Niech pan nigdy nie lekceważy kobiet.

- Proszę mi wierzyć, że nie mam takiej skłonności - powiedział

Anthony zarliwie. - Jednak wydaje mi się, że akurat te damy nie miały sił i środków, by wysłedzić Grantleya i Thurlowa. Trudno mi też sobie wyobrazić, że któraś z nich kupiła pistolet, nauczyła się z niego strzelać, a potem wśliznęła się do domów obydwu mężczyzn i ich zabiła.

Louisa zerknęła na niego.

- Właśnie coś mi przyszło do głowy. Może jedna z tych kobiet wynajęła kogoś, by ich zamordował.

Corvus wydawał się rozbawiony.

- Pani Bryce, wynajęcie zabójcy, by zamordował dwóch dżentelmenów, jest trochę bardziej skomplikowane, niż się pani wydaje.

Proszę mi zaufać, że na pewno by mi doniesiono, gdyby ktoś poszukiwał takiej osoby.

Louisę przeszył dreszcz.

- Rozumiem.

- Jestem skłonny zgodzić się z panem Stalbridge'em - ciągnął powoli Corvus. - Wątpię, żeby któraś z ofiar szantażu zabiła Grantleya i Thurlowa albo zapłaciła komuś, by to zrobił. Przebiegły szantażysta nigdy nie próbuje wymuszać pieniędzy od ofiar, które mogą się okazać niebezpieczne. Musicie szukać gdzie indziej.

- Jeszcze jedno pytanie, jeśli można - powiedział cicho Anthony.

Starszy mężczyzna czekał spokojnie.

- Ile osób poza panem wiedziało, że Grantley i Thurlow pracowali dla Hastingsa?

Corvus zastanowił się dłuższą chwilę.

- Zadałem sobie trud, by jak najwięcej dowiedzieć się o Hastingsie, zanim zacząłem robić z nim interesy. Grantleya znałem od początku, ponieważ to on dopracowywał szczegóły tamtej inwestycji. Jednak nic nie wiedziałem o Thurlowie. Gdybyście nie spytali Mirandy, czy Hastings miał innego współpracownika i nie podali jego rysopisu, wątpię, czybym go w ogóle znalazł. Szczerze **213**

mówiąc, musiałem się dobrze zagłębić w sprawę, żeby odkryć, co ich łączyło.

- Innymi słowy, związek między Grantleyem, Thurlowem i Hastingsem nie był powszechnie znany - podsumował Anthony.

- Nie - zapewnił Corvus z powagą. - Na pewno nie.

37

Krótko potem Anthony pomógł Louisie wsiąść do wynajętego powozu. Usiadła i ułożyła fałdy sukni. Spojrzała na mężczyznę, który opadł na siedzenie naprzeciw niej. W słabym świetle lampy jego twarz wydawała się ponura.

- O czym myślisz? - spytała cicho.

- Ktokolwiek zamordował Grantleya i Thurlowa, musiał wiedzieć o ich związkach z Hastingsem - rzucił.

- Tak. Najwyraźniej Elwin również doszedł do tego wniosku i dlatego myśli, że jest w niebezpieczeństwie. - Zawahała się.

- Może mordercą jest ktoś, kogo oszukał w interesach?

- W tym wypadku zabójca mógłby znać Grantleya, ale skąd miałby wiedzieć o Thurlowie? Nawet Corvus nie wiedział o ich powiązaniach, a według tego, co mówił, bardzo dokładnie go sprawdził, zanim zaczął robić z nim interesy.

Louisa westchnęła.

- Zresztą po co ten ktoś miałby ich zabijać? Osoba oszukana przez Hastingsa zaatakowałaby go bezpośrednio.

- Morderstwo dżentelmena o takiej pozycji wzbudziłoby sensację. Nie schodziłoby z łamów prasy przez wiele tygodni. Nawet gdyby zabójcy udało się upozorować kolejne samobójstwo, policja poświęciłaby sprawie wiele uwagi. Być może nie chciał tego ryzykować - zasugerował Anthony.

- Racja. - Louisa się zawahała. - Te morderstwa po prostu nie mają sensu.

214

- Niezupełnie. - Stalbridge skrzyżował ręce na piersi i wyciągnął nogi przed siebie. - Uderzyło mnie to, że zabijając Grantleya i Thurlowa, morderca pozbył się dwóch osób, które najwięcej wiedziały o machinacjach Hastingsa.

- Aha.

Uśmiechnął się lekko.

- Co ci chodzi po głowie? - spytał.

- Ze gdybym postanowiła zniszczyć człowieka, być może zastanowiłabym się nad pozbyciem się ludzi, na których najbardziej polegał w interesach.

- Ale nie poprzestałabyś na tym - ciągnął cicho Anthony. - Nie, jeśli zamierzałaś naprawdę go zniszczyć. Wynika z tego, że Hastings nadal jest w poważnym niebezpieczeństwie.

- Dobrze. Spróbujmy podejść do sprawy inaczej - powiedzia

ła rzeczowo. - Ile osób znało ze szczegółami jego przedsięwzięcia i miałoby powód, by chcieć go zniszczyć?

- Oczywiście, kto oprócz mnie? - spytał sucho.

Zarumieniła się.

- Tak, oprócz ciebie. I prócz podeszłych wiekiem **ofiar szantażu**.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Być może, tak jak sugerowałaś, ktoś kiedyś przez niego oszukany, kto teraz chce się zemścić.

Powinna dać spokój. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, nie powinna już nic więcej mówić. Nie mogła się jednak powstrzymać.

Anthony uparcie szukał odpowiedzi. Ona też chciała poznać prawdę. Musiała zaryzykować.



- Na naszej liście podejrzanych znalazłyby się tylko te osoby, które doskonale orientowały się w potajemnych interesach Hastingsa - powtórzyła Louisa, starannie dobierając słowa. - A równocześnie miałyby powód, by zamordować dwóch mężczyzn, którzy pomagali mu w tych przedsięwzięciach.

- To by była raczej krótka lista. Jeśli jednak Clement Corvus nie potrafił zasugerować ewentualnych podejrzanych, wątpię, czy my coś wymyślimy.

**215**

- Przychodzi mi do głowy jedna osoba - powiedziała cicho.

- Kto?

- Jego zmarła żona.

**38**

Ku zdumieniu Louisy Anthony wcale nie wyśmiał tej sugestii.

Zaintrygowany, przyglądał się jej posępnie.

- Dlaczego myślisz, że Victoria Hastings może być zamieszana w tę aferę? - spytał spokojnie.

- Oczywiście nie wiem tego na pewno - powiedziała pospiesznie. - To mgliste przeczucie, które stopniowo przybrało kształt.

Zamierzałam ci o nim powiedzieć tamtego popołudnia, gdy wróciliśmy na Arden Square po podwieczorku z twoją rodziną, ale zajęli

śmy się czym innym, o ile pamiętasz.

Uśmiechnął się do niej leniwie, z uwodzicielskim błyskiem w oku.

- Bądź spokojna, Louise. Pamiętam każdy szczegół tamtego bardzo rozkosznego zajęcia.

Zarumieniła się, ale dzielnie ciągnęła rozmowę.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy sprawdzić ewentualności, że Victoria Hastings jednak żyje.

- Dobrze. Zastanówmy się nad twoją sugestią. Po pierwsze, zakładając, że ona żyje, dlaczego miałyby mordować Grantleya i Thurlowa?

- Nie wiem. - Louisa rozłożyła ręce. - Ale przyznasz, że jest jedną z niewielu osób, które wiedziały, jak bardzo ci dwaj mężczyźni byli ważni dla Hastingsa.

Anthony milczał przez chwilę, a potem kiwnął głową.

- Mów dalej, słucham.

Sięgnęła do mufki i wyjęła mały notes. Otworzyła go na stronie zatytułowanej „VH” i przejrzała kilka zanotowanych tam faktów.

**216**

- Od początku tej sprawy moją uwagę zwróciło to, że ciało Victorii nigdy nie zostało odnalezione.

- W przypadkach utopienia to się czasem zdarza.

- Tak, wiem, ale zgodzisz się, że ten fakt pozostawia otwartą możliwość, iż przeżyła.

- Musiałyby mieć niesamowite szczęście, a poza tym dobrze pływać. Kobiety rzadko opanowują tę umiejętność.

Louisa spojrzała mu w oczy.

- Ona umiała pływać.

Anthony przyglądał się jej z rosnącą ciekawością.

- Do licha, jak udało ci się to odkryć?

- Dzięki Emmie. Długo z nią rozmawiałam o Victorii. Widzisz, moja kuzynka potrafi pływać. Wspomniała mimochodem, że poza nią pani Hastings była jedyną znaną jej w towarzystwie kobietą, która opanowała tę umiejętność.

- To ciekawe. Tym niemniej, nawet jeśli Victoria umiała pływać, można by przypuszczać, że ciężar sukni i bielizny pociągnąłby ją na dno.

- Zakładasz, że to Hastings wrzucił ją do rzeki. A jeśli upozorowała samobójstwo?

To dało mu do myślenia.

- Co podsunęło ci ten pomysł?

Musi bardzo uważać. Nie mogła przecież powiedzieć, że ta możliwość przyszła jej do głowy, bo sama upozorowała własną śmierć, zainspirowana opisem samobójstwa Victorii Hastings.

Machnęła obojętnie ręką.

- Ach, przypuszczam, że to wpływ tych wszystkich powieści i sztuk o zaginionych żonach i mężach, którzy zawsze niespodziewanie pojawiają się na końcu i twierdzą, że cudem uratowali się od śmierci w odmętach czy innej katastrofy.

- I w ten sposób rujnują szansę na szczęście pary zaangażowanej w sekretny romans - zauważył

Anthony.

Louisa zarumieniła się i spojrzała na notatki.

217

- Tak, cóż, kontynuując, zanim połączyliśmy siły w dochodzeniu, jedną z osób, które przepytywałam, była pokojówka Victorii.

Elwin odprawił ją po zniknięciu żony.

- Odszukałaś tę pokojówkę? Jestem pod wrażeniem. To bardzo pomysłowe z twojej strony.

- Dziękuję. - Louisa zerknęła do notatek. - Oczywiście wtedy interesowały mnie tylko informacje dotyczące Hastingsa. Ale zapisałam sobie kilka rzeczy, które pokojówka powiedziała o swojej dawnej pani.

- Na przykład?

- Pokojówka miała na imię Sally. Gdy straciła pracę w rezydencji Hastingsów, została zaangażowana przez lady Mounthaven. Ta pozwoliła mi z nią porozmawiać. Sally powiedziała, że ostatnią jej pracą przed odejściem było spakowanie strojów i drobiazgów Victorii i przekazanie ich organizacjom dobroczynnym. Wspomniała, że jedyną brakującą rzeczą z garderoby była koszula nocna.

- To by przeczyło teorii, że upozorowała swoją śmierć. Kobieta, która zamierza zniknąć, nie wybierałaby się w świat w samej koszuli nocnej.

- Jeśli zaplanowała to wcześniej, miała czas kupić suknię i ukryć ją do chwili, gdy będzie jej potrzebna. Gdy zniknęła, zostawiając całą garderobę, jej mąż uwierzył, że przeżyła załamanie nerwowe, poszła nad rzekę i skoczyła do wody.

- Dużo nad tym myślałaś, prawda?

Zawahała się, żeby starannie dobrać słowa.

- Oboje z Emmą zgodziliście się, że Victoria Hastings nie wyglądała na osobę, która popełniłaby samobójstwo.

- To prawda.

- Moja kuzynka powiedziała, że Victoria zawsze robiła wra

żenie osoby o silnym charakterze, pełnej determinacji. Bardzo się zdziwiła, gdy przeczytała w prasie, że pani Hastings cierpiała na napady melancholii i miała słabe nerwy.

- Niewątpliwie to Hastings rozpuścił te pogłoski - powiedział

Anthony. - Co jeszcze powiedziała pokojówka?

218

- Najciekawszą informacją, którą podała, było to, że Hastings i Victoria dużo rozmawiali o finansach. Sally wspomniała, że jej poprzednia pani była bardzo bystra, jeśli chodzi o te sprawy, a Hastings zawsze korzystał z jej rad.

Anthony znieruchomiał.

- Masz rację, to rzeczywiście bardzo ciekawe. Nie słyszałem w klubach żadnych plotek o tym, żeby Victoria była jakkolwiek zaangażowana w organizowanie przedsięwzięć męża.

- Cóż, trudno się spodziewać po dżentelmenach z towarzystwa, że choćby przez chwilę pomyślą, iż dama mogłaby mieć talent do spraw finansowych.

- Nie ma potrzeby przypominać mi, że mężczyzna czasem nie uświadamia sobie umiejętności damy. - Anthony rozparł się wygodnie na siedzeniu i się zamyślił. - Podobno Hastings w chwili, gdy żenił

się z Victorią, znajdował się na skraju ruiny. Jednak w ciągu kilku miesięcy po ślubie jego sytuacja finansowa wyraźnie się poprawiła. Zaczął

uruchamiać rozmaite zyskowe przedsięwzięcia inwestycyjne.

Louisę uderzyła nagła myśl.

- Afera z szantażem również została zorganizowana jeszcze za życia Victorii.

- Jeśli to ona zaplanowała te wszystkie sprytnie posunięcia finansowe, dlaczego miałyby zniknąć, zostawiając wszystko, w tym również pieniądze? - dociekał Anthony. - Nadal uważam, że to on ją zabił.

- Być może masz rację - przyznała Louisa. - Dlaczego jednak miałyby ją mordować, jeśli to ona była źródłem jego sukcesów i bogactwa?

- Być może uznał, że już jej nie potrzebuje. Czego jeszcze dowiedziałas się od pokojówki?

Louisa odwróciła stronę i przejrzała zapiski.

- Sally powiedziała, że tego wieczoru, gdy zniknęła pani Hastings, cała służba dostała wychodne.

- To z pewnością było dla kogoś bardzo wygodne - zauważył

Anthony. - To wszystko?

219

Louisa odchrząknęła.

- Hm, jest coś jeszcze.

- Co?

Wzięła głęboki oddech, przygotowując się do przekazania następnej rewelacji.

- Sally sugerowała, że państwo Hastings prowadzili, jak to określiła, pełne wyjątkowego wigoru życie intymne - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to rzeczowo i obojętnie.

Anthony uniósł brwi.

- Pełne wigoru?

Louisa z trzaskiem zamknęła notes.

- Trudno to sobie wyobrazić, ale podobno korzystali z pejcza.

- Rozumiem. - Ton mężczyzny był podejrzanie spokojny.

Spojrzała na niego i zauważyła, że przygląda się jej z rozbawioną miną. Poczowała na policzkach ciepło rumieńca.

- Według informacji, które uzyskałam od Roberty Woods, Elwin Hastings nie stracił upodobania do bata. Właśnie o tę usługę prosi podczas swoich cotygodniowych wizyt w Domu Feniksa.

- Myślę, że potrzebujemy więcej informacji o tym miejscu

- rzucił.

- Tak.

Anthony umilkł i przyglądał się Louisie.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytała po chwili.

Uśmiechnął się leniwie, z mrocznym błyskiem w oku.

- Myślę, że jesteś naprawdę nadzwyczajną kobietą.

- Och! - Nie wiedziała, jak ma to rozumieć. - Ty mnie też mocno zdumiewasz.

- Doskonała z nas para, nie sądzisz?

Z nieznanego powodu Louisę ogarnęła radość.

- Nasza współpraca z pewnością rozwija się doskonale.

Stalbridge znów umilkł. Dziewczyna spojrzała na niego niepewnie.

- O czym myślisz? - spytała, gdy nie mogła już dłużej znieść milczenia.

**220**

- O tym, że dziś po południu w drodze z Arden Square do domu kupiłem kondomy.

Louisa zarumieniła się ogniście.

- Ach, tak - bąknęła. Nie mogła jednak powstrzymać ciekawo

ści. - Gdzie się kupuje takie rzeczy?

- Gdzie? A gdzie kupuje się książki? - Uśmiechnął się szeroko.

-W sklepie.

- Ach, tak. - Zmarszczyła w zdumieniu brwi. - Naprawdę są sklepy, specjalizujące się w takich artykułach?

- Tak. Ten konkretny sklep oferował środki gwarantujące satysfakcję dżentelmenom, miewającym miłości, a zatroskanym o dyskrecję.

- To bardzo interesujące.

- Dziwię się, że nie zapisujesz tej informacji w swoim notesiku.

- Doskonały pomysł. Dziękuję, że mi przypomniałeś. - Sięgnęła do mufki.

Anthony roześmiał się cicho. Pochylił się do przodu i chwycił ją mocno w talii. Pociągnął Louise do siebie i posadził na kolanach.

- Zanim to zrobisz, sugeruję, żebyśmy wypróbowali mój nowy zakup - powiedział tuż przy jej ustach.  
- Oczywiście po to, by upewnić się, że spisuje się, jak należy.

Poczuła przyływ podniecenia. Dotknęła czule dłonią jego policzka.

- Tu, w powozie? - szepnęła.

- Dlaczego nie? Wiem z dobrego źródła, że powozy są bardzo popularne wśród sekretnych kochanków.

Opuścił roletę na okno. Ogarnęła ich przytulna, rozkoszna ciemność. Zamknął jej usta głębokim, zmysłowym pocałunkiem.

Ściągnęła rękawiczki i rozpięła mu koszulę.

Kondomy spisały się tak, jak obiecywał sprzedawca w sklepie.

- Pomyśl tylko, ile wysiłku zaoszczędzisz służbie, gdy nie trzeba będzie prac i prasować twoich chusteczek - powiedziała Louisa jakiś czas później.

221

39

Pani Bryce, proszę wybaczyć, że niepokoiłam panią kolejnym listem. - Roberta Woods naląła herbatę do fajansowych kubków.

- Ale mówiła pani, że chce, by ją informować o wszystkim, co dotyczy pana Hastingsa i jego wizyt w Domu Feniksa.

- Tak, Roberto, nie przepraszaj. Ucieszyłam się, gdy dostałam twoją wiadomość. - Louisa wyjęła notes i ołówek z mufki i położyła na stole. - Czego się dowiedziałaś?

Siedziały w saloniku na piętrze małego domu na Swanton Lane. Było popołudnie, więc miały chwilę spokoju. prostytutki rzadko pojawiały się za dnia. Z kuchni dochodził brzęk garnków i patelni. Kucharka i pomocnice uwijały się, przygotowując wieczorny posiłek.

Roberta była dobrze zbudowaną, energiczną kobietą, pełną zapału i determinacji. Nie mogła przejść obojętnie obok krzywdy. Postawiła kubki na stole i usiadła naprzeciw Louisy.

- Daisy zjawiała się tutaj tuż przed świtem - powiedziała. - Biedactwo, wyglądała okropnie. Pracuje w Domu Feniksa. Kilka dni temu jeden z klientów pobił ją niemal na śmierć.

- Dobry Boże. Wezwałaś doktora?

- Nie chciała mu się pokazywać na oczy. Powiedziała, że nie stać jej na to. Mówiłam, że nasza placówka zapłaci za wizytę, ale mimo to odmówiła. Widziałam, że okropnie się boi.

- Mężczyzny, który ją pobił?

- Nie. I to jest właśnie ciekawe. - Roberta zmrużyła oczy. -

Bała się właścicielki domu publicznego.

- Madame Phoenix?

- Tak.

- Powiedziała dlaczego?

- Wygląda na to, że Daisy ni mniej, ni więcej została sprzedana właścicielce burdelu przez jednego z wierzycieli zmarłego męża.

Louisa zacisnęła palce na ołówku.

**222**

- Nie pierwszy raz słyszymy taką smutną historię od kobiety pracującej w Domu Feniksa, prawda?
- Nie - zgodziła się Roberta. - Nie pierwszy. Tak czy inaczej Daisy była pewna, że właścicielka się wścieknie, gdy odkryje, że jedna z dziewcząt uciekła, zanim, że tak powiem, spłaciła sumę, za którą została kupiona.
- Mów dalej.

Kobieta napiła się herbaty i odstawiła kubek.

- Biedaczka uciekła z Domu Feniksa dziś nad ranem. Miała ze sobą małą walizkę. Przyszła tutaj i poprosiła o pomoc. Słyszała, że ktoś w tym domu gotów był zapłacić za informacje o jednym z klientów burdelu. O Elwinie Hastingsie.
- Zapłaciłaś jej?
- Tak. I wysłałam do Agencji. Tam będzie bezpieczna, przynajmniej na razie, i ukryją jej tożsamość.
- Co Daisy powiedziała o Hastingsie?
- Niewiele, ale może wyda ci się to interesujące. Z powodu pobicia przez ostatnie parę dni nie mogła pracować na utrzymanie w dotychczasowy sposób. Służyła więc jako pokojówka, do czasu gdy wyzdrowieje. Powiedziano jej też, że ma się trzymać z dala od klientów. Do jej obowiązków należało między innymi codziennie sprzątanie łazienki madame Phoenix.
- I?

- Wczoraj, gdy wykonywała swoje obowiązki, usłyszała rozmowę między madame i jej kochankiem.

Louisa spojrzała na Robertę.

- Właścicielka domu schadzek ma kochanka?
- Najwyraźniej. Daisy nie słyszała wszystkiego, ale zrozumiała, że mówiono o Elwinie Hastingsie.
- Co mówili?
- Słyszała tylko fragmenty rozmowy, ale było dla niej jasne, że kłócili się o Hastingsa. Madame Phoenix chciała jeszcze poczekać, zanim coś zrobią. Mężczyzna uważał, że należy to zrobić natychmiast.

**223**



- Co zrobić?

Roberta z irytacją machnęła ręką.

- W tym właśnie rzecz. Daisy tego nie wie. Mogła tylko powie-

ć, że nie zgadzali się, co do tego, kiedy tę rzecz należy zrobić, zażarcie się o to kłócili.

Louisa zrobiła notatkę i się zamyśliła.

- Czy powiedziała, kto wygrał w tym sporze?

Kobieta się skrzywiła.

- Oczywiście madame Phoenix. Daisy mówi, że ona ma stalową wolę. Nikt nie śmie się jej sprzeciwić, nawet kochanek. Dziewczyna twierdzi, że on robi wszystko, co ona mu każe.

Louisa sięgnęła po kubek i napiła się herbaty.

- Czy Daisy zna jego imię?

- Mówi, że nikt go nie zna. Ten człowiek wchodzi i wychodzi od frontu, tylko drzwiami kuchennymi. Zawsze korzysta ze schodów dla służby. Służba została pouczona, że ma go wpuszczać do domu, ilekroć się pojawi.

- Jak często przychodzi?

- To jedna z ciekawszych rzeczy, które mi powiedziała Daisy rzuciła cicho Roberta. - Wygląda na to, że ten mężczyzna odwiedza madame Phoenix w jej prywatnych apartamentach akurat w tym samym czasie, gdy na swoją umówioną godzinę zjawia się Hastings.

Louisa postukała ołówkiem w blat stołu.

- Jak go opisała?

- Mówiła, że jest dosyć przystojny, jeśli się lubi taki typ o ostrym spojrzeniu. Daisy się nie podobał. Ciemnowłosa, zawsze przychodzi w długim czarnym płaszczu.

- Tak można by opisać tysiące mężczyzn. Coś jeszcze?

- Tylko jedno - dodała Roberta. - Mówiła, że on nosi ładny złoty pierścień z onyksem.

Louisie zabrakło tchu. Opanowała się z wysiłkiem i starannie napisała nazwisko w notesie.

Quinby

Louisa pospiesznie wróciła na Arden Square, próbując ułożyć sobie w myślach to, czego się właśnie dowiedziała. Wiadomości od Roberty mogły nie mieć specjalnego znaczenia. Czy to ważne, że Quinby był kochankiem madame Phoenix? Według Daisy zaczął odwiedzać Dom Feniksa dwa miesiące temu. To wskazywało, że poznał madame jeszcze zanim został strażnikiem Hastingsa.

Cóż mogło być dziwnego w związku Quinby'ego i właścicielki domu schadzek? Mężczyzna był przecież dosyć przystojny. Mógł

się po prostu spodobać madame Phoenix i to z wzajemnością. Trafił swój na swego.

Drzwi pod numerem 12 otworzyły się, zanim Louisa zdążyła wyjąć klucz.

- Witam, pani Bryce. - Gospodyni cofnęła się o krok. - Jest dla pani kolejna wiadomość. Przyniesiono ją kilka minut temu. Poło

żyłam ją na pani biurku.

- Dziękuję, pani Galt.

Louisa rozwiązała wstążki kapturka i powiesiła go na wieszaku.

Przeszła korytarzem do gabinetu, zdejmując rękawiczki.

Na stole leżała biała koperta. Dziewczyna chwyciła ją, rozdarła i szybko przeczytała list napisany równym pismem.

Zdobyłem Milтона za rozsądne pieniądze. Mam jednak drugiego klienta, który chętnie go kupi i to zapewne za wyższą cenę. Daję pani czas dzisiaj do piątej po południu. Jeśli pani nie przyjdzie po książkę, sprzedam ją.

Z poważaniem,

Digby.

Niech diabli porwą Digby'ego. Musiał zdobyć tego Milтона akurat tego popołudnia, gdy miała na głowie inne sprawy. Spojrzała na zegar stojący w kącie. Wpół do piątej. Jeśli wyjdzie natychmiast,  
225

dotrze do księgarni Digby'ego tuż przed piątą. Zabierze książkę i wróci do domu około wpół do szóstej. To nie potrwa długo.

Wróciła do holu, wkładając po drodze rękawiczki.

- Pani Galt?

Gospodyni pojawiła się w drzwiach kuchni, wycierając ręce o fartuch.

- Co takiego, psze pani?

- Muszę znów wyjść. - Louisa podeszła do wieszaka i zdjęła słomiany kapturek. - Pan Digby znalazł książkę, której od dawna szukałam. Wrócę najpóźniej o wpół do szóstej.

- Dobrze, psze pani. Niech pani weźmie płaszcz. Chyba nie chce się pani przeziębic?

- Ma pani rację. - Zdjęła płaszcz z wieszaka i narzuciła na ramiona. - Spodziewam się wizyty pana Stalbridge'a. Jeśli się pojawi, proszę mu przekazać, by poczekał.

Chwyciła mufkę i wybiegła na zewnątrz.

**41**

Otworzyła drzwi księgarni i weszła do mrocznego wnętrza.

W środku nie było nikogo. Żadnych klientów. Nawet właściciel nie siedział przy swoim biurku.

- Panie Digby?

Cisza. Drzwi do pokoju na zapleczu były zamknięte.

Odczekała chwilę. Gdy nikt się nie pojawił, przeszła za ladę i zastukała.

- Panie Digby? Jest pan tam? Przyszłam po Miliona. Nie ma jeszcze piątej. Jeśli sprzedał pan tę książkę komu innemu, będę niepokojona.

Z pokoju nie dobiegał żaden dźwięk.

Sięgnęła do gałki i powoli ją przekręciła. Drzwi otworzyły się, ukazując zakurzone, nieoświetlone, bardzo zagracone wnętrze.

**226**

Wszędzie leżały stosy książek. Dookoła piętrzyły się skrzynie i pud

ła. Na stole leżał rulon papieru pakowego i nożyczki.

W powietrzu unosiła się lekka, słodka woń. Louisa zmarszczy

ła nos. Próbowała skojarzyć, co to za zapach, gdy zauważyła ciężkie buty i nogawki brązowych spodni, wystające zza otwartego kartonu.

- Panie Digby? Na litość boską, co się dzieje?

Wpadła do pokoju i podbiegła do kartonu. Właściciel leżał na ziemi twarzą do dołu. Miał zamknięte oczy. Nie było śladów krwi.

Może miał atak serca albo udar mózgu.

Przykucnęła, zdjęła rękawiczkę i poszukała pulsu na szyi mężczyzny. Poczowała ulgę, gdy odkryła, że oddycha, chociaż dosyć płytko. Puls był równy, ale spowolniony. Zaczęła rozluźniać Digby'emu krawat.

Usłyszała za sobą skrzypnięcie podłogi. Chwilę potem silne męskie ramię chwyciło ją wpół i pociągnęło w górę. Otworzyła usta do krzyku. Kwadrat materiału, męska chusteczka albo serwetka zakryła jej usta i nos. Łapczywie chwytiała powietrze. Słodki odór chloroformu był teraz wyraźny, wdzierał się w jej nozdrza i dławił

płuca. Poczowała silny zawrót głowy. Zaczęła się rozpaczliwie szarpać, ale zorientowała się, że ręce ma przyciśnięte do boków i unieruchomione.

Kopnęła z wściekłością. Trafiała w karton i go przewróciła.

Kopnęła jeszcze raz. Tym razem rozległ się głuchy dźwięk, a po nim gniewne przekleństwo, gdy obcas jej buta trafił napastnika w łydkę.

- Przekłęta dziwka - wymamrotał Quinby i wzmocnił chwyt.

- Nie jesteś warta tych korowodów. Gdyby to ode mnie zależało, poderznąłbym ci gardło i byłbyś spokojny.

Coraz bardziej kręciło się jej w głowie. Zrobiło jej się gorąco.

Żołądek podszedł do gardła. Słyszała kiedyś, że chloroform działa w ciągu paru minut, często nawet krócej. W większej dawce może zabić. Zostało jej niewiele czasu.

Przestała szarpać Quinby'ego za ramię i zwiśla bezwładnie, mając nadzieję, że tamten uzna, iż narkotyk już zadziałał. Jednak **227**

napastnik chciał mieć absolutną pewność. Nadal przyciskał to ok-opne płótno do jej ust i nosa.

Niemal nie mogła już myśleć. Wszystko się mieszało. Resztką świadomości pojmowała, że musi coś zrobić, zanim zemdleje.

Quinby przeszedł przez pokój, najwyraźniej chcąc ją zabrać z księgarni. Louisa czuła ciężar mufki, zwisającej jej u lewego nad-narstka na aksamitnej tasiemce. Poruszyła lekko ręką. Miała nadzieję, że nawet jeśli napastnik to zauważy, uzna to za oznakę jej słabnącego oporu.

Ostatnie, co usłyszała, to skrzypnięcie otwieranych drzwi. Potrząsnęła ręką. Wydawało się jej, że nie czuje już ciężaru mufki, ale nie miała pewności. Otoczyła ją chmura chloroformu. Louisa zapadła się w ciemność.

Co to znaczy, że jeszcze nie wróciła? - Anthony wyjął z kieszonki złoty zegarek i sprawdził godzinę. - Jest już prawie wpół do siódmej. Powinna tu być od godziny.

- Tak, panie Stalbridge. Zdaję sobie z tego sprawę. - Pani Galt wyduła wargi z dezaprobatą. - Z doświadczenia wiem, że pani Bryce wychodzi i wraca o najdziwniejszych porach. Co więcej, ma skłonność do wychodzenia, bez zostawiania wyraźnych informacji dokąd się wybiera ani kiedy zamierza wrócić. Tym razem przynajmniej wspomniała, że wybiera się do księgarni Digby'ego.

Dalsze wypytywanie pani Galt nie miało sensu. Anthony rozejrzał się po holu. Kapturka ani płaszcz Louisy nie było na wieszaku.

- Poprosiła, bym poczekał? - spytał.

- Tak, proszę pana. Gdy wróciła po wizycie na Swanton Lane, rzuciła coś, że musi z panem jak najszybciej porozmawiać.

To zwróciło jego uwagę.

## 228

- Poszła na Swanton Lane dzisiaj po południu?

- Tak, proszę pana - prychnęła gospodyni. - Nie wiem, dlaczego się upiera, by chodzić tam tak często. Można przecież dawać pieniądze tym, co pracują dobroczynnie, ale po co porządna dama angażuje się osobiście w tego typu rzeczy?

- Dziękuję, pani Galt. Bardzo mi pani pomogła. Pójdę poszukać pani Bryce.

Kobieta otworzyła drzwi.

- Powodzenia. Tylko tyle mogę dodać.

Anthony zszedł po schodach, zastanawiając się nad następnym ruchem. Zapadał zmierzch. Nie podobała mu się myśl, że Louisa błąka się gdzieś o tej porze sama.

Zacznie od Digby'ego. Może księgarz będzie miał jakieś pojęcie, dokąd mogła pójść po wizycie u niego.

## 43

Louise obudził ból głowy. Czuła odór stęchlizny, który zwykle kojarzy się z piwnicą albo innym podziemnym pomieszczeniem.

Leżała na twardej, zimnej podłodze. Ogarnęła ją panika.

Jestem w kostnicy. Dobry Boże, ja nie żyję!

Nie, to nieprawda. Gdyby nie żyła, z pewnością nie czułaby niewygody. Chyba że poszła od razu do piekła za grzech morderstwa.

Otworzyła oczy. Otaczał ją głęboki mrok, ale na jednej ze ścian dostrzegła plamy światła. Nie, nie miała halucynacji. Prostokąty światła, całkiem wyraźne. To dobrze. Nadal miała na nosie okulary.

To kolejny znak, że jeszcze nie rozstała się ze światem.

Próbowała przywołać jakieś wspomnienia, które mogłyby wyjaśnić jej obecną sytuację. Przed oczami pojawił się obraz cia

ła Digby'ego, rozciągniętego bezwładnie na ziemi. Nagle przypomniała sobie przerażające uczucie uwięzienia w stalowym uścisku, gdy walczyła i kopała, by się uwolnić.

**229**

„Przeklęta dziwka”. Głos Quinby'ego. Potem już nic. Pustka.

Usiadła ostrożnie i podsunęła wyżej okulary na nosie. Na szczęście ból głowy się nie nasilił. Czowała jednak mdłości. Zaczęła powoli, głęboko oddychać. To trochę pomogło.

Ile czasu upłynęło? Niezdarnie wstała i rozejrzała się dooko-

ła próbując ustalić, gdzie się znajduje. Przytłumione światło lampy wpadało przez zakratowane okienko w ciężkich, drewnianych drzwiach. To było małe pomieszczenie z niskim, łukowato sklepionym sufitem, bez okien. Louisa doszła do wniosku, że to chyba jakaś stara piwnica albo może cela zakonna. Sądząc po kamieniach, użytych do budowy, była bardzo stara.

Bez większej nadziei podeszła do drzwi i poruszyła klamką.

Bezskutecznie. Gdy poczuła pod palcami chłód metalu, uświadomiła sobie, że nie ma jednej rękawiczki. Jak przez mgłę przypomi-a sobie, że chyba ją zdjęła, by sprawdzić puls Digby'emu.

Okienko w drzwiach znajdowało się na wysokości oczu. Louisa wyjrzała przez kratę. Zobaczyła następne stare, kamienne pomieszczenie o niskim sklepieniu. Lampa, jedyne źródło światła, stała stole na środku izby. W jej nikłym blasku widać było na jednej z bocznych ścian zamknięte drzwi, a naprzeciwko wąskie, wytarte kamienne stopnie, ginące we wnęce.

Już miała się odwrócić, by rozejrzeć się po celi, gdy usłyszała ciche skrzypnięcie buta na kamieniu. Na nowo ogarnął ją strach.

ktoś schodził po schodach. Zobaczyła spódnicę czarnej, eleganckiej sukni i modne czarne buty.

Kobieta zeszła z ostatniego schodka i stanęła na środku piwnicy, czarny kapelusik tkwił na czubku upiętych wysoko gęstych złoci-ych włosów. Czarna woalka skrywała jej twarz.

Louisa wzięła głęboki oddech.

- Victoria Hastings, jak mniemam? Czy też powinnam się do pani zwracać „madame Phoenix”?

Kobieta znieruchomiała na chwilę, zdumiona, że została rozpoznana. Potem powoli podeszła do drzwi celi. Dłonią w czarnej rękawiczce spokojnie uniosła woalkę do góry. Louisa doszła do **230**

wniosku, że Victoria ma twarz anioła, jednak szaleńczy, bezlitosny błysk w jej niebieskich oczach wydawał się niemal szatański.

- Przykro mi, że trzeba było panią porwać, ale może mieć pani pretensje tylko do siebie - powiedziała kobieta. - Stanowczo za bardzo zbliżyła się pani do prawdy, pani Bryce. Czy też mam się do pani zwracać: J.A. Fantomie?

**44**

Na drzwiach księgarni Digby'ego wisiała tabliczka „Zamknięte”.

Anthony nie przejął się nią i nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Wyjął wytrychy, które zawsze nosił przy sobie i zabrał się do pracy. Po dziesięciu sekundach już był w ciemnym wnętrzu sklepu.

Gdy otwierał drzwi, zadźwięczał dzwonek nad wejściem.

- Kto tam? - odezwał się zalekniony głos z mieszkania na piętrze. - Precz. Sklep jest już zamknięty.

Stalbridge przeszedł przez księgarnię i zatrzymał się u stóp schodów.

Na piętrze stał Digby. Wydawał się zdenerwowany.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Anthony. -

Nazywam się Stalbridge. Ufam, że pan mnie pamięta. Byłem tu w sprawie Milтона.

Księgarz przyjrzał mu się uważnie.

- Pamiętam pana całkiem dobrze. Co pan tu robi? - spytał.

- Szukam pani Bryce. Czy pan ją widział?

- Dzisiaj nie, dzięki Bogu. Dość miałem kłopotów - mruknął

Digby.

- Dzisiaj po południu wysłał pan do niej wiadomość.

- Niczego takiego nie zrobiłem.

- Jest pan tego pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. - Najeżył się Digby. - Nie miałem powodu, by wysyłać do niej wiadomość.

**231**

- Jest pan pewien, że nie było jej tutaj koło piątej? - dopytywał

się Anthony.

- Już panu mówiłem, że jej tu nie było. A teraz proszę, niech pan sobie idzie. Nie czuję się dobrze.

- Coś panu dolega?

- Teraz już nie. - Księgarz z zatroskaną miną przycisnął dłoń do czoła. - A przynajmniej tak mi się wydaje. Miałem dzisiaj jakiś atak. Nie wiem, co się stało. Chyba zemdlałem. Ocknąłem się na podłodze w pomieszczeniu na zapleczu. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli położę się do łóżka.

- Pan był przez jakiś czas nieprzytomny? - spytał Anthony

- Tak. Jakieś pół godziny. I co z tego?

- O której godzinie odzyskał pan świadomość?

- Nie patrzyłem na zegarek. - Mężczyzna poirytowany zama-chał rękami. - Musiało być po piątej.

- Panie Digby, czy mógłbym się rozejrzeć na zapleczu?

- Po co? - Księgarz obrzucił go ponurym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Obawiam się o bezpieczeństwo pani Bryce - odparł zdenerwowany Anthony.

- Musi pan szukać gdzie indziej. Mówiłem, że jej tu dzisiaj nie było.

- To potrwa tylko chwilę - zapewnił Stalbridge.

Przeszedł do pokoju na zapleczu księgarni i zapalił lampę.

- Niech pan posłucha - zawołał Digby ze szczytu schodów.

- Nie wolno panu szarogęsić się w moim sklepie.

Anthony zignorował go i rozejrzał się po zagraconym pokoju, czuł, że stało się coś złego. Na podłodze leżał przewrócony karton z książkami. Wyglądał, jakby ktoś go kopnął. Podeszedł bliżej i znie-uchomiął. Przeszył go lodowaty dreszcz. Zobaczył na podłodze rękawiczkę. Pochylił się i ją podniósł.

- Co pan tam ma? - zapytał Digby od progu. - To mi wygląda la damską rękawiczkę.



- To jest damska rękawiczka.

**232**

- Skąd ona się tam wzięła? - Księgarz wydawał się zirytowany i równocześnie zbity z tropu. - Tylko ja wchodzę do tego pomieszczenia.

- Dobrze pytanie. - Anthony przeszedł parę kroków i zauważył

wśród pudeł zgniecioną chustkę. - To pańska?

Digby z ociąganiem podszedł bliżej i przyjrzał się tkaninie.

- Nie. Ja nie używam fikuśnych, haftowanych chusteczek. Takie to noszą dżentelmeni.

Z chusteczki unosił się słaby, słodkawy zapach. Anthony pomyślał, że to nie perfumy. Po chwili zorientował się, co to za woń i ogarnęło go przerażenie.

- Digby, chyba wiem, co wywołało pańskie omdlenie dzisiaj po południu - powiedział. - Ktoś podał panu chloroform.

- Niech to diabli porwą, jest pan pewien?

Anthony już miał mu odpowiedzieć, gdy nagle zauważył mufkę. Leżała w korytarzu, prowadzącym do tylnego wyjścia.

Strach zmroził mu krew w żyłach. Podniósł mufkę. W środku był notes i ołówek, które Louisa wszędzie zabierała ze sobą.

Przypomniał sobie komentarze pani Galt na temat wizyty Louisy na Swanton Lane. Sięgnął do mufki, wyjął notes i otworzył na ostatnich zapiskach.

Pierwsze, co zobaczył to imię: „Quinby”. Od niego wychodziła strzałka, która wskazywała na: „Madame Phoenix”.

Dwadzieścia minut później Anthony zapukał do kuchennych drzwi domu na Swanton Lane.

Kobieta z surową miną spojrzała na niego przez kratę.

- Mężczyźni nie mają tu wstępu - powiedziała.

- Nazywam się Stalbridge. Anthony Stalbridge. Jestem bliskim przyjacielem pani Bryce. Wydaje mi się, że Louisa znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Potrzebuję pani pomocy.

**233**

**45**

Louisa cofnęła się dwa kroki i skryła w mroku swej celi. Nie chciała, by Victoria ją widziała.

- Przypuszczam, że sprowadziła mnie tu pani w jakimś celu?

Kobieta podeszła do drzwi i zajrzała przez kratę.

- Obawiam się, że Tamiza pochłonie ciało kolejnej samobójczyni. Tym razem ofiarą będzie skromna, bardzo daleka kuzynka lady Ashton. Jakże to smutne.

- Porywając mnie, popełniła pani poważny błąd - powiedziała Louisa. - Pan Stalbridge będzie się o mnie niepokoił.

- Gdy zorientuje się, co się stało, będzie za późno, by mógł

cokolwiek zrobić. Zresztą wątpię, by specjalnie się przejął pani zgonem, nawet jeśli się domyśli prawdy.

- Pani wydaje się być tego pewna.

Victoria uśmiechnęła się z pełną wyższości arogancją.

- Jestem pewna, ponieważ w przeciwieństwie do pani, go rozumiem. Gdy się zrozumie mężczyznę, dowie, czego on pragnie, można nim kierować.

- Jak może pani mówić, że zna Stalbridge'a? Spotkaliście się przelotnie tylko kilka razy na imprezach towarzyskich - zaprotestowała Louisa.

Kobieta zacisnęła ręce na kracie.

- Powiedziałam, że wiem, czego pragnie. Obsesyjnie szuka zemsty za śmierć swojej ukochanej. Widzi pani, on od początku podejrzewał, że to nie było samobójstwo.

- I miał rację, prawda?

Victoria uśmiechnęła się zimno.

- Tak. Wkrótce dam mu to, czego najbardziej pragnie. Zabójcę Fiony. Jego zainteresowanie panią sprowadza się tylko do tego, że jest mu pani przydatna w poszukiwaniach. Gdy uzyska odpowiedzi na pytania, pani będzie już martwa i przestanie mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

**234**

- To Elwin Hastings zamordował Fionę, prawda? - spytała Louisa.

- Z moją pomocą. - Victoria wzruszyła od niechcenia ramionami. - Nie mieliśmy wyboru. Natknęła się na nas w ogrodzie tamtej nocy podczas balu. Nie wiem, dlaczego wyszła na zewnątrz. Może po prostu chciała odetchnąć świeżym powietrzem. Tak czy inaczej, podsłuchiwała moją kłótnię z Elwinem,

dotyczącą zaaranżowanych przeze mnie szantaży. Wszystko się dobrze układało, ale mój mąż zrobił się zbyt chciwy.

- Szantażowanie starszych dam to był pani pomysł?

- Oczywiście. Wszystkie przedsięwzięcia, które przyniosły Hastingsowi dochód, wymyśliłam ja. -  
Twarz Victorii wykrzywił

gniew. - Niestety, ten dureń wmówił sobie, że każdy z tych pomysłów był jego dziełem. Popełniłam błąd, że pozwoliłam mu trwać w tym przeświadczeniu. Doszedł do wniosku, że już mnie nie potrzebuje.

- Co zrobiliście z Fioną?

- Gdy usłyszałam szelest zza żywopłotu, zrozumiałam, że ktoś tam jest i wie dość, by nas zrujnować. To była panna Risby. Nie mogliśmy pozwolić, by pozostała przy życiu. Podeszłam do niej i rozmawiałam grzecznie, jakby nigdy nic. Hastings zaszedł ją od tyłu i uderzył w głowę laską.

- Dobry Boże - wyszeptała Louisa.

- Gdy straciła przytomność, wynieśliśmy ją przez furtkę w ogrodzie i zostawiliśmy w alejce, związaną i zakneblowaną. To było ryzykowne, ale nic innego nie przyszło nam do głowy. Wróciliśmy do sali balowej, wezwaliśmy dorożkę i odjechaliśmy.

- A potem wróciliście i zabraliście ją nad rzekę?

- Elwin się tym zajął. Wziął jeden z moich płaszczy i wrócił

po pannę Risby. Żyła, ale nadal była nieprzytomna. Zawinął ją w płaszc.

- Jak ją przeniósł nad rzekę?

- Hastings to postawny i silny mężczyzna. Fiona była drobna.

Elwin po prostu przerzucił ją sobie przez ramię i wyniósł stamtąd **235**

niczym worek kartofli. Gdy doszedł do bocznej ulicy, zatrzymał dorożkę.

- Jak wytłumaczył woźnicy, dlaczego niesie kobietę?

Victoria się uśmiechnęła.

- To było proste. Wyjaśnił, że taszczy prostytutkę, która go zabawiała, ale potem straciła przytomność z nadmiaru ginu. Z dobrego serca chciał ją odwieźć do domu, który znajdował się nad rzeką.

Dorożkarz nie zadawał więcej pytań.

Louisa się wzdrygnęła.

- Hastings popełnił jeden błąd. Nie mógł się oprzeć pokusie, by nie zabrać naszyjnika, który Fiona miała na sobie tamtej nocy.

Zabrał go, zanim wrzucił ją do rzeki - powiedziała.

Victoria się roześmiała.

- Niech pani nie wini Elwina za ten naszyjnik. To ja zdjęłam go z szyi panny Risby, gdy zostawialiśmy ją w alejce. Nie mogłam pozwolić, by tak cenny klejnot przepadł w rzece. Oczywiście zamierzałam zmienić oprawę kamieni.

- Rozumiem, dlaczego pani i Hastings zamordowaliście Fionę. Ale dlaczego zaaranżowała pani swoje zniknięcie, by powrócić potem jako właścicielka domu publicznego? To trochę poniżej pani godności.

W mgnieniu oka piękna twarz kobiety wykrzywiła się w grymasie wściekłości.

- Czyś ty oszalała?! - warknęła. - Myślisz, że tego chciałam? Ja go kochałam. - Po chwili dodała już spokojniej: - Słyszysz mnie?

Elwin był jedynym człowiekiem na świecie, któremu ufałam. My

ślałam, że jesteśmy dla siebie stworzeni jak dwie połówki jabłka. To, co wie o obracaniu pieniędzmi i chciwości, która kieruje ludźmi, wie ode mnie. Nauczyłam go wszystkiego. Wszystkiego!

Louisa uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Victoria była o krok od szaleństwa.

- Jak to się stało? - spytała cicho.

- Ten łotr doszedł do wniosku, że już mnie nie potrzebuje. Myślę, że zabicie Fiony Risby nappełniło go przeświadczeniem **236**

o własnej wszechmocy. Gdy raz zamordował, kolejne zabójstwo wydało mu się łatwe. Dopadł mnie parę dni później, gdy spałam.

Użył chloroformu. Obudziłam się zbyt późno i nie miałam sił, by walczyć. Przytrzymał mnie i dokończył dzieła.

- Ale pani przeżyła - wtrąciła Louisa.

- Tamtej nocy miałam szczęście. Nie byłam całkiem nieprzytomna, gdy wpadłam do wody. Umiem pływać i miałam na sobie tylko koszulę nocną, a nie suknię i gorset. Zostałam wyciągnięta z rzeki przez jakiegoś obłąkańca, który mieszkał w szopie na brzegu.

- I co pani zrobiła?

Victoria zacisnęła wargi i zmrużyła oczy.

- Przetrwałam. Mam w tej kwestii spore doświadczenie, pani Bryce.

- Tak, widzę.

- Ten obłąkaniec myślał, że jestem boginią, zesłaną z niebios.

Troskliwie się mną zaopiekował. Gdy doszłam do siebie, zaczęłam snuć plany.

- Dlaczego pani po prostu nie wróciła, nie poszła na policję i nie opowiedziała co się stało?

Victoria roześmiała się szyderczo.

- Pani Bryce, chyba nie jest pani aż tak naiwna. Nie miałam dowodu, że Elwin próbował mnie zabić. Wie pani równie dobrze jak ja, jak potoczyłyby się sprawy. Policja szybko doszłaby do wniosku, że kobieta, która oskarża dżentelmena o tak wysokiej pozycji towarzyskiej, padła ofiarą hysterii.

Wspomnienie uporczywego prześladowania przez lorda Gavina przeniknęło Louise dreszczem. Już wtedy zdawała sobie sprawę, że gdyby poszła na policję, potraktowano by ją dokładnie tak, jak mówiła Victoria.

- Tak - powiedziała. - To prawda.

- W najlepszym wypadku zamknięto by mnie w domu dla obłąkanych. Jednak o wiele bardziej prawdopodobne wydaje się to, że Elwin spróbowałby mnie zabić jeszcze raz.

- Więc postanowiła się pani ukrywać - stwierdziła Louisa.

237

- I przygotować zemstę - dodała Victoria.

- Dziwię się, że pani po prostu nie zabiła Hastingsa.

- Myślałam o tym wiele razy, ale to byłoby zbyt łatwe. Chcia

łam, żeby cierpiał. Marzyłam, że będę go przypiekać na wolnym ogniu. Długo, bardzo długo. Pragnęłam, by widział, jak powoli, nieubłaganie nadciąga jego koniec.

- Zamordowała pani poprzednią właścicielkę Domu Feniksa, prawda?

Twarz kobiety się rozpogodziła i znów stała się piękna.

- Nie było trudno się jej pozbyć i przejąć kontrolę nad tym miejscem.

- Gdzie dama, obracająca się w najlepszych kręgach towarzyskich, nauczyła się, jak prowadzić dom publiczny? - spytała zdumiona Louisa.

Victoria uśmiechnęła się z chłodnym rozbawieniem.

- Jak to, pani Bryce, nie domyśla się pani? Znam się na tym interesie, bo w nim wyrosłam.

Dziewczyna spojrzała na nią, zaskoczona.

. - Była pani prostytutką?

- Mój ojczym sprzedał mnie do burdelu, gdy miałam dwanaście lat. Świetnie wyuczyłam się tego rzemiosła. O, tak. Zanim skończyłam osiemnaście lat, zarządzałam tamtym domem. W wieku dwudziestu dwóch lat poznałam Ełwina Hastingsa. Był klientem. Pobraliśmy się osiem miesięcy później, gdy udało mi się go przekonać, że pomogę mu dorobić się fortuny. Dotrzymałam obietnicy, ale ten łotr złamał dane słowo.

- To pani chodziła za mną i szpiegowała mnie przez ostatnie kilka dni - rzuciła Louisa.

- Doszły mnie plotki, że ktoś wypytuje kobiety, które przychodzą do domu na Swanton Lane, o Dom Feniksa. Pomyślałam, że powinnam zbadać, o co chodzi. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy odkryłam, że jest pani korespondentką „Latającego Detektywa”.

Louisa nie wiedziała, co odpowiedzieć, uciekła się więc do pochlebstwa.

**238**

- Victorio, jest pani naprawdę niesamowitą kobietą - rzuciła i uniosła oczy do sufitu. - Gdzie jestem? W pani domu schadzek?

- Tak. Witam w Domu Feniksa. Zapewniam, że od kiedy ja objęłam tu rządy, zyski znacząco wzrosły.

- Nie mogę uwierzyć, że pani wróciła do tego środowiska.

Kobieta parsknęła szyderczo.

- A ja sądziłam, że pani ma bardziej tolerancyjne poglądy na te sprawy, pani Bryce. Potrzebowałam pieniędzy, by zrealizować plan zemsty. Chyba pani zauważyła, że w naszym tak zwanym nowoczesnym społeczeństwie kobieta, która nie ma rodzinnych koneksji albo bogatego męża, nie może zarabiać na swoje utrzymanie.

- Czy trudno było zwabić tutaj Hastingsa?

- Ależ skąd. - Victoria znów się uśmiechnęła. - W końcu znam jego upodobania lepiej niż kto inny. Mówiłam pani, gdy się raz zrozumie, czego mężczyzna pożąda, ma się go w swojej mocy.

- Zamierza go pani zabić?

- Tak. Dzisiejszej nocy. Nie planowałam zrobić tego tak szybko.

Chciałam, żeby Elwin poniósł najpierw klęskę finansową. Pracowałam nad tym od kilku miesięcy. To przedsięwzięcie inwestycyjne, z którego jest taki dumny, miało skończyć się klęską. Straciłby wszystko. A wtedy oczywiście popełniłby samobójstwo. Potem ja wróciłabym między żywych jako żbolała wdowa. Dzięki zyskom, płynącym z Domu Feniksa, mogłabym z powrotem zająć należne mi miejsce w towarzystwie.

- To pani wymyśliła ten plan z konsorcjum?

- Oczywiście. Posłużyłam się Grantleyem, by dopracował szczegóły i namówił Elwina, by do niego przystąpił.

- A gdy przestał być już potrzebny, zabiła go pani.

Victoria wzruszyła ramionami.

- Pomyślałam, że tak będzie najlepiej.

- A Thurlow? Dlaczego zamordowała pani również jego?

- spytała Louisa.

- Zorientował się, kim naprawdę jest madame Phoenix. Okazało się, że jedna z dziewcząt obsługiwała go na boku. Po jakimś jej **239**

komentarzu nabrał podejrzeń i zaczął tu przychodzić jako klient.

Wymykał się na górę. Udało mu się zobaczyć mnie bez welonu.

Oczywiście natychmiast mnie rozpoznał.

- I co zrobił?

- Próbował mnie szantażować. Zagroził, że zawiadomi Elwina, iż żyję.

- Więc poszła pani do jego domu, poczekała, aż wróci pijany i zastrzeliła go.

- Thurlow był przystojny, ale obawiam się, że niezbyt lotny.

- Jak pani zabije Hastingsa? - spytała Louisa.

- Pani i Stalbridge zmusiliście mnie do zrobienia ruchu wcześniej, niż planowałam. - Victoria była najwyraźniej rozdrażniona takim obrotem wypadków. - Elwin zatem umrze na atak serca podczas swej cotygodniowej sesji w Domu Feniksa.

- Jak zdoła pani upozorować atak serca?

- Odpowiednia dawka chloroformu może zatrzymać pracę serca.

- A potem ja skończę w rzece, tak?

- Niestety. Zostawi pani smętny list, że zakochała się pani w Stalbridge'u. Zdała sobie pani jednak sprawę, że wasz romans prowadzi donikąd ze względu na dzielące was różnice. Kobiety często rzucają się do rzeki z powodu niespełnionej miłości. To zdumiewające, prawda? - Victoria pokręciła głową. - Nigdy nie rozumiałam, dlaczego ktoś miałby zabijać się z miłości, ale cóż, tak widać bywa.

- Anthony w to nie uwierzy - powiedziała Louisa.

- Moja droga, pani naprawdę nie rozumie natury mężczyzn.

Stalbridge zainteresował się panią tylko dlatego, że jego zdaniem pani może mu pomóc pogrążyć Hastingsa. Proszę mi wierzyć, gdy dowie się, że Elwin nie żyje, zadowolony uzna swoją misję za zakończoną. Z jakiego powodu miałby badać przyczyny pani śmierci?

Pani po prostu nie jest dla niego dostatecznie ważna.

- Myślę, że naraża się pani na ogromne niebezpieczeństwo, nie doceniając Stalbridge'a. Przyznaję, że nie jest we mnie zakochany.

Zapewniam jednak, że będzie bardzo zainteresowany moim nag

łym zgonem.

**240**

- Pani oszukuje sama siebie - powiedziała Victoria i zawahała się na chwilę. - Naprawdę żałuję, że muszę panią zabić.

- Myśli pani, że w to uwierzę?

- Mówię prawdę. Pominąwszy pani naiwność odnośnie do Stalbridge'a, jest pani intrygującą kobietą. Podziwiam pani osiągnięcia jako reporterki. W innych okolicznościach z chęcią zawar

łabym z panią bliższą znajomość. Jestem pewna, że znalazłybyśmy mnóstwo wspólnych tematów do rozmów.

- Wątpię - odparła Louisa.

Victoria zignorowała jej odpowiedź.

- Niestety, z powodu pani reporterskich zapędów stała się pani dla mnie niewygodna. Uświadomiłam sobie, że może pani odkryć prawdę. To tylko kwestia czasu, zanim odkryłaby pani moją tożsamość. Przykro mi, pani Bryce, ale znalazła się pani w tej samej sytuacji, co Fiona Risby. Obawiam się, że pani za dużo wie. Nie mogłabym przecież po śmierci Hastingsa zająć należnego mi w towarzystwie miejsca i aranżować kolejnych intratnych przedsięwzięć dla dżentelmenów z arystokracji, jeśli



korespondentka „Latającego Detektywa” wiedziałyby, że zboleła wdowa do niedawna prowadziła dom publiczny.

46

Marcus ujął się pod boki i zmrużywszy oczy, obserwował roz

świetlone okna na najwyższym piętrze Domu Feniksa.

- Jesteś pewien, że ona tam jest? - spytał.

- Nie - odparł Anthony. - Jednak to wydaje się najbardziej prawdopodobne. Szczerze mówiąc, nie wiem, gdzie indziej miałbym jej szukać.

Stali w alejce na tyłach domu schadzek. Zarówno on, jak i jego ojciec ubrani byli w porządne, choć nienowe stroje robocze, zakupione pospiesznie w jakimś lombardzie. Nasunęli meloniki na **241**

czoła. Za nimi stał wóz, zaprzężony w konia. Wokół panowały ciemności.

Anthony zdawał sobie sprawę, że jego plan jest desperacki, ale nie umiał wymyślić niczego innego. Intuicja ostrzegała go, że czasu jest coraz mniej. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że Louisa nie żyje. Chybaby wtedy oszalał.

- Podejrzewam, że nie trzymajają na parterze - powiedział. -

To byłoby zbyt proste. Roberta Woods mówiła, że ten dom został

zbudowany na fundamentach starego klasztoru i część podziemi zachowano. Tam trzeba szukać! Musimy tylko wywołać zamieszanie.

- Będę szukał od najwyższego piętra - powiedział Marcus.

- Spotkamy się w kuchni.

Ojciec spojrzał na niego.

- Co zrobimy, jeśli jej nie znajdziemy?

- Nie zamierzam wracać z pustymi rękami - powiedział spokojnie Anthony. - W najgorszym wypadku dopadnę madame Phoenix albo Quinby'ego. Sądzę, że któreś z nich powie mi prawdę.

Marcus uniósł krzaczaste brwi.

- Pod warunkiem, że zechcą z tobą rozmawiać.

Anthony zacisnął ręce w pięści.

- Któreś z nich na pewno zechce porozmawiać - syknął.

Ojciec przyglądał się synowi przez chwilę, a potem odetchnął powoli.

- Dobrze. Jestem gotów działać na twój znak.

- Teraz - rzucił Anthony.

Marcus schylił się i zaczął grzebać pod plandeką wozu. Wyciągnął koszyk z czterema butelkami drogiej brandy. Bez słowa ruszył

do drzwi kuchennych Domu Feniksa.

Anthony przyglądał się, jak drzwi się otwierają i pojawia się w nich zaaferowana kobieta.

- Mam tu brandy, co to madame zamówiła na dzisiaj dla jakichś fest gości - powiedział Marcus, naśladowując akcent z nizin.

Kobieta zmarszczyła brwi.

**242**

- Nikt mi nic nie mówił o żadnej brandy.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jak pani nie chce, to mnie to za jedno. Pryncypał powiedział, że prześle madame Phoenix rachunek za te flaszki na koniec miesiąca. Może ona nawet nie zauważy, że płaci za brandy, którego nie dostała.

Kobieta po chwili wahania otworzyła szerzej drzwi.

- Dobrze. Niech pan zanieś to do spiżarni. Beth będzie wiedziała, co z tym zrobić.

Marcus zniknął w domu.

Anthony spojrział na zegarek. Nie musiał długo czekać, zanim pierwsze smugi dymu zaczęły się wydobywać z uchylonych okien na górnych piętrach. Niemal równocześnie rozległy się krzyki i piski przerażenia.

- Pożar! - krzyknęła jakaś kobieta.

Anthony wiedział, że za chwilę dym zasnuje wszystkie korytarze domu i wywoła panikę.

Wkrótce kuchennymi drzwiami na tyły domu zaczęli wychodzić ludzie. Najpierw kucharka i przepasane fartuchami pomocnice, potem pokojówki w skąpych strojach. Wszystkie chodziły tam i z

powrotem, głośno komentując i zerkając na kłęby dymu, buchające z okien na piętrze.

- Ktoś powinien wezwać straż pożarną - zauważyła kucharka.

- Madame Phoenix nie chciałyby wprawiać gości w zakłopotanie - odparła hardo piersiasta pokojówka. - W środku są ważni dżentelmeni.

- Wątpię, czy chciałyby, żeby dom się doszczętnie spalił - rzucił

ktoś kąśliwie.

- Jestem pewna, że za chwilę się pojawi - dodała pokojówka.

- Niech sama zdecyduje.

Kłęby dymu zaczęły się wydobywać z kolejnego okna. Coraz głośniejsze krzyki odbijały się echem w ulicze.

Anthony podszedł do wejścia. Nikt na niego nie spojrział ani nie zadawał mu pytań, gdy wszedł do środka.

## 243

Roberta Woods naszkicowała plan budynku na podstawie informacji otrzymanych od Daisy. Stalbridge przestudiował go wcześniej, starając się myśleć jak porywacz.

Najbardziej oczywistym miejscem na uwięzienie kogoś byłyby stare piwnice. Daisy twierdziła, że madame Phoenix zakazała służbie schodzić do piwnic bez jej wyraźnego polecenia.

Anthony przeszedł korytarzem, szukając drzwi, które mogłyby ukrywać zejście do podziemi. Obok niego przebiegł czerwony na twarzy, zdenerwowany mężczyzna w średnim wieku, który wydał

się mu znajomy. Rozpięta koszula i rozwiązany krawat powiewały za nim. Anthony pochylił głowę i odwrócił twarz do ściany, ale nie musiał się obawiać, że hrabia Pembray go rozpozna. Był skupiony tylko na tym, jak się wydostać z płonącego budynku.

Z tego, co Anthony słyszał o groźnej lady Pembray, wydawało się to jak najbardziej słusznym postępowaniem. Owa można dama byłaby nadzwyczaj niezadowolona, gdyby nazwisko jej męża wymieniono w prasie przy okazji opisu pożaru w cieszącym się złą sławą domu schadzek.

Jeszcze dwóch częściowo rozebranych mężczyzn, a potem trzy kobiety w lekkich, przejrzystych sukniach przebiegły obok Anthony'ego. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Odnalazł drzwi do piwnicy dokładnie tam, gdzie wskazała je Daisy. Oczywiście były zamknięte. Stalbridge wyjął swoje wytrychy i zabrał się do pracy.

Louisa usłyszała stłumione okrzyki przerażenia. Zerwała się na nogi, podszła do drzwi i chwyciła się kraty. Na kamiennych schodach rozległ się stukot butów.

Quinby, ubrany jak zwykle w długi płaszcz, wynurzył się z ciemności. W świetle lampy dziewczyna zobaczyła jego posępną twarz.

244

W jednej ręce trzymał pęk kluczy na masywnym kółku. W drugiej ścisnął pistolet.

- O co chodzi? - spytała. - Co się dzieje?

- Gdzieś na piętrze wybuchł pożar. Nie możemy ryzykować, że strażacy znajdą tutaj twoje ciało. Pójdiesz ze mną. Nad rzekę!

Pchnął drzwi, otworzyły się szeroko z głośnym skrzypieniem zawiasów.

Louisa poczuła przypływ nadziei. Pożar oznaczał chaos i zamieszanie. Może będzie miała okazję zwrócić czyjąś uwagę albo nawet uciec.

Quinby stanął w progu i schował pistolet do kieszeni płaszcza.

Chwycił dziewczynę za ramię.

- Szybko! - Szarpnął ją. - Nie ma czasu do stracenia.

- Chyba nie oczekuje pan, że będę biegła w tej sukni - odezwa

ła się. - To niemożliwe, natychmiast zapłaczę się w spódnice.

- Jeśli się przewrócisz, to po prostu pociągnę cię po podłodze

- zagroził mężczyzna. - Twój wybór. I nie próbuj krzyczeć. Nikt cię nie usłyszy.

Pozostało jej tylko iść z nim posłusznie i wypatrywać dogodnej okazji. Zebrała w dłoniach fałdy sukni i uniosła je powyżej kolan.

Quinby boleśnie zacisnął rękę na jej ramieniu i pociągnął ją do przodu. Louisa przerażyła się, gdy zrozumiała, że nie zamierza wyprowadzić jej po schodach na górę, tylko kieruje się do drzwi naprzeciw jej celi, za którymi najwyraźniej był jakiś ukryty korytarz.

Przeczuwała, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Mężczyzna popchnął ją przez przylegającą do jej celi izbę i przekręcił klucz w zamku w starych drzwiach. Uchyliły się, ukazując kamienny tunel. Louisa usłyszała szelesty i popiskiwanie. Uświadomiła sobie, że to szczury. Poczła odór stęchlizny, od którego zrobiło się jej niedobrze.

- Chyba nie zamierza pan tam wejść bez latarni? - rzuciła.

Quinby zawahał się, najwyraźniej nie wiedząc, co robić. Zaklął

paskudnie i rzucił pęk kluczy na podłogę. Nie puszczał ramienia **245**

dziewczyny zawrócił do stolika po lampę. Już po nią sięgał, gdy ze schodów dobiegł ich głos Anthony'ego.

- Puść ją, Quinby.

Strażnik zareagował błyskawicznie. Chwycił Louise za gardło i jednocześnie się odwrócił, by stawić czoła przeciwnikowi.

Mocno przywarł do pleców Louisy, zamierzając posłużyć się nią jak tarczą. Uświadomiła sobie, że wyjął z kieszeni pistolet i przycisnął jej lufę do skroni.

Spojrzała na Anthony'ego. Stał u wylotu schodów, ubrany w ciężkie buty i luźny strój robotnika. On również trzymał w dłoni broń.

- Nie ruszaj się - wycedził Quinby. - Bo strzelę jej w głowę.

Jak amen w pacierzu.

- Puść ją. Pozwolę ci się wymknąć ukrytym tunelem - powiedział cicho Stalbridge.

- Ona idzie ze mną - oznajmił strażnik. - Natychmiast rzuć broń albo ona zginie.

- A po co ci ona? - powiedział spokojnie Anthony, podchodząc do stolika. - To, w czym brałeś udział, właśnie się skończyło. Mo

żesz po prostu odejść w spokoju.

- Ani kroku dalej albo jej mózg rozprysnie się na ścianie. - Głos Quinby'ego drżał od rosnącej furii.

- Dobrze. - Anthony znieruchomiał przy stoliku.

- Rzuć broń na podłogę i kopnij daleko od siebie - rozkazał

strażnik.

- Ta kobieta będzie ci tylko przeszkadzać - powiedział łagodnie Stalbridge. - A musisz jak najszybciej uciekać, bo Clement Corvus już wie, że ostatnio służyłeś dwóm panom i nie jest tym zachwycony.

- Niech cię diabli. - Twarz Quinby'ego pociemniała z gniewu.

-Ja nikomu nie służę. Sam sobie jestem panem.

- Na nieszczęście dla ciebie, Corvus ma w tej kwestii inne zdanie - powiedział Anthony. - Wątpię, czy madame Phoenix widzi w tobie kogoś więcej niż służącego. Dla nich obojga jesteś tylko służącym. Niczym więcej.

**246**

- Do diabła, nie jestem niczym służącym - wrzasnął Quinby. - Ty draniu, mój ojciec był dżentelmenem. Może i urodziłem się w rynsztoku, ale mam lepsze pochodzenie niż Clement Corvus i wcale nie gorsze od twojego. To, że ojciec nigdy nie uznał za stosowne ożenić się z moją matką, niczego nie zmienia.

- Od jak dawna jesteś kochankiem madame Phoenix?

- Dostatecznie długo - odparł mężczyzna triumfalnie. - Ona wyjdzie za mnie za męża.

- Dlaczego chcesz się ożenić z właścicielką domu publicznego?

- spytał Stalbridge z pewnym zaciekawieniem.

- Madame Phoenix to Victoria Hastings - wyjaśniła Louisa.

Anthony uniósł brwi.

- O, doprawdy?

Quinby uśmiechnął się lodowato.

- Stalbridge, zamierzam wżenić się w wyższe sfery. Wiem, że arystokracja nigdy nie zaakceptuje mnie, ale zaakceptuje moje dzieci i wnuki.

- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to, że Victoria Hastings dotrzyma obietnicy - ostrzegła Louisa. - Jakoś nie wydaje mi się, żeby przepełniały ją macierzyńskie uczucia.

Quinby uśmiechnął się przebiegle.

- Ona mnie kocha i potrzebuje. I zostanie moją żoną.

- Naprawdę w to wierzysz? - rzucił Anthony. - Jeśli tak, to jesteś durniem.

- Powiadają, że dżentelmen krwawi równie mocno jak łajdak.

- Mężczyzna wycelował broń w Anthony'ego. - Przekonajmy się.

Louisa usłyszała zgrzyt metalu. Quinby odwiódł kurek pistoletu.

Wiedział, że Anthony nie wystrzeli, dopóki ona jest na linii strzału.

Ogarnęło ją przerażenie. Wszystko działało się zbyt szybko. Tylko jedno przyszło jej do głowy. Szarpnęła się mocno do tyłu.

Quinby całą uwagę skupiał na Anthonym. Nagły ruch Louisy zaskoczył go. Instynktownie chwycił ją mocniej za gardło, niemal ją dusząc. Zrobił kilka szybkich kroków, usiłując zachować równowagę i równocześnie wycelować. Jednak ciężar dziewczyny i jej **247**

obfitej spódnicy okazały się ponad jego siły. Mężczyzna przewrócił

się, pociągając za sobą Louise. Poczuła dotkliwy ból, gdy uderzyła ramieniem o kamienną posadzkę.

Rewolwer wypalił, niemal ją ogłuszając. Usłyszała jeszcze huk rykoszetu na kamiennej ścianie.

Anthony błyskawicznie skoczył do przodu. Kopnięciem wytrącił broń z ręki napastnika.

Quinby stęknął i puścił Louise. Obiema rękami złapał

Anthony'ego za kostkę i szarpnął gwałtownie. Stalbridge upadł, przygniatając sobą mężczyznę. Louisa przewróciła się na bok i odsunęła jak najdalej. Słyszała głuchoe odgłosy ciosów zadawanych pięściami.

Zerwała się na nogi i ruszyła do leżącej najbliższej broni. Usłysza

ła kroki na schodach. Zorientowała się, że nie zdąży już podnieść pistoletu. Zresztą nawet gdyby do niego dotarła, nie bardzo wiedziała, jak strzelać.

Sięgnęła po pęk kluczy, który Quinby rzucił na podłogę i pobiegła do wylotu schodów. Stała u ich podnóża, przywierając plecami do ściany.

Najpierw pojawiła się czarna spódnica i nosek eleganckiego czarnego trzewika. Victoria zatrzymała się u stóp schodów i spojrzała na dwóch bijących się mężczyzn. W dłoni obciążonej czarną rękawiczką trzymała mały pistolet.

Victoria przyjrzała się scenie. Zignorowała bijatykę i zwróciła się ku uchylonym drzwiom celi.

- Pani Bryce, niech pani wyjdzie. Wybuchł pożar. Musimy natychmiast uciekać. - Odciągnęła kurek broni i wycelowała w drzwi celi. - Czy pani mnie słyszy? Proszę natychmiast wyjść. Chyba nie chce się pani upiec żywcem?

Gdy z celi nie padła żadna odpowiedź, Victoria zeszła ze schodów i ruszyła do przodu.

Louisa odsunęła się od ściany. Rzuciła się na kobietę i z całej siły zamachnęła się pękiem kluczy.

Victoria chyba wyczuła jakiś ruch za sobą, bo zaczęła się odwracać. Było już za późno. Klucze uderzyły ją w głowę, tuż nad **248**

prawym uchem. Upadła na kolano, krzycząc z bólu. Krew płynęła jej po policzku. Oszalała z

wściekłości skierowała broń w stronę Louisy.

Dziewczyna bez namysłu uderzyła ją jeszcze raz. Kobieta padła bezwładnie na podłogę i już się nie poruszyła.

Tak samo jak lord Gavin.

Louisa błyskawicznie obróciła się na pięcie. Mężczyźni nadal zaciekle walczyli. Quinby wyciągnął nóż. Przeżrana dziewczyna pobiegła do nich, ale Anthony, najwyraźniej zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, wyrwał się przeciwnikowi i odskoczył od niego.

Quinby zerwał się na nogi i rzucił na niego, wysoko unosząc nóż. Anthony chwycił leżący pod ręką rewolwer, odwiódł kurek i wystrzelił.

Trafiony mężczyzna wzdrygnął się gwałtownie i chwiejąc się, cofnął o kilka kroków, aż zatrzymał się na ścianie za swoimi plecami. Nóż wypadł mu na podłogę.

- Ty draniu! - Quinby wpatrywał się w Anthony'ego wzrokiem pełnym nienawiści. - Wszystko zniszczyłeś. Wszystko.

Ścisnął dłonią zranione ramię, obrócił się na pięcie i potykając się, znikł w ciemnościach tunelu.

Zapadła kompletna cisza. Louisa podeszła do Anthony'ego.

- Dobrze się czujesz? - spytał. W jego oczach nadal płonął gniew i wola walki.

- Tak - szepnęła. - A ty?

- Ja też - odparł i wstał, by rzucić okiem na Victorię.

Louisa zmusiła się, by też na nią spojrzeć. Krew skleiła jasne włosy kobiety i utworzyła kałużę na kamiennej podłodze. Louisie znów stanął przed oczami obraz martwego lorda Gavina. Poczowała mdłości. Nagle zabrakło jej powietrza.

Nie wolno ci zwymiotować, powtarzała sobie w duchu. Jeszcze nie teraz.

- Czy ona nie żyje? - wykrztusiła.

- Nie wiem.

**249**

Anthony podeszedł do Victorii i przykucnął.

- Żyje - oznajmił. - Nie zabiłaś jej.



Louisa od razu poczuła się lepiej. Odetchnęła głęboko.

- A co z Quinbym?

- Niech się o niego martwi Clement Corvus.

Mężczyzna oddał z halki Victorii kilka pasów materiału i związał nimi jej ręce i nogi.

Na schodach znów rozległy się kroki, tym razem głośnie i ciężkie. Louisa się wzdrygnęła i obróciła na pięcie, by spojrzeć na wylot schodów. Anthony uniósł lufę pistoletu.

W przejściu pojawił się Marcus Stalbridge. Na widok dziewczyny uśmiechnął się szeroko.

- Ach, widzę, że ją znalazłeś. Czy możemy się oddalić? Wkrótce pojawi się tu policja i straż pożarna. Lepiej, żeby nikt nie widział

jak pani Bryce wymyka się z domu schadzek - rzucił i mrugnął do niej. - Nie żebyśmy nie mogli uporać się i z tym problemem, gdyby się jednak pojawił.

- Mój płaszcz - powiedziała Louisa. - Został w celi.

Anthony zniknął w jej niedawnym więzieniu. Po chwili wrócił

z płaszczem w ręce. Narzucił go dziewczynie na ramiona i starannie zapiął guziki. Nasunął jej kaptur na głowę, tak by zakrywał twarz.

- Chodź, kochanie - powiedział łagodnie. - Pora opuścić to miejsce. Myślę, że już dość mieliśmy tu ekscytujących wydarzeń, nawet jak na tak nieustraszoną reporterkę jak ty.

Kochanie? To pewnie przejęzyczenie, powtarzała sobie w duchu Louisa, spiesząc schodami za Marcusem. Nie było czasu na rozmy

ślania o tym drobnym pieszczotliwym słowie.

Gdy znaleźli się w pustym holu, zauważyła dziwny dym, który unosił się w powietrzu.

- Nie widzę płomieni - powiedziała.

- Bo ich nie ma. - Marcus zachichotał. - Widzisz, moja droga, dyrektor teatru Olympia nie chce mieć prawdziwych płomieni.

Musiałem więc wymyślić coś innego.

- Nie rozumiem - rzuciła Louisa.

**250**

- Wy tłumaczę ci to później.

- Zabierz ją do powozu - polecił Anthony. - Rozejrzę się jeszcze po apartamentach madame Phoenix, zanim zjawi się tu policja.

Zatrzymał się i mocno pocałował Louise w usta. Zanim zdążyła zadać pytanie czy zaprotestować, zniknął na schodach, prowadzących na piętro.

- Chodźmy, moja droga - powiedział Marcus.

Wyprowadził ją wyjściem kuchennym na małą, ciemną alejkę, w noc wypełnioną krzykiem i chaosem. Nikt ze stojących na zewnątrz nie zwrócił na nich uwagi.

Kilka minut później skręcili w pobliską ulicę, na której stał kryty powóz. Drzwi pojazdu uchyliły się i wyrzła z nich otulona płaszczem kobieta.

- Pospieszcie się - zawołała Clarice dziwnie podekscytowanym tonem. - Pani Bryce, musimy panią stąd natychmiast zabrać. Nie chcemy, żeby zobaczył panią ktoś z prasy. Wie pani jacy są reporterzy, gdy chodzi o sensacyjną historię i skandal, dotyczący osób z wyższych sfer.

Zdumiona Louisa weszła do powozu. Gdy usiadła, zdała sobie sprawę, że Clarice nie jest sama. Naprzeciw niej siedziała Georgiana Stalbridge. Ją również od stóp do głów spowijał płaszcz.

- Dzięki Bogu, udało się panią odnaleźć - powiedziała kobieta. - Tak się o panią martwiliśmy. Moja droga, nic się pani nie stało?

- Nie - zdołała wykrztusić Louisa. - Nic mi nie jest. Naprawdę.

- Co za ulga - westchnęła Georgiana i spojrzała na Marcusa, który właśnie wszedł do powozu. - A gdzie Anthony?

- Został jeszcze chwilę, żeby się rozejrzeć przed przybyciem policji - powiedział. - Spotkamy się w domu.

Powóz ruszył z hałasem.

Louisa po kolei spojrzała na Clarice, Georgianę i Marcusa.

W ciemnym wnętrzu powozu trudno jej było dostrzec ich miny.

- Nie rozumiem - zwróciła się do kobiety. - Dlaczego pani i Clarice tu jesteście? Wiem, że Anthony czuł się zobowiązany mnie **251**

ratować. To bardzo miłe, że jego ojciec zechciał mu w tym pomóc.

Jednak nie było potrzeby, by panie ryzykowały, że zostaną zauważone koło Domu Feniksa.

Georgiana się pochyliła i poklepała ją po ręce.

- Kategorycznie odmówiliśmy pozostania w domu, gdy przyszła żona Anthony'ego znajduje się w niebezpieczeństwie. W naszej rodzinie stajemy za sobą murem.

„Przyszła żona Anthony'ego”. Przerazona Louisa spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

- Obawiam się, że zaszło tu jakieś straszliwe nieporozumienie.

- Jestem pewna, że nie - oznajmiła Clarice z niesłabnącym entuzjazmem. - Pojedziemy teraz do domu, odpoczniemy przy szklaneczce brandy i poczekamy na Anthony'ego.

48

Drzwi na końcu korytarza były zamknięte. Wszystkie pozostałe stały otworem po ucieczce wystraszonych klientów i mieszkank domów. Anthony zatrzymał się na podeście piętra. Zamierzał udać się wprost na samą górę, do prywatnych apartamentów madame Phoenix, ale zamknięte drzwi zwróciły jego uwagę.

Przeszedł korytarzem i się zatrzymał. Mocniej chwycił rewolwer, stanął przy ścianie i sięgnął do klamki. Ustąpiła pod naciskiem dłoni. Uchylił drzwi czubkiem buta, cały czas trzymając się z boku, na wypadek gdyby ktoś wewnątrz próbował strzelać. Niepotrzebnie się obawiał. Ze środka nie padły żadne strzały. Rozległy się tylko odgłosy gorączkowej szamotaniny i rozpaczliwy jęk.

Anthony zajrzał do pokoju. Ściany obito czarnym aksamitem.

W kącie stała przeszklona szafka z dużym wyborem pejczy i różnymi dziwnymi akcesoriami.

Elwin Hastings leżał na brzuchu w łóżu zasłanym czarnym jedwabiem. Nogi i ręce miał przykute do słupów podtrzymujących **252**

baldachim. Był nagi i zakneblowany. Na widok wchodzącego strach w jego oczach ustąpił nadziei. Jęknął jeszcze głośniejsze.

Anthony podszedł bliżej i wyjął mu z ust knebel.

Hastings wybełkotał z wściekłością:

- Stalbridge. To pan. Nie poznałem w tym ubraniu. Co pan tu do diabła... ? Nieważne. Myślałem, że to ona tu wraca, by mnie zamordować. Niech mnie pan rozwiąże. Pospiesz się pan. Słyszałem krzyki, że dom się pali.

- Nie ma żadnego pożaru - powiedział Anthony.

- Tak czy inaczej muszę się stąd wydostać. Pan nie rozumie.

Ona chce mnie zabić - urwał, widząc rewolwer w ręce mężczyzny.

- Co to?

- Całkiem niedawno spotkałem pańską pierwszą żonę i jej kochanka. Sprawy się nieco skomplikowały.

Hastings szeroko otworzył oczy.

- Widział pan Victorię?

- Tak. Wkrótce będzie tu policja. Wśród nich niejaki Fowler, który będzie chciał z panem porozmawiać. Pamięta pan Fowlera, prawda? To on prowadził dochodzenia w sprawie śmierci pańskiej żony i Fiony Risby. Domyślam się, że nie był pan zbyt chętny do współpracy, gdy wypytywał pana ostatnim razem.

Hastings spojrział na niego błędnym wzrokiem.

- Słuchaj, Stalbridge, nie wiem, o czym pan mówi, ale musi mi pan pomóc.

- Dlaczego miałbym to robić?

- Do jasnej cholery! Jak pan w ogóle może o to pytać? Obaj przecież jesteśmy dżentelmenami. Dżentelmeni mają obowiązek sobie pomagać.

- Dziwne, ale nie czuję się zobligowany, by panu pomóc, Hastings. Jedyne, co mnie obchodzi, to to, by w sprawie morderstwa Fiony Risby sprawiedliwości stało się zadość. I tego zamierzam dopilnować.

- Pan oszalał. Myśli pan, że jest w stanie udowodnić, iż to ja ją zabiłem?

**253**

Anthony sięgnął do kieszeni surduta i wyciągnął czarny aksamitny woreczek. Otworzył go i wysypał sobie na dłoń naszyjnik Fiony Risby. W świetle kinkietów kamienie zapłonęły żywym ogniem.

Hastings otworzył usta ze zdumienia.

- Miałem więc rację. To pan go ukradł.

- Powiedzmy, że wziąłem go na przechowanie. Czekałem na właściwą chwilę, by ten naszyjnik został odnaleziony. Myślę, że dzisiejsza noc to odpowiedni moment.

Włożył naszyjnik z powrotem do woreczka i zaciągnął złoty sznurek.

- Co pan robi? - wrzasnął Hastings.

Anthony nie odpowiedział. Przeszedł przez pokój do wieszaka, na którym wisiał czarny strój wieczorowy, i wsunął naszyjnik do kieszeni.

- Ty draniu! To się nie uda! - krzyknął Hastings. - Powiem policji, że to ty go tam włożyłeś. Słowo

dżentelmena przeciwko słowu dżentelmena. Na tym śledztwo się zakończy.

Anthony się uśmiechnął.

- Na szczęście będziemy mieć również dochodzenie i wyrok wydany przez brukową prasę. Niech pan się zastanowi, jak ta cała historia zostanie przedstawiona w gazetach i powieściach sensacyjnych. Pańska rzekomo zmarła żona jest właścicielką jednego z cieszących się najgorszą sławą domów publicznych, a pana znaleziono nagiego w jej przybytku. Co więcej, ma pan udziały finansowe w tym haniebnym przedsięwzięciu.

- Zamknij pan gębę, do cholery.

- Spodziewam się, że gdy pojawi się policja, pierwsza pani Hastings niezwłocznie oskarży pana o próbę jej zamordowania w zeszłym roku. Jeśli się do tego doda, że w pana posiadaniu znajduje się naszyjnik zabitej kobiety, która podobno popełniła samobójstwo, to można przewidzieć, że opinia publiczna opowie się po stronie sprawiedliwości.

- Ty draniu. Nie możesz tego zrobić.

**254**

- Nawet jeśli policja nie postawi panu zarzutu morderstwa, jest pan skończony, Hastings. W najlepszym wypadku zostanie pan zmuszony, by zaszyć się na wsi. Żaden klub pana nie przyjmie. Żadna pani domu nie wyśle panu zaproszenia. A teraz, gdy okaże się, że jest pan bigamistą, pańska niedawno poślubiona małżonka będzie mogła pana opuścić. Podobno jej dziadek ma doskonałą głowę do interesów i przed ślubem podjął kroki, by odpowiednio zabezpieczyć finansowo swoją wnuczkę. Gdy pańska żona odejdzie, zabierze ze sobą swoje wiano.

- Jak pan śmie mi grozić? - Twarz Hastingsa wykrzywiła się z wściekłości. - Pan powinien już być trupem. Słyszysz pan? Powinien pan zginąć tamtej nocy, gdy szedłem za nim od klubu. Niewiele brakowało, a dopadłbym pana i zastrzelił. Gdyby nie mgła i ta sztuczka z płaszczem...

W progu pojawił się Harold Fowler, tuż za nim posterunkowy.

- Panie Crawford, zechce pan zapisać komentarze pana Hastingsa, dotyczące jego próby zabójstwa pana Stalbridge'a - rzucił

detektyw.

- Tak, proszę pana. - Posterunkowy wyjął notes i ołówek.

Anthony spojrzał na Fowlera.

- Widzę, że otrzymał pan moją wiadomość.

- Tak. Zgodnie z pana sugestią zaczekaliśmy dopóki pański ojciec nie opuścił tego miejsca w towarzystwie kobiety w czarnym płaszczu.

Hastings spojrział na Fowlera z desperacją w oczach.

- Ja wszystko wytłumaczę.

- Będzie pan miał mnóstwo czasu na wyjaśnienia. - Fowler zerknął na Anthony'ego. - Chciałbym też porozmawiać z panem.

- Oczywiście. - Stalbridge kiwnął głową. - Jestem do pańskiej dyspozycji. Zapewne zainteresuje też pana możliwość pomówienia ze zmarłą Victorią Hastings. Ostatnim razem widziałem ją, jak leżała nieprzytomna w piwnicy tego domu. Zdaje się, że nadal się tam znajduje.

Fowler uniósł krzaczaste brwi.

**255**

- Naprawdę? Ta sprawa wydaje się mocno zagmatwana.

- Nie - odparł Anthony. - Jest bardzo prosta. Miał pan rację. Powodów morderstwa jest tylko kilka. Chciwość, zemsta, chęć ukrycia czegoś albo szaleństwo. W tym przypadku mamy po trosze wszystkiego.

**49**

Dwa dni później Louisa siedziała przy biurku, czytając reportaż w „Latającym Detektywie”. Pan Spraggett i tym razem wybrał nie jeden, ale kilka nagłówków dla wzmocnienia dramatycznego efektu i przyciągnięcia jak największej liczby czytelników.

Straszliwe morderstwo w wyższych sferach! Krwawe wypadki w domu schadzek! Aresztowanie członków arystokracji. Zmarła żona powraca między żywych z mrocznej topieli.

Korespondencja J.A. Fantoma

Całym towarzystwem wstrząsnęła informacja, że pan Elwin Hastings został aresztowany za zabójstwo młodej damy, Fiony Risby, dokonane w zeszłym roku, a także za próbę zamordowania swej pierwszej żony, Victorii, której śmierć do tej pory uważano za samobójstwo.

Policja natknęła się na pana Hastingsa w domu schadzek.

W chwili aresztowania w jego posiadaniu znajdował się cenny naszyjnik, będący własnością ofiary morderstwa, panny Risby. Żona aresztowanego, od dawna uważana za zmarłą, również przebywała w rzeczonym lokalu.

Jakież było nasze zdumienie, gdy się dowiedzieliśmy, że pierwsza pani Hastings jest właścicielką cieszącego się złą sławą domu na Winslow Lane, znanego jako Dom Feniksa.

Jej mąż ma udziały finansowe w owym przybytku i jest jego częstym klientem.

Panią Hastings znaleziono oszołomioną, krwawiącą z rany na głowie. Wyglądało na to, że jest w stanie głębokiego rozstroju nerwowego. Na widok męża doznała napadu wściekłości. Oskarżyła pana Hastingsa o próbę morderstwa, utrzymując, że wrzucił ją oszołomioną do rzeki. Jej zdaniem ocalenie zawdzięcza jedynie wielkiemu szczęściu.

Według doniesień, oprócz pana i pani Hastings, w Domu Feniksa przebywał jeszcze jeden człowiek, zamieszany w rozmaite kryminalne występki. Osobnik ten zniknął, zanim władze zdołały go przesłuchać...

Ktoś zakłatał do drzwi. Louisa odłożyła gazetę i nasłuchiwała.

Pani Galt przeszła do holu i wpuściła gościa. Rozległ się głos Anthony'ego.

- Proszę się nie kłopotać. Sam trafię do gabinetu.

- To ja pójde postawić wodę na herbatę - odparła gospodyni.

Louisa słyszała zbliżające się kroki Anthony'ego. Poczula przeszywający ją znajomy dreszcz tęsknoty i podniecenia. Mężczyzna wszedł do gabinetu. Pod pachą trzymał małą paczkę.

- Dzień dobry, kochanie - powiedział, podchodząc do biurka.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Nie - odparła szybko. - Właśnie czytałam poranną gazetę.

- Jak miemam, wspaniałą korespondencję J.A. Fantoma na temat ostatnich zbrodniczych wypadków.

- Tak, właśnie ten reportaż.

- Szokujące treści. - Anthony odłożył paczkę na biurko, pochylił się i wyciągnął Louise z krzesła. - Absolutnie szokujące. Ale jak przyjemnie się je czyta.

Pocałował ją mocno. Objęła go za szyję i przytuliła się do niego.

Gdy w końcu ją wypuścił i spojrzał na nią ze znanym jej żarliwym pożądaniem w oczach, zarumieniła się i wyżej podsunęła okulary na nosie.

- Czy są jakieś nowe informacje od pana Fowlera? - spytała i szybko usiadła.

Anthony odetchnął głęboko i rozsiadł się w fotelu naprzeciwko.

- Zdaje się, że to jeden z podstawowych problemów, gdy się człowiek zaangażuje w potajemny

romans z przedstawicielką prasy

- westchnął.

Louisa wysoko uniosła brwi.

- O co ci chodzi?

Rozłożył ręce.

- Najświeższe wiadomości, pogłoski i plotki zawsze mają u nas pierwszeństwo.

- Akurat. Wiesz, że to nieprawda. Pocałowałeś mnie, zanim zdążyłam cię zapytać o twoje spotkanie z Fowlerem.

Anthony uniósł palec do góry.

- Tylko dlatego, że nauczyłem się przy tobie działać błyskawicznie.

Splotła dłonie i oparła je na biurku.

- A zatem?

- Wątpię, czy sprawy skończą się tak szybko i gładko, jak mia

łem nadzieję, ale na pewno tak czy inaczej sprawiedliwości stanie się zadość. - Anthony rozparł się w fotelu i wyciągnął przed siebie nogi. - Nie wiemy jeszcze co z Quinbym, ale Fowler niespecjalnie przejmuje się jego losem. Prywatnie powiedział mi, że ma ogromną nadzieję, iż zajmie się nim Clement Corvus.

Louisa przełknęła z wysiłkiem.

- Och!-Westchnęła.

Mężczyzna spojrział na nią ostro.

- Nie zaprzataj sobie głowy współczuciem dla Quinby'ego.

Porwał cię bez żadnych skrupułów. Doskonale wiedział, że Victoria Hastings chce cię zabić. W rzeczy samej, zamierzała właśnie jemu zlecić to zadanie.

- Tak, to prawda. Mimo wszystko jest mi go trochę żal. Jego życie musiało być okropne. Nie miał dostępu do przywilejów, które byłyby jego udziałem, gdyby tylko ojciec przyznał się do niego.

**258**

- Moja droga, masz stanowczo zbyt miękkie serce. Co do Quinby'ego, powinien się był dwa razy zastanowić, zanim się zdecydował oszukać Clementa Corvusa.



- A co z państwem Hastings?

- Fowler twierdzi, że nie ustają we wzajemnych oskarżeniach i na wyścigi dostarczają dowody winy drugiej strony. Tymczasem druga pani Hastings podobno przeniosła się z powrotem do domu dziadków i wkrótce złoży pozew o unieważnienie małżeństwa z powodu bigamii męża. Jej dziadek wstrzymał Elwinowi wszelkie fundusze. Żeby zatuszować skandal, Lilly ma podobno zaraz po wyroku sądu wyjść po cichu za mąż za wybranego przez siebie młodzieńca. Podejrzewam, że będzie to ten sam mężczyzna, którego sprowadziła do swojej sypialni tamtej nocy, gdy otworzyłem sejf jej męża.

- Życzę jej wszystkiego najlepszego. A co z Hastingsem?

- Plotki powtarzane w klubach głoszą, że wkrótce będzie bez grosza. Oczywiście jego przedsięwzięcie upadło. Nawet je

śli Elwin nie skończy na szubienicy, to czeka go kompletna ruina i dożywotnie wykluczenie ze świata, który jest dla niego wszystkim.

- Z wyższych sfer.

- Właśnie.

- Ciekawa jestem, co się stanie z pierwszą panią Hastings.

- Fowler jest przekonany, że Victoria postradała zmysły i skończy w domu dla obłąkanych.

- Hm - mruknęła Louisa pod nosem.

Anthony uniósł brwi.

- Masz wątpliwości, czy zwariowała?

- Nie wykluczam, że byłaby zdolna odegrać taką rolę, gdyby mogło to ocalić jej skórę.

- Wierz mi, jeśli jest zdrowa na umyśle, to zamknięcie w domu dla obłąkanych będzie dla niej wyrokiem gorszym niż śmierć.

Louisa zadrzała.

- W to nie wątpię.

**259**

- Została jeszcze jedna sprawa - powiedział cicho Anthony.

- Tak?

- Dziś po południu spotkałem w klubie Juliana Eastona.

- Och. I jak wam poszło?

- Był bardzo przygnębiony. Przeprosił mnie. Miałaś rację. Wygląda na to, że obwinił się za śmierć Fiony, gdyż tamtej nocy, gdy zginęła, wyszła do ogrodu, by się z nim spotkać. Umówili się na schadzkę, jednak ona natknęła się na Hastingsów, zanim dołączył

do niej Easton. Gdy pojawił się w wyznaczonym miejscu, jej tam nie było.

- To straszne - westchnęła Louisa.

- Nie mam nic więcej do dodania - oznajmił Anthony. - Sugeruję, żebyśmy zajęli się innym, o wiele ciekawszym tematem.

Spojrzała na niego z zaciekawioną.

- A mianowicie? - spytała.

- Tobą i mną, oczywiście.

Louisa znieruchomiała, zamrugła i pospiesznie zdjęła okulary.

- Zamierzałam z tobą porozmawiać na ten właśnie temat - rzuciła. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i zaczęła starannie czyścić niewidoczne smugi na szklach. - Obawiam się, że twoja rodzina nabrała niefortunnego i absolutnie niewłaściwego przekonania o tym, jak stoją sprawy między nami.

Anthony splótł palce.

- Myślą, że się z tobą ożenię.

- Tak, wiem. - Włożyła okulary i spojrzała na niego. - Próbowałam wyprowadzić ich z błędu tamtej nocy, gdy wracaliśmy z Domu Feniksa, ale nikt nie chciał mnie słuchać.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Z czasem zauważysz, że członkowie mojej rodziny, gdy już raz przekonają się do jakiejś myśli, potrafią twardo obstawać przy swoim. Niestety, to nasza rodzinna wada.

Zakłopotana Louisa pochyliła się do przodu.

- Anthony, to jest bardzo niezręczna sytuacja. Czuję się fatalnie, pozwalając im wierzyć w to kłamstwo.

**260**

- Musimy więc sprawić, by stało się prawdą.

- Do licha, o czym ty mówisz?

Wstał z fotela, obszedł biurko i po raz drugi podniósł ją powoli z krzesła.

- Anthony, proszę, nie rozwiążesz tej sprawy pocałunkami.

- Louiso, ja cię kocham - powiedział.

Miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

- Co?

- Kocham cię - powtórzył, tym razem ciszej. - Czy tak trudno w to uwierzyć?

Brakowało jej tchu.

- Przecież znamy się tak krótko. Poza tym jest coś, czego nie wiesz. Gdy ci o tym opowiem, na pewno mnie odtrącis.

- Szczerze w to wątpię. - Chwytał jej dłonie i całował każdy palec po kolei. - Dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz, żeby się we mnie zakochać. Jedyne, o co proszę, to obietnica, że poważnie zastanowisz się nad moją propozycją.

- Nie potrzebuję czasu - odparła bez namysłu. - Ja też cię kocham. Problem w tym, że nasze małżeństwo jest niemożliwe.

Puścił jej ręce. Sięgnął na biurko i podał jej przyniesioną paczkę.

Niepewna, nie wiedząc, co teraz robić, zaczęła drżącymi palcami rozwiązywać sznurek.

- Wiem, że bardzo ci się podoba pomysł sekretnego romansu

- rzucił, przyglądając się, jak Louisa rozwija szary papier. - Przyznaję, nie mogę zagwarantować, że małżeństwo okaże się równie ekscytujące, ale moim zdaniem będzie o wiele korzystniejszym rozwiązaniem.

- Nie, nie będzie - odparła, usiłując opanować łzy. - Na pewno nie.

- Pomyśl tylko, zamiast zadowalać się stołem w oranżerii czy powozem podczas rzadkich, ukradkowych schadzek, moglibyśmy każdej nocy spać razem w ciepłym łóżku, a rano przy śniadaniu z przyjemnością czytać twoje najświeższe reportaże dla „Latającego Detektywa”.

**261**

- Przestań. Nie wiesz, co mówisz. - Louisa osłupiała na widok odwiniętego z papieru egzemplarza *Raju utraconego* Milтона. - Och, Anthony!

- Nie obawiaj się - powiedział. - Nie ukradłem go z sejfu Peppera. Zgodził się go odstąpić. Wszystko było kwestią ustalenia odpowiedniej ceny.

Louisa pogłaskała safianową okładkę. Czuła łzy, cisnące się pod powiekami.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Kochanie, powiedz, że zostaniesz moją żoną. Zaręczam ci, że wszystkie zastrzeżenia, dotyczące mojej rodziny, staną się nieistotne.

Serce się w niej ścisnęło. Łzy wymknęły się jej spod powiek i spłynęły po policzkach. Zerwała okulary, chwyciła chusteczkę i zaczęła pospiesznie wycierać twarz. Upomniała się w duchu, że przecież wiedziała, iż ten moment kiedyś nadejdzie. Nie spodziewała się jednak, że stanie się to tak szybko.

- To jest właśnie problem z sekretnym romanssem. - Opuściła chusteczkę i spojrzała na niego przez łzy. - Nie może się skończyć szczęśliwie.

- Od każdej reguły jest wyjątek- zaprotestował.

- To nie jest sytuacja, gdy możemy odstąpić od reguły. - Louisa westchnęła żałośnie.

- Dlaczego?

- W mojej przeszłości jest tajemnica tak straszna, że wstrząsnęłaby tobą, gdybyś ją poznał. Nie mogę pozwolić, byś wprowadził

mnie do rodziny. To nie w porządku - oznajmiła.

Mężczyzna wydawał się rozbawiony.

- Wierz mi, mało co jest w stanie mną wstrząsnąć.

Pomyślała, że powinna zamilknąć. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, choć trochę instynktu samozachowawczego, powinna zamknąć usta i odprawić Anthony'ego. Ale przecież nie mogła tego zrobić. Kochała go. Nie chciała, żeby odszedł, nie poznawszy prawdy.

**262**

- Anthony, to ja zamordowałam lorda Gavina.

- Tak, wiem - odparł całkiem obojętnie. -A jeśli chodzi o propozycję małżeństwa...

Louisa gapiała się na niego z otwartymi ustami. Doszła do wniosku, że chyba słuch ją myli.

- Wiesz? - wykrztusiła.

- Domyśliłem się kilka dni temu. - W oczach zabłysło mu pełne zniecierpliwienia rozbawienie. - Czy teraz moglibyśmy wrócić do tematu moich oświadczeń?

- Nie rozumiesz. - Louisa cofnęła się za krzesło i z całej siły chwyciła się oparcia. - Anthony, rozbiłam mu głowę pogrzebaczem.

To był dżentelmen.

- Nikt specjalnie po nim nie płacze. Mam wrażenie, że choć nigdy cię nie poznali, wdowa po Gavinie i reszta członków jego rodziny są ci bardzo wdzięczni. Już nie wspominając o tych wszystkich właścicielkach sklepów, którym twój czyn ocalił życie. To był naprawdę podły człowiek.

- To nie ma nic do rzeczy. Jestem poszukiwana za morderstwo.

Jeśli policja mnie znajdzie, zawisnę na szubienicy. Pomyśl, jaki to wywoła skandal.

- Nie jesteś poszukiwana za morderstwo. Jeśli chodzi o policję, to uznano cię za samobójczynię. Nie pamiętasz?

- Ale...

- Twoja sprawa jest już zamknięta. Nikt cię nie szuka, kochanie

- powiedział dobitnie.

- A co, jeśli któregoś dnia ktoś mnie rozpozna?

- To mało prawdopodobne, ale jeśli tak się stanie, moja rodzina i ja chętnie popełnimy krzywoprzysięstwo w kwestii twojej tożsamości. Gdy mnie poślubisz, wejdiesz do rodziny Stalbridge'ów.

A my zawsze stajemy za sobą murem. - Uśmiechnął się do niej wymownie. - Możesz mi wierzyć, nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, by zaprzeczyć naszemu słowu.

- Święta racja - odezwała się od progu Emma. - Louiso, moja droga, mówiłam ci już na początku całej tej sprawy, że **263**

Stalbridge'owie, jeśli taka ich wola, mogą ignorować towarzystwo, ale towarzystwo nie może sobie pozwolić na to, by ignorować ich.

Ta rodzina ma na tyle duży majątek i koneksje, że jest nietykalna.

Z nimi będziesz bezpieczna.

Louisa spojrzała na nią. Poczowała, że drobna iskierka nadziei, ukryta na dnie serca, nagle rozpała się w

niej jasnym, gorącym płomieniem.

- Och, Emmo - westchnęła. - Naprawdę tak uważasz?

Kobieta się zaśmiała.

- Jestem pewna. Mam tylko nadzieję, że nawet gdy będziesz już mężatką, znajdziesz trochę czasu, by pomóc mi dokończyć moje pamiętniki. Pamiętasz chyba, że właśnie doszliśmy do najbardziej ekscytujących fragmentów.

- Oczywiście - odparła Louisa, uśmiechając się przez łzy.

Emma też się uśmiechnęła, mrugnęła i znikła w korytarzu.

Dziewczyna odwróciła się do Anthony'ego.

- Jesteś pewien, że właśnie tego pragniesz?

- To nie tylko kwestia pragnienia. - Przytulił ją mocno. - Kochanie, ja cię potrzebuję. Dopiero razem stanowimy całość. Chyba zostaliśmy dla siebie stworzeni.

Zalała ją fala radości. Objęła Anthony'ego bardzo mocno za szyję.

- Tak. Zostanę twoją żoną - powiedziała szczerze.

- Witaj w rodzinie - szepnął.

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Tonąc w jego ramionach, Louisa z ufnością spojrzała w czekającą ich cudowną przyszłość.